ANTYPOLONIZM W AKCJI

Jak się robi z Polaków antysemitów – oto kolejna manipulacja

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 49/351 2–8 GRUDNIA 2019

Tusk szuka szczęścia z dala od Polski

W CIENIU SEKSAFERY: CO BRYTYJSKA KRÓLOWA ZROBI Z KSIĘCIEM ANDRZEJEM?

Niemiecka lewica straszy Polskę niemiecką AfD

Nowy stary PiS

Ku centrum czy w prawo: którędy, żeby nie przegrać?

– analizują Józef Orzeł, Piotr Semka i Rafał A. Ziemkiewicz

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

49>

9 772299 850000

Nakład: 71 tys. egzemplarzy

GINTROWSKI

X

JUBILEUSZOWY KONCERT

TEATR POLSKI

im. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

BILETY DOSTĘPNE W KASIE TEATRU

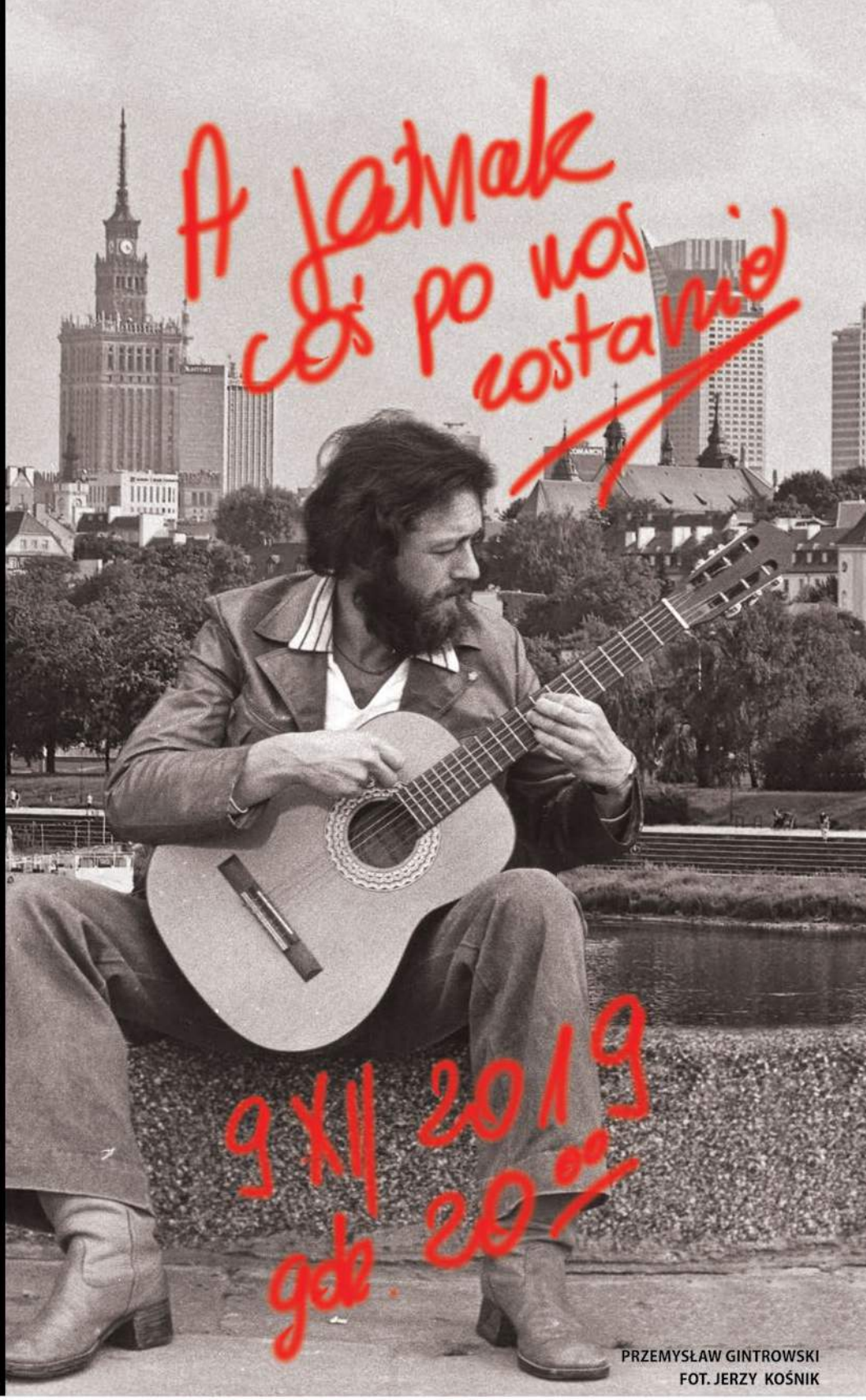

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:

PGNiG, ORLEN, Enea

PATRONAT MEDIALNY:

TVP 1, Jedynka Polskie Radio, Do Rzeczy, wprost

PARTNERZY:

Lotto, fundacja arp, Poczta Polska, żabka, Lotnisko Chopina Warszawa 85 lat, centrum historii zajezdnia

eprasa.pl 037223689a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przestroga z Zachodu

Codziennie pojawiają się różne badania, liczby, statystyki dotyczące zwykle gospodarki i polityki. Niektóre trafiają od razu do kosza, inne są istotne dla specjalistów, są też takie, które mogą przynieść zmiany nastawienia opinii publicznej. Kilka dni temu trafiłem na statystyki dotyczące liczby aborcji w Wielkiej Brytanii. Pewien jestem, że w przeciwieństwie do całej masy danych te nie wywołają wstrząsu ani poruszenia, nie staną się przedmiotem debaty publicznej i nie wywołają burzy. A jednak z pewnego powodu warto się im przyjrzeć.

Jak wiadomo, zwolennicy wprowadzenia edukacji seksualnej do szkół, tak jest również w Polsce, twierdzą, że niesiona przez nich wiedza pozwoli młodym ludziom bardziej świadomie podejmować życie płciowe. Że dzięki specjalistom znacznie zostanie ograniczony problem aborcji, że większa świadomość przyczyni się do większej samokontroli. Otóż dane pochodzące z Wielkiej Brytanii, państwa, które od czasów nieszczęsnych rządów rozpieszczanego przez media Tony'ego Blaira systematycznie wprowadza i rozszerza szkolną edukację seksualną, całkowicie temu przeczą. Teraz garść liczb. Przy tym należy pamiętać, że za tym suchym wyliczeniem kryją się zawsze ludzie i ich śmierć. Dane podaję za lifesitenews.com, portalem zasłużonym w walce o życie.

Wśród 718 kobiet, które dokonały w swoim życiu co najmniej szósty raz aborcji, w 2018 r. było pięć nastolatek. 143 kobiety dokonały aborcji w zeszłym roku co najmniej siódmy raz – oznacza to wzrost liczby o 19 proc. w stosunku do roku 2017 i 27 proc. do roku 2016. W 2018 r. 4389 kobiet dokonało czwarty raz z rzędu aborcji, wśród nich były 23 nastolatki. Ogólnie w całym 2018 r. w Wielkiej Brytanii aż 84 258 kobiet dokonało w swoim życiu kolejny raz aborcji, w tym były 3332 nastolatki – wzrost w stosunku do 2017 r. o 7 proc. i 11 proc. w stosunku do 2016 r. W całej Anglii i Walii w 2018 r. dokonano 205 tys. aborcji.

Podobne dane mógłbym przytaczać z wielu innych państw Unii. Wszystkie pokazują jedno: wprowadzane do szkół systemy edukacji seksualnej nie tylko nie spełniają tego, co obiecują ich zwolennicy, lecz wręcz przeciwnie – przyczyniają się do totalnej banalizacji życia. Wzrost liczby powtórnych, potrójnych, poczwórnych aborcji wynika z tego, że kobiety coraz częściej, uwiedzione feministyczną propagandą, traktują zabicie nienarodzonego dziecka jako nieznaczący, obojętny zabieg medyczny. Moralnie obojętny, szybki, sprawny i wygodny. Szkolna edukacja seksualna odziera życie erotyczne z intymności, ze wstydu i z wartości, sprowadzając je do przyjemności i zaspokojenia. Ważnym jej komponentem jest twierdzenie, że poczęte dziecko jest jedynie bezosobowym „płodem", a usunięcie go jest właściwie inną formą antykoncepcji. W praktyce prowadzi to do opisanego w statystykach zjawiska: szybszego i częstszego, wielokrotnego eliminowania życia nienarodzonych.

Te dane powinny dać wszystkim do myślenia. Nie spodziewam się, żeby cokolwiek zmieniły one w samej Wielkiej Brytanii, opanowanej od lat przez dyktaturę politycznej poprawności. Jedynym efektem ich ujawnienia w państwach zdominowanych przez feministki będą wezwania, żeby jeszcze bardziej poszerzyć edukację seksualną. Lewicowa odpowiedź zawsze jest taka sama: ogień gasi się benzyną. Jednak warto odwoływać się do tych danych w Polsce. Warto być mądrym przed szkodą i w żadnym razie nie ulegać presji zachodnich ideologów oraz polskich pożytecznych idiotów. Proponowana przez nich recepta w postaci liberalnej edukacji seksualnej jest po prostu trucizną, a jej pierwszym efektem byłby radykalny wzrost liczby aborcji. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 037223689a

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR SEMKA
PIS W ŚWIECIE BEZ DUOPOLU
Nowy układ sił

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MIĘDZY PSL A KONFEDERACJĄ

28 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
APELUJĘ DO PIS: NIE DAJCIE SIĘ ZDOMINOWAĆ LEWAKOM!

KRAJ

32 KAMILA BARANOWSKA
DROGA SASINA
Polityczna kariera historyka

34 ŁUKASZ WARZECHA
KIEROWNIK ZARDZEWIAŁEJ MASZYNY

36 MARCIN MAKOWSKI
ANTYSEMITYZM NA ZAMÓWIENIE

38 ROZMOWA Z WOJCIECHEM SUMLIŃSKIM
KSIĄŻKA GROSSA BYŁA SZALBIERSTWEM

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
RODZINA NA BUSPASIE

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
OSTATNI GRZESZNIK
„Irlandczyk" – kolejne arcydzieło Martina Scorsese

46 TOMASZ ROWIŃSKI
JAK SIĘ PISZE HOMOBIOGRAFIE

48 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SOKOŁEM
DŻENTELMEN Z BROWNINGIEM

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 TOMASZ WIŚCICKI
NIE UCIEKNIEMY OD POLITYKI
PiS a problem aborcji

60 ANTONI BUCHAŁA
W OBRONIE ŻEŃSKICH KOŃCÓWEK

HISTORIA

62 ANDRZEJ NOWAK
O FOLWARKU I POLSCE – BEZ KOMPLEKSÓW
Fragment tomu IV „Dziejów Polski: Trudny złoty wiek, 1468–1572"

ŚWIAT

66 JAN BOGATKO
KTO NIE SKACZE, TEN ZA AFD?
Niemieccy konserwatyści pod ostrzałem

68 PIOTR WŁOCZYK
CIOS W MONARCHIĘ

70 ROZMOWA Z KS. RENÉ-LUKIEM
MŁODZI SĄ NAJLEPSZYMI APOSTOŁAMI

72 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SAKSOŃSKIE SKARBY W RĘKACH ZŁODZIEI

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI
POJEDYNEK MILIARDERÓW
Pieniądze władzy nie dają?

80 JAKUB WOZINSKI
ROCKEFELLER W WATYKANIE

STYL

86 JOANNA BOJAŃCZYK
NAJSŁYNNIEJSZY MONOGRAM MODY
Historia Louis Vuitton

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
CHRONIĆ SERCE W CUKRZYCY
Zapobiec powikłaniom

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (7), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI (56), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (74), GABRYEL, RYBIŃSKI (82), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 037223689a

Drodzy Czytelnicy,

Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

„Straszne klasy", Łukasz Zboralski, „DRz" 46/2019

Szanowny Panie Redaktorze,
[...] Mam wrażenie, że w artykule zamiennie są stosowane pojęcia „uczeń z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego" i „uczeń z niepełnosprawnością". Pragnę zauważyć, że nie są to pojęcia tożsame – owszem, niektóre dzieci z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego jednocześnie posiadają orzeczenie o niepełnosprawności, jednak są to dwa różne dokumenty.

Obawiam się, że stawianie znaku równości pomiędzy dwoma wspomnianymi kwestiami może utrwalać stereotypowe podejście do uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi i utożsamianie ich z uczniami z niepełnosprawnością, co nie do końca jest uzasadnione.

Również mam pewną wątpliwość odnośnie do zdania: „Diagnoza to bardzo często ogólnie stwierdzone zaburzenie ze spektrum autyzmu". W ramach spektrum są konkretnie wyróżnione zaburzenia i diagnoza służy wykryciu, które z nich występuje u danego dziecka, a to już czyni mniej enigmatycznym ów zapis. Jeśli zaś chodzi o nauczycieli i ich podejście do pracy z takimi uczniami, to najczęściej brakuje dobrej woli i zmiany mentalności – nierzadko posiadają oni zaświadczenia o udziale w odpowiednich kursach, szkoleniach czy nawet studiach, a mimo to w swym działaniu wykazują totalną nieznajomość zasad postępowania z dziećmi ze specjalnymi potrzebami. Dotyczy to także nauczycieli współorganizujących kształcenia, ale to już nieco inna kwestia.

Na zakończenie chcę dodać, że nierzadko to dzieci bez orzeczeń czy opinii prowokują różne zachowania bądź po prostu zachowują się niewłaściwie, dlatego uważam za niesprawiedliwe sugerowanie, iż klasy są „straszne" przez to, że przebywają w nich uczniowie z zaburzeniami.

Łączę wyrazy szacunku
Aneta Rayzacher-Majewska

W sprawie listu ministra kultury

Sprostowanie („DRz" 47/2019) wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego na temat powołania nowych instytucji kultury warto uzupełnić o informację o dodatkowych pozytywnych skutkach współprowadzenia przez ministerstwo m.in. Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej.

Dzięki stabilnemu uzupełnianiu finansów muzeum udało się przy tej okazji uratować bibliotekę naukową Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu (księgozbiór i lokal). Gromadzonemu księgozbiorowi, któremu mija w tym roku 110 lat, groziło zamknięcie z braku możliwości ponoszenia kosztów utrzymania lokalu i obsługi. Przejęcie przez muzeum biblioteki pozwala na dalsze udostępnianie księgozbioru. To wszystko było możliwe dzięki samorządowi województwa podkarpackiego, ale bez wsparcia ministerstwa sama dobra wola dyrekcji muzeum nie wystarczyłaby w tej nietypowej sytuacji.

Waldemar Wiglusz, TPN w Przemyślu

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Wiktor/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA · spółka notowana na GPW · POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 037223689a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Lepiej późno niż nigdy

Idea budowy łuku triumfalnego, który uczci setną rocznicę zwycięstwa Polski nad bolszewikami w 1920 r., ledwie została ogłoszona przez premiera Mateusza Morawieckiego, a już znalazła sporo przeciwników. Paweł Rabiej, wiceprezydent stolicy, ogłosił: „Warszawa ma wiele potrzeb, Pana rząd ograbił nas z wielu potrzebnych inwestycji, proszę sfinansować obwodnicę albo Sinfonia Varsovia".

Marek Szolc, warszawski radny KO, poszedł jeszcze dalej: „Panu premierowi mam do powiedzenia tylko jedno: po moim trupie. Nie ma zgody na oszpecanie Warszawy wtórnymi, bezwartościowymi gargamelami. Jak chce uczcić 100-lecie bitwy, niech da nam na dom kultury albo park". Partia Razem kpiła, żeby prawica powiedziała biednym, by „jedli łuki triumfalne" lub – tak jak w przypadku europosła Wiosny Łukasza Kohuta – by postawić łuk „przed kamienicą Banasia".

Z prawej strony posypały się inne zarzuty. Krytycy rządu wskazują, że Morawiecki wrócił do idei łuku na użytek najbliższej kampanii po paru ostatnich zmarnowanych latach, gdy nic w tej sprawie nie zrobiono. Jeszcze inni wezwali, by lepiej zburzyć najpierw Pałac Kultury. Pisarz Jacek Piekara nazwał pomysł banalnym i zadeklarował, że wolałby „coś w rodzaju »Panoramy Racławickiej", ale w najnowszych technologiach wirtualnych".

Przyłączając się do tej dyskusji, napisałem, że „w każdym normalnym kraju uczczenie łukiem triumfalnym stulecia największego polskiego zwycięstwa byłoby czymś normalnym, ale lewica i władze Warszawy, jak się zdaje, zrobią z tego wojnę na całego". W odpowiedzi przeczytałem, że łuki zwycięstwa to relikty epoki, kiedy toczyły się permanentne wojny, i wtedy takie pomniki miały określony cel. A teraz jest epoka pokoju i trzeba budować biblioteki.

Dobrze, tyle że przez cały XIX w., kiedy Napoleon budował w Paryżu Arc de Triomphe, w Londynie powstawał Łuk Admiralicji, a w Moskwie Łuk Triumfalny Bitwy pod Borodino, w Warszawie rządzili Prusacy, a potem Rosjanie. O żadnym czczeniu polskich zwycięstw nie było mowy. Na zbudowanie Łuku Bitwy Warszawskiej było tylko 20 lat międzywojnia. Projekt łuku stworzył Chorwat Ivan Meštrović, ale znów Niemcy napadli na nas w 1939 r., a potem komuniści aż do 1989 r. dbali, by żaden pomnik nie powstał.

Dlatego przenoszenie na nasz grunt przesytu łukami i kolumnami z Zachodu jest śmieszne. My po prostu nadrabiamy dekady, gdy obca władza zabraniała nam czczenia tych chwil, kiedy zdobywaliśmy się na wielkość. I wizualizacja takiej pamięci jest tak samo potrzebna jak budowa szpitali i bibliotek.

Gdy zapadła decyzja o budowie tęczy na placu Zbawiciela, nikt z lewicy jakoś nie mówił, że są ważniejsze potrzeby. Nie dajmy więc sobie wmówić, że to przeżytek.

Wiem jedno. Jeśli ten łuk nie powstanie teraz, gdy prawica jest u władzy, to nie powstanie nigdy.

FOT. ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

KŁOPOT Z SZEFEM NIK

„Liczę, że pan prezes NIK poda się dziś do dymisji" – oświadczył w ubiegły piątek premier Mateusz Morawiecki, który zapoznał się z raportem CBA dotyczącym kontroli oświadczeń majątkowych prezesa Najwyższej Izby Kontroli za lata 2015–2018. To czas, gdy Marian Banaś pełnił stanowisko wiceministra, a potem ministra finansów. Sejm nie może odwołać prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie było informacji o tym, by Marian Banaś podjął decyzję o rezygnacji ze stanowiska. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 037223689a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zdrajca

Pomijając zupełnie meritum sprawy – niech spróbują państwo sobie wyobrazić, że Stanisław Piotrowicz zostaje zaproponowany na sędziego Trybunału Konstytucyjnego nie przez PiS, ale przez obóz lewicowo-liberalny. Czy ktoś wtedy wypominałby mu przeszłość w PZPR i peerelowskie odznaczenia oraz nazywałby go prokuratorem stanu wojennego?

Budzi tyle wściekłości bynajmniej nie dlatego, że był w PZPR, ale dlatego, że PZPR zdradził

Oczywiście, i wiadomo, kto by to wtedy robił – PiS i sympatyzujące z nim media. Może tylko mniej propagandowo zręczne od przeciwników, nie ukułyby tej ostatniej zbitki – nigdy nie słyszałem, by – dajmy na to – wpadł ktoś na pomysł nazwania Jerzego Stuhra synem prokuratora stalinizmu. Atak by zapewne nastąpił, ale spotkałby się ze zdecydowanym odporem „opozycji totalnej" i jej tefałenów. Wynosiłyby one pod niebiosa wallenrodyzm Piotrowicza, jego konstruktywną postawę w trudnych czasach i pomoc, której udzielał prześladowanym działaczom Solidarności, ryzykując bardziej niż oni. Niewykluczone, że sam Michnik wziąłby go w obronę, odmawiając współczesnym hunwejbinom prawa do oceniania trudnych wyborów tamtych czasów – może nawet znowu huknąłby na PiS-owców po swojemu: „Ja nie byłem wtedy taki ostrożny, żeby dziś być taki odważny jak wy!".

Przy czym wszystko to miałoby charakter rytuału niebudzącego szczególnych emocji – bo każda strona grałaby wtedy rolę, do której od lat wszyscy przywykli. Sprawa Piotrowicza jest tak zapalna, a on sam tak często pojawia się w politycznej propagandzie i budzi tyle wściekłości bynajmniej nie dlatego, że był w PZPR – ale dlatego, że PZPR zdradził. Gdyby należał do tej partii dalej, to znaczy byłby dziś działaczem PO, PSL lub Lewicy, byłby na właściwym miejscu. Miałby moralne prawo chodzić z byłymi esbekami i milicjantami na manifestacje KOD czy Obywateli i krzyczeć „precz z komuną" albo miotać z sejmowej trybuny oskarżenia, że PiS dąży do przywrócenia PRL i podporządkowania nas Moskwie, a Kaczyński to drugi Gomułka.

Jednak skoro jest tak, jak jest – wszyscy mają z nim problem. I totalsi, bo zdrajców nienawidzi się najbardziej, i PiS-owcy, bo muszą dokonywać różnych wygibasów, żeby go sobie zracjonalizować. Piotrowicz to po prostu „dysonans poznawczy" – a wiadomo z prac psychologów, że nic nie wkurza bardziej. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Oskarżony zaczął „sypać"

Niby nie poszedł z prokuraturą na układ w zamian za mniejszy wymiar kary, nie współpracował z policjantami i przekonuje, że jest niewinny. I w ogóle w warszawskim magistracie za rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz nie działo się nic złego, a kamienice tak po prostu trafiały w ręce handlarzy roszczeniami. No i oczywiście – jakżeby inaczej – jak twierdzi – jest ofiarą nagonki PiS. A jednak wyjaśnienia, które złożył przed sądem Jakub R., były wicedyrektor Biura Gospodarowania Nieruchomościami, w stołecznym ratuszu, oskarżony w sprawie warszawskiej „reprywatyzacji" – powinny być traktowane jako najpoważniejsze dotąd oskarżenie wobec służb specjalnych i organów ścigania czasów PO-PSL. Oskarżenie o wynikającą z niekompetencji lub celową nieudolność.

Otóż rzeczony Jakub R. palnął beztrosko przed sądem, iż nic złego w postępowaniach spadkowych się nie działo, bo przecież w okresie rządów PO rokrocznie w magistracie były przeprowadzane liczne kontrole ABW, CBA, jednak niczego nie stwierdzono albo „niezależna prokuratura wszystko umarzała". Dopiero kiedy przyszła „dobra zmiana" – jak mówił z oburzeniem – „jak królik z kapelusza okazało się, że cały proces reprywatyzacji to jest wielkie szambo".

O informacjach o nieprawidłowościach i licznych kontrolach, które umierały w prokuratorskich aktach, opowiadali, także na łamach „Do Rzeczy", byli pracownicy magistratu. Jednak nikt tak mocno – inna rzecz, że między wierszami – jak Jakub R. nie dał do zrozumienia, że nad stołecznym ratuszem i reprywatyzacją był pewien ochronny parasol służb i prokuratury. Pytanie, co z tym zrobi dziś wymiar sprawiedliwości? I tu obawiam się, że niewiele, bo przecież nie chodzi o to, by złapać króliczka... ©℗

eprasa.pl 037223689a

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

epresa.pl 037223689a

ORP „ŚLĄZAK" ZACZYNA SŁUŻBĘ W ARMII PO 18 LATACH BUDOWY

Podczas ubiegłotygodniowych obchodów 101. rocznicy utworzenia Marynarki Wojennej po raz pierwszy na okręcie klasy patrolowa korweta podniesiono banderę i ORP „Ślązak" oficjalnie zaczął pełnić służbę w polskiej armii. – Byliśmy świadkami historycznej chwili. Ważne jest, aby Marynarka Wojenna się rozwijała – mówił podczas uroczystości w porcie wojennym w Gdyni szef MON Mariusz Błaszczak. ORP „Ślązak" wchodzić będzie w skład Dywizjonu Okrętów Bojowych 3. Flotylli Okrętów.

Okręt wykorzystywany będzie do zwalczania celów na wodzie, w powietrzu oraz zagrożeń asymetrycznych. Jest przeznaczony również do patrolowania wodnych szlaków komunikacyjnych oraz ochrony komercyjnych statków. Ma 95 m długości, 13 m szerokości, a wyporność na poziomie 1800 t. Osiąga maksymalnie ok. 30 węzłów.

Jego budowę rozpoczęto w 2001 r. jako wielozadaniowej korwety Gawron. Rząd zakładał wówczas zakup siedmiu takich jednostek. Ostatecznie plany zredukowano do jednej. W 2012 r. postanowiono dokończyć projekt jako okręt patrolowy. Koszt budowy okrętu przy podpisaniu pierwszej umowy miał wynieść 638 mln zł. Ostatecznie jednostka budowana przez 18 lat pochłonęła według szacunków 1,5 mld zł. ***(luz)*** ©℗

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Orwellu jak u Orwella

We Włoszech nastał czas wielkich odkryć. Jeszcze nie zdążyliśmy się otrząsnąć ze stuporu po historycznej rewelacji, że to włoska lewica obaliła berliński mur, a pojawiła się jeszcze większa sensacja, tym razem literacka: George Orwell swoją twórczością walczył z imperializmem i faszyzmem.

Nakładem czołowego włoskiego wydawnictwa Mondadori ukazał się nowy przekład „Roku 1984". Tłumaczył Nicola Gardini, znany pisarz wykładający literaturę na Oksfordzie. Popełnił również posłowie: „Opisywany przez Orwella faszyzm odwołuje się do totalitaryzmu rosyjskiego i kojarzy się ze współczesnymi totalitaryzmami. Uderza brak wyraźnej krytyki brytyjskiego imperializmu i systemu klasowego [...]. Orwell nie identyfikuje faszyzmu z konkretnym systemem rządów". Dalej czytamy, że Orwell „poświęcił życie obronie wolności i prawdy, piętnując wszystkie perwersje polityczne: od imperializmu przez niesprawiedliwość społeczną do totalitaryzmów wszelkiej maści". A na dodatek: „»Rok 1984« to dramatyczne ostrzeżenie przed nienawiścią wobec innych, kłamstwem, fałszem, populizmem".

Szkoda, że Gardini z ostrzeżeń przed fałszem i kłamstwem nie skorzystał. Przecież Orwell wyraźnie tłumaczył, po co pisze swoje książki i eseje: „Uważam za sprawę największej doniosłości, by obywatele Zachodu otworzyli oczy na rzeczywistość w Sowietach, bo nie zdają sobie sprawy z istnienia gułagów, masowych deportacji, więzienia bez procesu i cenzury". Gardini musi przecież te słowa znać. A jednak – jak się domyślam, z powodów ideologicznych – nałgał z premedytacją. Osobiście nie widzę żadnej moralnej ani intelektualnej różnicy między Gardinim a neofaszystami z wygolonymi głowami, którzy wystawiają warty honorowe przed mauzoleum Mussoliniego w Predappio.

Oksfordzki wykładowca Gardini niczego niestety z Orwella nie zrozumiał. Zachował się bowiem jak wzorowy pracownik Ministerstwa Prawdy. Ewaporował pojęcia „Związek Sowiecki" i „komunizm". Wielki Brat, któremu Gardini tak gorliwie służy, jest na pewno bardzo dumny. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Europejski standard

Twitter to niezwykłe miejsce. Czasem wystarczy kogoś zacytować, aby rozpętać burzę. „Jacek Jaśkowiak w RMF: »Gdyby to ode mnie zależało, małżeństwa homoseksualne byłyby w Polsce legalne«. Wymarzony dla Platformy start prekampanii prezydenckiej" – napisałem. „A może czas wreszcie uznać, że to sensowny europejski standard. A nie rytualnie załamywać ręce, gdy ktoś ma odwagę powiedzieć to publicznie?" – odpowiedział Konrad Piasecki.

I tak wywiązała się bardzo ciekawa dyskusja o podstawach demokracji. Ale po kolei. „Czy ktoś Platformie broni powiedzieć to publicznie? Niech powie, idzie z tym postulatem do wyborów i wystawi go pod osąd opinii publicznej. Jeśli Polacy w większości poprą postulat małżeństw par jednopłciowych – sprawa będzie jasna" – odparłem.

„Właśnie ktoś powiedział. Przy czym są takie postulaty, które nie zyskują poparcia większości, a elity je wprowadzają. Vide kara śmierci" – przekonywał Piasecki. „No to jeśli te elity mają albo chcą coś wprowadzić, dobrze byłoby, aby najpierw wygrały demokratyczne wybory. Chyba że są jakieś inne metody stanowienia prawa w Polsce, o których nie wiem" – postanowiłem dopytać redaktora.

W tym momencie do dyskusji wkroczył Waldemar Kuczyński. „Zdumiewa mnie pana »przenikliwość«. Nie widzi innych niż wybory metod stanowienia prawa, choć ma je przed oczami piąty rok. PiS tworzy »prawo«, złamawszy mandat wyborczy do rządów konstytucyjnych. Prawo po 1933 r. nie było w Niemczech skutkiem wyborów, lecz gwałtu, jak dziś u nas" – stwierdził były minister, który nawet z tematu o PO i homoseksualistach umie zrobić coś o PiS-ie i Hitlerze.

Wracając do dylematów Konrada Piaseckiego. „Ale Pan się krzywi już na etapie ogłaszania poglądów potencjalnego kandydata. To kiedy należy o tym mówić, jak nie w tym momencie?" – rzucił w eter. Tylko jak tu wytłumaczyć, że ja się nie „krzywię", tylko zwyczajnie w świecie zwracam uwagę, że w obecnym układzie społeczno-politycznym w Polsce taka deklaracja to prezent dla PiS-u i ból głowy dla Kidawy-Błońskiej? A zresztą. Jeszcze kiedyś będzie normalnie, jeszcze będą rządy elit. ©℗

eprasa.pl 037223689a

eprasa.pl 0372236689a

Laureaci, goście i organizatorzy konkursu „100% Polski Produkt" FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Polacy wolą polskie

Już po raz czwarty „Do Rzeczy" uhonorowało najlepsze polskie produkty na rynku

W ubiegłym tygodniu podczas gali w warszawskim hotelu Polonia Palace wręczono nagrody laureatom czwartej już edycji konkursu „100% Polski Produkt" tygodnika „Do Rzeczy". Ma na celu promowanie najlepszych produktów wytwarzanych w polskich przedsiębiorstwach. Na uroczystości obecni byli: przedsiębiorcy, ministrowie i przedstawiciele Kancelarii Prezydenta.

Galę otworzył zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Piotr Gabryel. – Gdy kilka lat temu po inwazji Rosji na Krym i Donbas w Polsce pojawiały się pomysły na bojkot rosyjskich produktów, uznałem to za karkołomne. Bo co mielibyśmy przestać kupować, przecież nie kałasznikowy czy wyrzutnie rakiet – mówił Gabryel. – Jednocześnie zastanowiłem się, jakież to polskie produkty chciałbym mieć. I okazało się, że polskie i dobre mogę mieć prawie wszystko: skórzane rękawiczki, świetne koszule, buty, okna, kosmetyki, meble, rowery, biżuterię czy aplikacje do płatności elektronicznych. A już polskiego jadła i trunków nie zamieniłbym na pewno na żadne inne – wyliczał. I dodał: – Ta lista wciąż się wydłuża, a patriotyzm gospodarczy kwitnie – już teraz 80 proc. Polaków przy zakupach zwraca uwagę na kraj pochodzenia produktu, a 90 proc., jeśli ma możliwość wyboru, kupuje produkty polskie. I to właśnie promocji takich zachowań ma służyć nasz konkurs.

– Cieszy, że doceniamy rodzimych przedsiębiorców i chwalimy się tym, co jest naprawdę dobre jakościowo – podkreślała Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej. – Jesteśmy rozpoznawalni nie tylko na terenie naszego kraju, lecz także na arenach międzynarodowych. Sama dumna jestem np. z firmy Inglot, pochodzącej z mojego regionu. Udowadnia, że można sięgnąć szczytu, mimo że droga do niego na początku naprawdę nie jest łatwa – opowiadała.

Minister przypomniała, że ubiegły rok był najlepszym, jeśli chodzi o wartość eksportu, który wyniósł 223 mld euro. – W pierwszych pięciu branżach są branże z Polski: tytoniowa i meblarska, ale są też branże gier wideo, poligraficzna – podkreślała Jarosińska-Jedynak. I zwróciła się do gości gali: – Gratuluję państwu, że wpływacie na rozwój naszej gospodarki.

WÓDKI I STADION

Nagrody „100% Polski Produkt" wręczono w dwóch kategoriach. W pierwszej: Małe i Średnie Przedsiębiorstwa, uhonorowano dwie firmy.

BZK Alco SA dostała nagrodę za tercet wódek nawiązujących do polskich wieszczów.

– To wielki dzień dla nas, bo jesteśmy niedużą firmą – mówił odbierający wyróżnienie prezes Grzegorz Chojnacki. – I ta nagroda jest dla nas o tyle ważna, że jesteśmy 100-procentowo polskim

eprasa.pl 037223689a

Wyróżnienia „100% Polski Produkt" wręczono w dwóch kategoriach – Małych i Średnich Przedsiębiorstw oraz Dużych Przedsiębiorstw FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

kapitałem, a to już w tej branży rzadkość. Wykorzystujemy też w 100 proc. polskie surowce. No i polska wódka jest najlepsza na świecie!

Drugie wyróżnienie przyznano stadionowi PGE Narodowy za wielofunkcyjną arenę sportowo-widowiskową. Nagrodę odebrała Alicja Omięcka, prezes zarządu operatora PGE Narodowy. – Jesteśmy dumni z tej nagrody, tym bardziej że kapituła uznała, iż powinniśmy znaleźć się wśród marek i firm rozwijających się na rynku polskim i odnoszących sukcesy w Polsce i za granicą, które kierują się nie tylko zyskiem, lecz także biorą pod uwagę czynniki społeczne – powiedziała Omięcka.

Przed wręczeniem nagród w kolejnej kategorii głos zabrał publicysta „Do Rzeczy" Rafał Ziemkiewicz. Opowiadał o trudnych losach polskich przedsiębiorców, których przez wieki traktowano z lekceważeniem. – Pogarda dla przedsiębiorczości płynęła przez historię, ale potępiani przez elity przedsiębiorcy radzili sobie jednak coraz lepiej – wspominał Ziemkiewicz. – Wprawdzie każdy rząd po 1989 r. zapalał taki wielki neon „Chwała przedsiębiorcom", ale potem okazywało się, że coś w nim nie świeci, najczęściej litery „Ch" – żartował. Tłumaczył też, dlaczego nasz tygodnik zdecydował się przyznawać taką nagrodę. – Polscy przedsiębiorcy niczego nie potrzebują, przywykli do tego, że muszą sobie radzić i że traktuje się ich jak owce, które można strzyc. Ale jednego potrzebują – społecznego szacunku, zajęcia w świadomości Polaków takiego miejsca, jakie w USA w świadomości mieszkańców zajmują tamtejsi lokalni przedsiębiorcy – apelował.

Nagrody w kategorii Duże Przedsiębiorstwa wręczał wiceminister cyfryzacji Adam Andruszkiewicz. – Nas, polityków, dziennikarze często pytają, jak wygląda współczesny patriotyzm. I sugerują, że dziś, gdy nie trzeba umierać za ojczyznę, może jest nim segregowanie śmieci i oszczędzanie wody. Ta gala jest odpowiedzią na to, czym jest dziś patriotyzm – jest patriotyzmem gospodarczym, konsumenckim – mówił Andruszkiewicz. – Polacy się bogacą i wydają coraz więcej. My jako rząd mówimy im, by wybierali polskie produkty nie tylko dlatego, że należy kochać swój kraj – wybierają, bo dziś te produkty są po prostu lepsze i jest to także wybór bardzo praktyczny – zauważył.

Minister wspominał też, że należy się zmierzyć z mitem, który wyrósł w III RP – że jako polskie państwo wchodzące do Unii Europejskiej musimy przyjąć, iż nie powinniśmy mieć dużych przedsiębiorstw z polskim kapitałem, bo jest zachodni i ma lepsze technologie. I że wystarczy to przyjąć, byśmy stali się Europejczykami. – Teraz to zmieniamy, wspieramy polskich przedsiębiorców, odzyskujemy inicjatywę – wskazywał Adam Andruszkiewicz. – Umacniamy suwerenność gospodarczą i Polska przechodzi do kontrofensywy gospodarczej na świecie.

ZDROWIE, MLEKO I SŁODYCZE

Wśród dużych przedsiębiorstw nagrodę przyznano PZU Zdrowie SA za sieć prywatnej opieki medycznej. To spółka, która zatrudnia dziś blisko 5 tys. osób, ma własną infrastrukturę medyczną, sprzedaje też ubezpieczenia medyczne.

– Cieszy mnie ta statuetka, bo PZU Zdrowie jest 100-procentowo polskie – mówiła Julita Czyżewska, prezes zarządu PZU Zdrowie. – PZU ma już 200-letnią trady-

DZIĘKUJEMY PARTNEROM ZA POMOC W REALIZACJI GALI

PARTNER STRATEGICZNY
ORLEN

PATRONAT HONOROWY:
MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII
MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU
MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

PARTNER GŁÓWNY
KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER GALI
arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

PARTNERZY:
Poczta Polska
Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa
PRODUKT POLSKI

eprasa.pl 037223689a

Publicysta „Do Rzeczy" Rafał Ziemkiewicz apelował o docenianie polskich firm i ich produktów FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej, wręczyła nagrodę Markowi Chraniukowi, prezesowi PKP InterCity SA FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

cję, a my sami mamy już pięć lat. I w tym czasie pozyskaliśmy 3 mln klientów, którzy postawili na nasz abonament lub ubezpieczenia zdrowotne. Do tego doliczyć trzeba jeszcze ludzi, którzy korzystają z indywidualnych wizyt u lekarzy. Cieszy mnie to, gdy klienci odchodzą od zagranicznych operatorów medycznych i przychodzą do nas.

Za wielkie widowiska tożsamościowo-narodowe kapituła konkursu wyróżniła TVP SA. W imieniu prezesa Telewizji Polskiej nagrodę odebrał Robert Solek, zastępca dyrektora ds. korporacyjnych TVP SA. – Jesteśmy z rodakami wtedy, gdy świętują sukcesy, choćby ostatnio ten Viki Gabor, która wygrała Eurowizję Junior, albo gdy wygrywamy na Narodowym w piłkę nożną, gdy Kamil Stoch staje na podium – mówił Solek. – Jesteśmy też z Polakami, gdy razem śpiewamy piosenki patriotyczne i uczestniczymy w marszach. Jesteśmy też teraz w miejscu bardzo bliskim każdemu Polakowi, bo kilkanaście dni temu otworzyliśmy studio TVP w Wilnie. My w Telewizji Polskiej myślimy po polsku i serce telewizji polskiej bije po polsku – akcentował.

Kolejne wyróżnienie – za produkty mleczarskie pod własną marką – otrzymała Grupa Mlekovita. – Idea polskiego produktu świetnie się wpisuje w to, co robi nasza spółdzielnia mleczarska – mówił przedstawiciel firmy Jarosław Jaroszewicz. – Większość naszych produktów sprzedawana jest w Polsce, ale obecni jesteśmy w sumie na 159 rynkach świata. Część naszych produktów ma w nazwie „polski" i to jest najlepszy dowód na to, jak bardzo myślimy o polskich konsumentach.

Kapituła wyróżniła także Przedsiębiorstwo Wyrobów Cukierniczych Odra za chałwę z solonym karmelem oraz chałwę z czekoladą i ze skórką pomarańczy. Nagrodę odebrał Bogusław Szladewski, prezes zarządu ZPC Otmuchów SA, do której grupy należy Odra. – Taka mała chałwa, a takie duże wyróżnienie – zaczął zabawnie Szladewski, dziękując za wyróżnienie. – To, że dziś rozmawiamy o polskich produktach i polskich przedsiębiorcach, jest dla nas niezwykle istotne. To bowiem konsumenci decydują, które marki i przedsiębiorstwa wspierają. Dlatego cieszymy się z takich inicjatyw jak ten konkurs, bo to nas mocno wspiera – zaznaczał. Podkreślał, że marka Odra obecna jest na rynku już od 70 lat i kojarzy się ludziom z truflami, galaretkami oraz właśnie chałwą. – Chałwa wygląda prosto, ale to produkt kapryśny i wymagający. Trzeba dużej zdolności ludzkiej przy wyrabianiu masy, żeby nie była zbyt krucha i twarda – opowiadał o kulisach produkcji. – To właśnie w spółce kultywujemy, nasz know-how, którego nie chcemy utracić – podkreślał.

DOWIEŹĆ POLAKÓW

W ramach konkursu przyznano jedną nagrodę główną „100% Polski Produkt". Otrzymało ją PKP InterCity SA za konsekwentny rozwój połączeń krajowych i międzynarodowych oraz skuteczną realizację strategii inwestycyjnej.

– To duże wyróżnienie, które odbieram, gdy obchodzimy właśnie święto kolejarzy. Chciałbym więc tę nagrodę dedykować wszystkim kolejarzom traktującym swoją pracę jako służbę – mówił Marek Chraniuk, prezes PKP InterCity SA. – Mamy się czym chwalić. W porównaniu z rokiem 2015 mamy o ok. 65 proc. pasażerów więcej. A firma jeszcze wtedy miała inne plany. Udało się to zmienić i opracować np. strategię taborową. Udało nam się też obsłużyć wiele ważnych imprez, np. Światowe Dni Młodzieży w 2016 r. Warto tak pracować, by ludzie dostrzegali to, co jest najlepsze dla nich, dla pokoleń, dla Polski – przekonywał.

POLSKA SMAKUJE

Podczas gali wręczono także – już po raz drugi – nagrody „Polska Smakuje" Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa przyznawane pod patronatem „Do Rzeczy".

– Chcę przekornie zapewnić państwa, że nie kto inny kilka stuleci temu ustalił program rządu Morawieckiego i ministra Ardanowskiego w obszarze rolnictwa jak arcy-Polak Onufry Zagłoba – żartował podczas rozdania nagród wiceminister rolnictwa Szymon Giżyński. – Ten program brzmi: zjadłbym co dobrego, byle dużo.

Nagrody „Polska Smakuje" otrzymały firmy: Runoland Sp. z o. o., Polder Sp. z o. o. oraz Tree Nuts Zbigniew Ciemniewski Przetwórstwo Rolno-Spożywcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

FOT. TOMASZ DYCZEWSKI

Rozmowa z Grzegorzem Chojnackim, prezesem firmy BZK Alco SA

Wódki kulturalne
zmieniają polskie obyczaje picia

Skąd pomysł na stworzenie linii wódek kulturalnych ku pamięci naszych wieszczów narodowych?

Trochę przewrotnie podeszliśmy do stosunku Polaków do picia. Nadając naszym wódkom te dumnie brzmiące nazwy, chcieliśmy rozpocząć promowanie kulturalnego picia. Odwołując się do każdemu w Polsce znanych wieszczów narodowych, chcemy zwrócić uwagę Polaków na to, że konsumpcja alkoholi nie musi być ordynarna. Chcemy uczyć poszanowania dobrych obyczajów. Nasze wódki, które roboczo nazywamy wódkami kulturalnymi, nie mają wiele wspólnego z wódkami masowymi, ekonomicznymi. Są to wysokoprocentowe napoje z segmentu premium o dobrej i stabilnej jakości. Dlatego uznaliśmy, że to, czym Polska się szczyci, bez względu na zmieniającą się modę i światopoglądy, nasze dziedzictwo kulturalne, powinno być połączone z produkowaną w najlepszej technologii polską wódką. Chcemy wykreować trend kulturalnego picia.

Wasze kulturalne wódki już zdobywają cenne nagrody...

Tak, wódka powstała w hołdzie wieszczowi, dostępna na rynku od maja tego roku, już została wyróżniona Złotym Medalem 22. Międzynarodowych Targów Biznes Żywność Medycyna w Rzeszowie. Warto również wspomnieć o cennych nagrodach, które zdobyły inne wódki BZK Alco, np. trzy złote medale zdobyte w prestiżowym międzynarodowym konkursie Monde Selection 2018, srebrny medal w konkursie The San Francisco World Spirits Competition oraz w The International Spirits Challenge 2018.

Chwalicie się, że wasze wódki premium charakteryzuje wysoka czystość. Jak ją osiągacie?

Dzięki temu, że BZK Alco wchodzi w skład jednej z największych w Polsce grup przetwórstwa rolnego, do której należą również: Bakoma, Bakoma-Bis, Polskie Młyny, Komagra, Bioagra, Bioagra-Oil i Staoil, jesteśmy chyba jedyną firmą w Polsce, która jest w stanie kontrolować proces produkcji alkoholi od początku do końca. Sami kontrolujemy zboże, które kupujemy albo siejemy na własnych polach. Mamy też najnowocześniejszą siedmiokolumnową rektyfikację w kraju. Nasz spirytus przechodzi przez aż 488 półek, w wyniku czego wyciągane są z nich zanieczyszczenia. Nie bez znaczenia jest również najnowocześniejszy system filtracyjny. Stosujemy filtry z węglem aktywnym wytwarzanym z łupin kokosa oraz filtry uszlachetniające, m.in.: platynowy, diamentowy, z kryształów górskich. Wszystko to gwarantuje ultraczysty spirytus zatwierdzony w naszym laboratorium, gdzie oprócz metod kontroli organoleptycznej stosujemy kontrolę jakości produktów chromatografem gazowym.

BZK Alco mówi również o kultywowaniu tradycji gorzelniczych. Co to właściwie oznacza?

Po pierwsze – zakład w Janikowie, a dokładniej w przedwojennym Folwarku Janików pod Kozienicami, jest w miejscu, gdzie przez 400 lat mieścił się majątek benedyktynów, którzy mieli swoje autorskie receptury gorzelniane. Jesteśmy też spadkobiercą gorzelni w Bielicach, która ma ponad 110 lat. Na tym opieramy swoje doświadczenia i prawdziwość. Staramy się, aby nasze wódki produkować z wykorzystaniem nowoczesnych narzędzi i opierać na tradycyjnych recepturach. Dlatego robimy nie tylko wódki czyste, wytwarzane dzięki najnowocześniejszej fabryce i innowacyjnej technologii, lecz także alkohole rzemieślnicze – inaczej kraftowe. Takie alkohole to prawdziwe tradycyjne rzemiosło. Ręczna robota, jak za dawnych czasów, sygnowana imieniem kulturowej, choć fikcyjnej postaci literackiej lub po prostu nazwą miejsca produkcji. Wszystko jest w 100 proc. naturalne, a receptury, choć autorskie, to inspirowane są starymi przedwojennymi przepisami.

Nad tym wszystkim czuwają polskie ręce i oczy. Ilu zatrudniacie pracowników?

Mamy dziś ok. 100 pracowników. Jesteśmy jednym z ostatnich zakładów w tej branży w Polsce, który ma 100-procentowo polski kapitał.

Wasza ultranowoczesna fabryka i stosowana tam technologia to zasługa polskich ekspertów czy ściągnęliście fachowców z zagranicy?

Filozofią naszej firmy jest promowanie polskości. Oprócz tego, że jesteśmy w 100 proc. polskim kapitałem, wykorzystujemy przede wszystkim polski potencjał ludzki i polskie surowce. Oczywiście jeśli tworzymy alkohol typu whisky, brandy czy gin, to wykorzystujemy składnik sprowadzony z innego rynku, bo te alkohole nie są oryginalnie polskie. Wszystko inne, co może być użyte do produkcji, czerpiemy z kraju. Dotyczy to również wybudowania naszej fabryki. Tylko polskie firmy budowlane i powstałe w Polsce technologie stoją za jakością i wartością naszych alkoholi. Wspieramy to, co polskie i co lokalne. Promujemy polskość, odwołując się do patriotyzmu Polaków. Taka jest nasza biznesowa idea.

A jak wspieracie to, co lokalne?

W oczywisty sposób – dając miejsca pracy wielu ludziom. Korzystając tylko z usług firm polskich, najchętniej w pobliżu naszych fabryk w Janikowie czy Bielicach.

Pojawiają się ostatnio głosy, że jest problem i Polacy piją za dużo wódki, zwłaszcza tej w małych butelkach. Od strony rynku też to obserwujecie? Jak pan to ocenia?

Nie mam takiego pesymistycznego obrazu rynku wódki, jaki niektórzy przedstawiają. Mamy różnorodność pojemności tego alkoholu, ale nie sądzę, że odbiegamy daleko od świata w tych kwestiach. Od kilku dobrych lat obserwujemy trend premiumizacji – alkohole najsłabsze jakościowo zanikają, a konsumenci sięgają coraz częściej po alkohol wysokiej jakości, który inaczej się spożywa, w BZK Alco mówimy o konsumpcji kulturalnej. Kiedyś osobiście przeprowadziłem kontrolę zbytu tych tak zwanych setek wódki sprzedawanych w Polsce. Mówi się, że w naszym kraju 3 mln takich „setek" schodzi dziennie z półek sklepowych – tymczasem prawda jest taka, że nie produkuje się nawet miliarda butelek małej pojemności. Rynkowo wiemy już, że to jest dużo, dużo mniej. Jestem w tej branży od ponad 20 lat i wiem, że pod koniec lat 90. w Polsce piło się statystycznie 12 litrów na osobę, a dziś pije się 3 litry. Nastąpiła więc duża poprawa kultury picia i oby w tym kierunku to dalej szło. Dywersyfikacja alkoholi też nie jest bez znaczenia, dziś pije się whisky, wino i coraz więcej piwa. To dobry obraz naszej narodowej tradycji picia, która zmienia się z picia na umór na – podkreślę raz jeszcze, bo o to nam chodzi w BZK Alco – picie kulturalne! ©℗ *(luz)*

eprasa.pl 037223689a

FOT. PAWEŁ GROMADA

KTO ZNA PRZEBOJE EDZI

Plotkarskie media donoszą, że Edyta Górniak podobno poczuła miętę do swojego instruktora, który uczy ją jazdy samochodem w programie TVN. Sprawa jest poważna, bo umówili się już ponoć nawet na wspólny trening jogi! Ich flirt ma być widać także na ekranie w najbliższych odcinkach.

– Dawid niedawno zerwał z dziewczyną. Zdradził Edycie, że jest singlem – opowiada Pudelkowi osoba z produkcji programu. – Opowiada jej o jodze, mimo że... nigdy nie ćwiczył. To taki jego sposób na poderwanie Edi – dodaje. Okazuje się, że instruktor ujął Edytę nie tylko rozmowami o jodze, lecz także jeszcze czymś. – Dawid bardzo spodobał się Edycie. Ujął ją tym, że nie zna jej piosenek i nawet nie wiedział, jak wygląda przed nagraniami – zdradza źródło portalu. Nie znać piosenek Edyty Górniak? Też wyczyn! Pokażcie nam kogoś, kto zna jakikolwiek jej przebój, nie licząc tego z Eurowizji sprzed 25 lat. No właśnie.

OPTYMIZM KAZA

Biedny Kaz Marcinkiewicz nadal żyje cały w stresie, nie wiedząc, co znów wywinie i powie jego była żona Isabel. Jakiś czas temu stwierdził już, że jest gotów nawet na więzienie.

– Chcę jak najszybszego procesu, by poddać się karze za to, że nie zarabiam. Wytrzymałem trzy lata małżeństwa, to wytrzymam więzienie – powiedział wtedy. Teraz opowiada „Faktowi", że od czasu, gdy poznał Isabel, ciągle ją utrzymuje. I dlatego chciałby już od niej uciec. – Odkąd ją poznałem, zawsze płacę. Przez połowę jej dorosłego życia ona nie pracuje i żyje z pieniędzy przeze mnie zarobionych. Doskonale wie, że jak mam, to się z nią dzielę, ale ona chce mnie publicznie „zgładzić", więc prawie od pięciu lat opowiada o mnie kłamstwa – mówi „Faktowi" Marcinkiewicz. – Ona od siedmiu lat nic o mnie nie wie, bo uciekłem od niej. I ucieknę na dobre – zapowiada. Z tym „na dobre" to Kaz jest dużym optymistą. Wielkim.

NATURALNA DO CZASU

Piosenkarka Ewelina Lisowska niedawno poskarżyła się na Instagramie, że po tym, jak wrzuciła do sieci swoje zdjęcie w wersji naturalnej, bez makijażu, zaczęła tracić fanów, którzy dotąd obserwowali jej profil. Postanowiła więcej nie ryzykować z apelami o naturalność. W ramach leczenia skołatanych całą sytuacją nerwów Ewelina wybrała się do fryzjera. Efektami swojej metamorfozy oczywiście natychmiast podzieliła się ze światem. – Kiedy kobieta nie wie, co zrobić ze swoim życiem, robi

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

grzywkę – podpisała zdjęcie, prezentujące nową fryzurę. Zdjęcie nie jest już w wersji całkiem naturalnej, lecz normalnej, celebryckiej. Widać nauka nie poszła w las.

NIECH ŻYJE SKROMNOŚĆ!

Aktor Jarosław Jakimowicz został właśnie jednym z nowych prowadzących program „Pytanie na śniadanie" i widać uwierzył, że ma swoje drugie pięć minut, i chce je wykorzystać, jak się da. W sumie trudno się dziwić. Aktor zapowiedział, że chciałby napisać książkę. Autobiografię oczywiście, na której podstawie powstałby później film o jego życiu. „Do napisania autobiografii namówiła mnie pisarka kryminałów, Katarzyna Bonda. Powiedziała, że mam tak kolorowe i bujne życie, że powinienem najpierw napisać o nim książkę, a później nakręcić o nim film – powiedział Jakimowicz w rozmowie z portalem Plejada. – Czy będzie film? Zobaczymy. Niewykluczone, że i moje życie zostanie sfilmowane – dodaje aktor. Oby tylko sam w tym filmie nie chciał grać. Bo wtedy z sukcesu nici.

POWRÓT KRETA

News tygodnia! Jak donosi „Fakt", Jarosław Kret powraca do gry. A konkretnie do zapowiadania prognozy pogody. Otóż, Kret będzie teraz pogodynkiem w Polsacie. Będzie zapowiadał pogodę w „Wydarzeniach" i Polsat News. Podobno pracy nie dostał po znajomości, lecz wziął udział w standardowej rekrutacji, wysłał CV, zaprezentował swoje umiejętności i robotę dostał. – Jarek wziął udział w normalnej rekrutacji. Przystąpił do konkursu z innymi kandydatami. I okazał się najlepszy, dlatego dostał tę pracę – mówi informator „Faktu". Cieszymy się, że Kret wyszedł już z depresji, o której wcześniej opowiadał w wywiadach, i że wraca do pracy. Liczymy, że niebawem wróci też do udzielania wywiadów. Na to czekamy najbardziej! ©℗

eprasa.pl 037223689a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pewnie nie zwróciliście do tej pory uwagi na to, iż międzynarodowe porty lotnicze w tym kraju są kolejnym narzędziem patriarchalnej dominacji i opresji, prawda?

Otósh zauważcie, iż każdy najważniejszy port lotniczy w Polsce nosi imię fallusoosoby – a więc ma patrona, a nie matronę. Warszawa – Fryderyk Szopen, Kraków – Jan Paweł II, Poznań – Henryk Wieniawski, Wrocław – Mikołaj Kopernik.

Gdańsk – Lech Wałęsa, ale to akurat jest OK.

Mimo wszystko widać jednak brak zróżnicowania, niedoreprezentowanie jakichkolwiek mniejszości oraz pogardę wobec kobiet. Chcielibyśmy, aby tym tematem zajęły się feministki, iż jest to palący problem społeczny i z jego rozwiązaniem nie ma co czekać.

Bardzo nas irytują wyprzedaże w ramach Black Friday. Zarówno na poziomie językowym, jak i społeczno-gospodarczym. Nie powinno być to dozwolone we współczesnym świecie.

Kwestii językowych chyba nie musimy tłumaczyć? Pigmentalnie uposażony Friday (iżby jednak całkiem nie spolszczać tej zachodniej jednak nazwy) powinien być standardową formą neutralną światopoglądowo.

A skoro już robimy wyprzedaże, to czy równie dobrze nie można byłoby pójść o drobny krok dalej i rozdawać tego dnia towary za darmo? Zgodnie z powiedzeniem „towar prawem, nie towarem". Tak to powinno wyglądać!

Jeśli już mówimy o narzędziach patriarchalnej opresji, to musimy wspomnieć też o Robercie Lewandowskim, którego maskulinizm może doprowadzić do tego, że wielu fallusoosobników na całym świecie może mieć kompleksy i czuć się z jego powodu gorzej.

Nie mówimy już tylko o piłkarzach przeciwnych drużyn, ale o zwykłych mężczyznach, którzy muszą mierzyć się ze wzorcem Lewandowskiego w swoich domach i zakładach pracy.

Dlatego więc uważamy, iż w trosce o dobre samopoczucie i tolerancję Robert Lewandowski, jako patriarchalne narzędzie ucisku, powinien zostać zdelegalizowany. Ewentualnie mógłby przestać tyle strzelać i dostosować się poziomem do przeciętnego piłkarza polskiej Ekstraklasy, iżby inni nie musieli się z jego powodu czuć gorsi. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 037223689a

dwaj panowie g

Faworytem mec. Romana zwanego Koniem w wyborach kandydata na kandydata na prezydenta był Szymon Hołownia. Szybko się to zmieniło

Pozdrawiamy tych, którym się wszystko kojarzy. Z okazji sprawy Pancernego Mariana Banasia. Nam też. Poddajemy pod rozwagę taką koincydencję – koniec negocjacji koalicyjnych PiS, SolPol i Porozumienia, lektura raportu ws. Banasia przez Kaczora Dyktatora oraz premiera Mateusza, no i żądanie dymisji Banasia. Przypadek?

Nie było łatwo. Przypomniało nam się, jak pewien ważny członek rządu przekonywał nas kilka miesięcy temu, że Banaś to kandydat idealny, bo mają do niego zaufanie i Naczelnik Państwa, i pan premier. Sic transit gloria i zaufanie, jak mawiali Rzymianie.

Tak naprawdę to ciekawe opinie o sprawie Banasia zaczęli na offie formułować ministrowie już dobry miesiąc temu. Jeden z nich użył nawet w rozmowie słowa „kret". Inny bąknął coś o powtórce ze sprawy Kornatowskiego i Kaczmarka. Jeszcze inny, najwyższy stopniem, o tym, że poszukiwania świadków, którzy towarzyszyli opozycyjnej karierze Banasia, trwają, ale są jakoś dziwnie bezowocne.

Za kulis sprawy Banasia dotarły też do nas interesujące wyniki badań. Otóż PiS sondował mocno elektorat w sprawie rozmaitych wydarzeń oraz postaci. I okazało się, że elektorat za bardzo obrony Banasia nie rozumie. Co gorsza, elektorat niespecjalnie dumny jest także z Krystyny Pawłowicz i ze Stanisława Piotrowicza. Rozumiemy już, w jakim celu trafili do Trybunału Konstytucyjnego. Aby tam godnie milczeć i nie być widoczni na co dzień.

Apropos rozmaitych badań. I zmian. Zauważyliście, że w rządzie nie ma już prof. Waldemara Parucha? Za moment może też nie być Centrum Analiz Strategicznych. Co nie zmienia faktu, że mocny zespół nadal będzie sondował, badał i oceniał nastroje Polaków tudzież stawiał wyborcze prognozy. Tyle tylko, że – jak nam powiedziała pewna rządowa wiewiórka – „nie przywiązujemy się za bardzo do nazw".

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Będą za to w kancelarii premiera nowe ciekawe ciała. Na przykład komórka, która ma zająć się promowaniem i nagłaśnianiem rozmaitych inicjatyw, które już weszły w życie i są dobre dla elektoratu, ale elektorat o tym nie wie, gdyż w natłoku rozmaitych informacji wieści się zagubiły. Na przykład zdziwilibyście się, słysząc, jak niewielu seniorów wie o tym, że przysługują im tanie leki po 75. roku życia.

Tymczasem w pałacu prezydenckim. Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia szykuje się tradycyjna wyprawa z życzeniami do żołnierzy polskich za granicą. Przez moment rozważano Liban, ale uznano, że to zbyt świeżutki kontyngent. Zdradzimy troszkę: prezydent Andrzej Sebastian poleci na zagraniczną wyspę, na której stacjonują polscy lotnicy. Jest tam też świetne wino.

Zmiany, zmiany. Pisaliśmy niedawno o spodziewanych zmianach także w służbach specjalnych. Są pierwsze konkrety. Jak opowiadają wiewiórki, w Służbie Wywiadu Wojskowego dotychczasowy szef gen. Andrzej Kowalski zostanie zastąpiony wiceministrem z MON, niejakim Markiem Łapińskim.

Zmiany, jak wiadomo, generują kolejne zmiany, więc obracamy troszkę naszą kadrową karuzelę – wraz z globusem. A to dlatego, że zmiana będzie się wiązać ze zmianą długości i szerokości geograficznej. Jak wieść niesie, gen. Andrzej Kowalski miałby zostać ambasadorem w Islamabadzie. Stolicy zacisznego, spokojnego Pakistanu.

Szykują się i inne ciekawe nominacje ambasadorskie. Na przykład do Maroka ma trafić pewien sympatyczny okularnik z doświadczeniem w mediach nie tylko publicz-

eprasa.pl 037223689a

nych. Znamy, znamy, mieliśmy okazję razem pracować w paru miejscach. Trzymamy kciuki.

Zmian ciąg dalszy. Tym razem w Eine Totalopposition. A właściwie w jej części. A konkretnie w jej najbardziej zromanizowanej części. Jak informowaliśmy, faworytem mec. Romana zwanego Koniem w wyborach kandydata na kandydata na prezydenta był Szymon Hołownia. Szybko się to zmieniło. Teraz Roman stawia na Tęczowego Jacka Jaśkowiaka z Poznania.

Z badań przeprowadzanych dla PeŁo wyszło, że Jaśkowiak nie ma szans w licytacji na lewicowe postulaty z Zandbergiem. Ustalono więc, że Tęczowy Jaśkowiak ma robić za oświeconą konserwę. Z tej okazji udzielił wywiadu „Superakowi", w którym odkrył, że choć z Panem Bogiem mu nie po drodze, to uwielbia czytać Biblię. Jak tak dalej pójdzie, to kto wie, może zapisze się do tęczowej sekty niejakiego Szymona Niemca?

Już wiemy, po co polscy politycy jeżdżą do Niemiec. „Pierwszy raz parę obejmujących się chłopaków zobaczyłem w 1988 r. na korytarzu uniwersytetu w Bielefeld. Był to dla mnie swojego rodzaju szok kulturowy. »Jasny gwint, jakie to obrzydliwe« – pomyślałem. Potem poznałem przesympatyczne lesbijki. Po pół roku zacząłem traktować homoseksualizm jako normalne zjawisko". Wyczytaliśmy tę historię w wywiadzie rzece z Tęczowym Jackiem. Proponujemy sprawdzenie, którzy politycy i jakich partii pobierali nauki w Niemczech i jakie mają teraz poglądy. Pouczające, prawda?

Życie pisze nieoczekiwane scenariusze i układa nieoczekiwane sojusze. Nic to, że bardzo chwilowe. Otóż wiewiórki z PeŁo opowiadają, że jest wreszcie coś, co połączyło Grzegorza Skorpiona Schetynę i Złego Donalda z Brukseli. Obaj uważają Kidawę-Błońską za Bronisława w spódnicy. Jak się mawia po cichu na imieninach – i tu się z tobą, Grzesiek, w tych okolicznościach zgodzimy.

W Eine Totalopposition panuje też lekka frustracja po wyroku TSUE, który uznał, żeby polskie sprawy załatwiać w polskim gronie.

Miało być inaczej. Wszyscy nababowie PeŁo, którzy szykowali się do debaty po exposé premiera Mateusza, przygotowali tylko jedno: nawalankę w reformę sądów, bo oczekiwano, że TSUE wyda wyrok antykaczystowski. Niestety, TSUE zawiódł i w efekcie harcownicy sejmowi pletli bzdury jak dzieci we mgle. Oprócz Adriana, ale on przecież nie jest ani w PeŁo, ani nawet KoŁe.

Szczególnie sfrustrowani tego dnia byli w Sejmie posłowie Nitras i Szczerba. Głupia sprawa, wstrętni kaczyści nawet sobie pokazują na komórkach filmiki nakręcone podczas błąkania się tych osobników po Sejmie i wykrzykiwania: „Hańba!", „Dyskoteka!", „Skandal!".

Skoro już jesteśmy na Wiejskiej. Pamiętacie, jak tabloidy donosiły o tym, że szykują się zaostrzenia w ruchu sejmowym? Padły nawet groźby, że i pracownicy Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana nie będą mieli stałych przepustek. Sprawa upadła, gdyż takie posunięcie skończyłoby się kontrakcją kancelarii i ograniczeniem dostępu posłów do jej pomieszczeń. A na to posłowie nie mogli przystać, gdyż w tamtejszej restauracji są najlepsze obiady.

Postanowiliśmy gratis wymyślić Ryśkowi chwytliwe hasło promujące jego nowy biznes. „Petru Finanse. W okamgnieniu podwoił liczbę Króli z Trzech do Sześciu. Pomyśl, co może zrobić z twoim majątkiem"

Doktor Jaki". Całkiem ładnie brzmi. Gratulujemy Patrykowi obrony doktoratu. Niemniej zauważamy, że to jednak nie to samo co prawdziwy doktor. Jak na przykład marszałek Karczewski albo wojewoda Radziwiłł.

Jesteśmy rozdarci. Wszystko przez Ryśka Petru. I jego nowy interes. Rysiek wziął rozbrat z polityką i założył firmę Petru Finanse. Z jednej strony znacie naszą opinię o geniuszu Ryśka. Z drugiej strony znamy pewnego bogatego człowieka, który zarobił spore pieniądze dzięki Ryśkowi. Jak? To proste. Uważnie wczytywał się w rady różnych ekonomistów. Jednych słuchał częściej, innych rzadziej, a co do jednego robił zawsze odwrotnie, niż radził. Ten jeden to Rysiek.

Jako że mamy dobre duszyczki i wszystkim życzymy dobrze, postanowiliśmy gratis wymyślić Ryśkowi chwytliwe hasło promujące jego nowy biznes. „Petru Finanse. W okamgnieniu podwoił liczbę Króli z Trzech do Sześciu. Pomyśl, co może zrobić z twoim majątkiem". ©℗

eprasa.pl 037223689a

PiS w świecie

Piotr Semka

Po ostatnich wyborach parlamentarnych PiS musi wymyśleć na nowo sposób polemiki zarówno z Lewicą, Konfederacją, jak i PSL. A wszystko to w warunkach nieprzewidywalnej kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy

Szczęśliwy traf nie zdarza się dwa razy. W 2015 r. PiS stał się wielkim wygranym sytuacji, w której lewica podzieliła się na dwa bloki i w rezultacie ani SLD, ani Razem nie weszło do Sejmu. Jeszcze w czerwcu tego roku, gdyby Grzegorz Schetyna kiwnął ręką – SLD pod wodzą Włodzimierza Czarzastego karnie wszedłby do Sejmu w bloku Koalicji Obywatelskiej, a Wiosna i Razem mogłyby nie dostać się do nowego parlamentu. Tak się jednak nie stało. Ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego ma obecnie spory problem z blokiem lewicy. Jest to kłopot, który w dużym stopniu wysadził w powietrze taktykę PiS stosowaną od 2005 r. To wtedy przy okazji kampanii prezydenckiej Lecha Kaczyńskiego na polską scenę polityczną został wprowadzony podział solidaryzm kontra liberalizm. Ten podział był dla PiS niezwykle korzystny, gdyż trafnie diagnozował zjawisko zmęczenia społecznego dogmatami Leszka Balcerowicza.

OK, BOOMER

Teraz PiS ma na tym polu rywala z lewej strony. Zandberg i jego ekipa kiwają głowami, że „500+" i inne świadczenia były potrzebne, ale należy iść tą drogą dalej i rozdawać coraz więcej. Skoro rządzące ugrupowanie mogło pokusić się o wiele prospołecznych podarków, to teraz trudno mu nagle zamienić się w partię srogich księgowych, którzy przypominają obywatelom, że budżet nie jest z gumy.

Nie tylko jednak koniec monopolu na prospołeczność niemile zaskakuje obecnie PiS. Lewica uzyskała w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wrażenie przebojowości dzięki wyrazistości i braku kompleksów jej publicystów, twitterowiczów. Ten impet w największym stopniu zaskakuje zasiedziały establishment intelektualny III RP, którego symboliczną twarzą jest Tomasz Lis. Ten patriarcha politycznej poprawności, ale i liberalizmu z lat 90. i późniejszych – zyskał niespodziewanego wroga w młodych zwolennikach Zandberga, którzy zasłynęli niedawno kpiarską ripostą: „OK, boomer".

Była to aluzja do ripost nowego pokolenia, które w ten niegrzeczny sposób kwitowało tyrady pokolenia urodzonego w latach 60. Generacja ta całe życie tyrała na domek i niezły samochód i nie mogła znieść nonszalancji pokolenia ich synów, którzy uważali, że praca jest dla człowieka, a nie człowiek dla pracy.

Dzisiaj w Polsce na scenę polityczną i medialną coraz pewniejszym krokiem wchodzą młodzi lewicowcy, jednoznaczni i posiadający wyrazistą narrację. To zjawisko trafnie opisuje Leszek Jażdżewski z „Liberté!": „Młoda (względnie) lewica ma jedną zasadniczą przewagę nad liberałami. Nie ma oporów wchodzić w konfrontację ze starszym, zasłużonym pokoleniem i z tego czerpią dużą część wiarygodności wśród młodych. A medialne ataki wpływowych fanów tylko im w tym pomagają".

Istotnie, gdy czyta się gniewne tyrady Witolda Gadomskiego z „Gazety Wyborczej" czy Tomasza Lisa porównującego młodych bezczelnych z Razem do

eprasa.pl 037223689a

bez duopolu

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

propagandzistów z Marca ’68, to można się uśmiechnąć. Prawica bardzo szybko pozna jednak dolegliwość pewności siebie młodej lewicy na własnej skórze. Ludzi pamiętających PRL po prostu „zatyka”, kiedy młodzi lewicowcy dowodzą, że nie można czepiać się ich sentymentu dla Karola Marksa w sytuacji, gdy zbrodnie przypisywane komunistom z komunizmem nie mają nic wspólnego, a są jedynie wynikiem biurokratycznego stalinizmu.

Równolegle do politycznych sukcesów PiS nie wytworzyła się nowa młoda generacja, która by z podobnym luzem, ale i pewnością siebie potrafiła polemizować z neomarksistami. Wszystkie istniejące środowiska prawicowej opinii od „Frondy” przez „Gazetę Polską”, środowisko „Do Rzeczy” czy wreszcie „Sieci” korzeniami sięgają lat 90. i ówczesnej intelektualnej rekonkwisty przeciw dominacji „Gazety Wyborczej”.

Akurat gdy prawica zaczęła krzepnąć w instytucje, do Sejmu wkroczyli lewicowcy ukształtowani przez „Krytykę Polityczną”. Ich myślenie formowało się w świetlicach, w których dyskutowali „intellos” od Sierakowskiego, a ich byt kształtowały nędzne śmieciówki i brak wizji własnego mieszkania. Długie lata byli na marginesie, ale teraz dzięki sukcesowi Zandberga nareszcie weszli do głównego nurtu debaty politycznej.

Po drugiej stronie mamy młode generacje prawicy, które zostały wyssane przez aparat PiS-owski z całym jego systemem bardzo powolnego awansu. W tym systemie młodzi przekonali się, że luźne dywagowanie i wypowiadanie własnych opinii nie służy ich karierze. Z kolei liczni młodzi, którzy via instytucje i banki zasilają dzisiaj rząd Morawieckiego, mają coś na kształt syndromu Ryszarda Petru. W ciągu lat spędzanych przy bankowych biurkach i w biznesowych instytucjach nie mieli czasu przeczytać iluś książek i nie umieją z podobną swadą co lewicowcy poruszać się w świecie idei i pomysłów na kształt systemu społecznego. Jedni mieli czasu za dużo i chłonęli książki Sławoja Žižka i Janisa Warufakisa. Z kolei zapotrzebowanie na prawicowe kadry wypchnęło dużą część liderów opinii i kandydatów na liderów opinii z prawej strony do mediów publicznych i spowodowało paradoksalnie regres w dynamizmie intelektualnym tej grupy.

DZIKIE KŁĄCZE

Dzisiaj znacznie ostrzejsze są konflikty między nową lewicą a fanami Balcerowicza ze starszej generacji niż na linii lewica kontra PiS. Co więcej, prawicową część opinii publicznej zaskakują sytuacje, gdy młode posłanki lewicy dzielą się na Twitterze swoim szokiem, że posłowie PO zachowują się w Sejmie tak, jakby byli chorzy z nienawiści. Jednak w ramach równowagi PiS zaznaje kłopotów w związku z pojawieniem się w Sejmie Konfederacji.

Ciężko dziś orzec, czy były jakiekolwiek szanse na nieco lepsze relacje na linii Konfederacja – PiS przed kampanią wyborczą. Wiele wskazuje na to, że raczej nie. Ten typ tradycji endeckiej, który prezentowali Robert Winnicki i Krzysztof Bosak, zawsze wyrastał z niechęci młodej generacji narodowców do Jarosława Kaczyńskiego jako do lewicowca, który ukradł Polakom prawicę. Same marsze niepodległości, które od 2012 r. stały się masowym wydarzeniem, były demonstracją przeciwko dominacji PiS po prawej stronie. Jarosław Kaczyński, mimo że był i jest o wiele bardziej na prawo niż jego tragicznie zmarły brat, nigdy tego nurtu nie lubił. To samo odnosi się do tradycji turboliberałów spod znaku Janusza Korwin-Mikkego. Oczywiście można wskazywać na realne urazy konfederatów pamiętających milczenie na ich temat w Wiadomościach TVP.

eprasa.pl 037223689a

Jednak równie dobrze PiS zapamiętał sobie słynny incydent z kampanii wyborczej, gdy kandydat Konfederacji Konrad Berkowicz w czasie debaty przedwyborczej w Kielcach prześmiewczo trzymał jarmułkę nad głową wówczas kandydatki PiS Anny Krupki.

Teraz do stanu ciągłej wojny PiS z Konfederacją dochodzą bardzo wyraziste poglądy Grzegorza Brauna nazywającego obecność wojsk amerykańskich w Polsce zdradą i Roberta Winnickiego, który głosi hasła prymatu spójności etnicznej nad wymogami sprowadzenia do Polski cudzoziemców do pracy. I znów PiS wydaje się nieco zaskoczony sytuacją. Tylko dlatego że Konfederacja kieruje swoje ostrze przeciwko młodym ziobrystom z Patrykiem Jakim atakowanym imiennie – wyłania się w PiS grupa młodych posłów, którzy biorą się za bary z młodymi konfederatami. Jednak w szerszym planie PiS nie potrafi znaleźć języka do polemiki z nowym zaskakującym rywalem.

ROZPOZNANIE WALKĄ

Kłopoty z młodą lewicą i antypisowską Konfederacją zdradzają pewne rozleniwienie PiS w ciągu ostatniego roku. Nie można do końca się temu dziwić. W trzech poprzednich kampaniach – samorządowej, europejskiej i parlamentarnej – głównym przeciwnikiem była Platforma i w szerszym sensie Donald Tusk. Teraz jednak świat jest o wiele bardziej wielowektorowy. W tym samym czasie, niemal w marszu, rządząca partia musi wymyśleć na nowo sposób polemiki zarówno z Lewicą, Konfederacją, jak i PSL. A wszystko to w warunkach kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy, którego sukces jest dla PiS swoistym „być albo nie być". Jakie PiS ma w tej sytuacji najważniejsze wyzwania?

Zacznijmy od wyborów prezydenckich. O ile aktualne wyniki Andrzeja Dudy wciąż wskazują na przewagę, o tyle nikt nie jest w stanie stwierdzić, jaka będzie dynamika kampanii. Obecna głowa państwa wykonała żmudne zadanie odwiedzenia wszystkich powiatów w Polsce i robiła to z godną podziwu determinacją. Za to większość potencjalnych rywali ma problemy z rozpoznawalnością. Dotyczy to Małgorzaty Kidawy-Błońskiej oraz Władysława Kosiniaka-Kamysza. W wypadku Roberta Biedronia ta rozpoznawalność jest o wiele większa, ale akurat jest on na fali schodzącej. Z kolei Adrian Zandberg ma trudny do zlekceważenia poziom popularności w dużych miastach, ale poza nimi w miastach średniej wielkości i na wsiach jego hasła raczej będą budzić wzruszenie ramion.

Jednak ten brak rozpoznawalności u Kidawy-Błońskiej, Kosiniaka-Kamysza czy Zandberga będzie w drugiej turze rekompensowany spodziewaną totalną mobilizacją elektoratu „antykaczystowskiego". Krótko mówiąc, każdy kandydat opozycji zostanie wsparty w drugiej turze przez zdyscyplinowany elektorat przeciwników dobrej zmiany. Na dodatek widać już zarysy taktyki opozycji, która będzie utrudniać prezydentowi kreowanie się jako człowieka środka. Już teraz Dominika Wielowieyska prognozuje: „Jarosław Kaczyński i Zbigniew Ziobro nie będą w stanie podporządkować sobie sądownictwa, bo opór sędziów jest potężny. Coraz ostrzejsza wojna z sądami może mieć wpływ na wynik wyborów prezydenckich".

Sławomir Sierakowski w swojej analizie na temat szans zwycięstwa opozycji jako pewnik zakłada, że lider PSL odbierze PiS trochę głosów w I turze i że w II elektorat Konfederacji nie poprze Andrzeja Dudy nawet wobec wyraźnej szansy na zwycięstwo opozycji. Czy jest to „chciejstwo", czy realna ocena ideologa lewicy? Trudno orzec. Jednak dla PiS to wskazówka, że musi wyraźnie zwiększyć swoją wiarygodność wobec pryncypialnie konserwatywnej części Polaków. Pierwszy krok został już uczyniony. Idea budowy łuku triumfalnego dla uczczenia zwycięstwa z 1920 r., choć spóźniona, jest pierwszym od dłuższego czasu wyjściem naprzeciw wrażliwości patriotycznego elektoratu.

PiS powinien wykorzystać tę niełatwą obecnie dla siebie sytuację jako okazję do rachunku sumienia. W imię czego chcemy rządzić? Czy jesteśmy dumni z tego, co już zrobiliśmy? I czy chcemy być razem? Pierwszym krokiem w tym kierunku jest zawarcie umowy koalicyjnej między PiS a jego dwoma sojusznikami od Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina. Dalszymi krokami powinno być sprawne reagowanie na wszystko to, co doprowadza do furii prawicowych wyborców. Od reakcji, gdy Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych żąda stałego kuratora sądowego dla małoletniego Jakuba Baryły, który wyszedł z krzyżem przeciwko paradzie LGBT, do reakcji na arogancki list kongresmenów amerykańskich w sprawie zmiany podatku od wydobycia miedzi. Dlaczego nie można siąść i zastanowić się, jak można wyjść np. naprzeciw środowiskom domagającym się prawa do posiadania broni przez tych obywateli, którzy widzą w tym gwarancję zwiększenia swego bezpieczeństwa?

Tutaj reakcje muszą być szybkie i jednoznaczne. PiS nie mogą się też zdarzać tak nieprzemyślane pomysły, jak występowanie z ideą zniesienia 30-krotności bez uzyskania w tej kwestii konsensusu wewnątrz ugrupowań tworzących Zjednoczoną Prawicę. I wreszcie – PiS musi umieć wrócić do roli siły politycznej, która potrafi bronić zasad rachunku wolnorynkowego. Nie będzie to łatwe po latach wymachiwania prezentami socjalnymi, ale bez nabycia tej umiejętności presja Lewicy spod znaku Zandberga będzie trafiała w czuły punkt.

Kampania prezydencka będzie dla PiS niesłychanie ciężka. Jeśli jednak uda się ją wygrać Andrzejowi Dudzie, to przed PiS otworzy się stosunkowo długi okres 2,5 roku bez żadnych wyborów. Takie przerwy między kampaniami to czas na kolejne reformy bez szarpaniny, która zawsze psuje jakość rządzenia.

Pamiętać też trzeba, że czas może być niełaskawy dla dzisiejszych nowych sił politycznych w Sejmie. Lewica już wpada w pułapkę radykalizmu i ośmiesza się np. sugestiami, że podpaski i papier toaletowy jako towary codziennego użytku winny mieć regulowane ceny. Także w wypadku Konfederacji, konkurencji dla PiS z prawej – czas może potęgować wrażenie jałowej kontestacji „na złość". Wielu ludzi, którzy cenili Grzegorza Brauna za jego filmy o Jaruzelskim czy Marcinie Lutrze – zażenowanych było jego występami w Sejmie, gdy żądając możliwości złożenia wniosku formalnego, blokował mównicę przed exposé premiera Morawieckiego.

Najważniejsza jednak będzie kampania. I tu ciężar sukcesu będzie spoczywał głównie na barkach Andrzeja Dudy. Obecny gospodarz pałacu prezydenckiego nie wygra reelekcji, unikając tematów ważnych dla prawicowego elektoratu. Jak pogodzić to z pozyskaniem elektoratu centrowego? To już kwestia egzaminu z dojrzałości, który prezydent musi zdać albo opuści swe dotychczasowe miejsce zameldowania. W tym sensie PiS może prezydentowi pomagać, ale zasadnicze zadanie stoi przed samym Andrzejem Dudą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

95 lat

Skracamy czas dojazdu

Autostrady, drogi ekspresowe, obwodnice i szlaki kolejowe – rozwiązania finansowe Banku Gospodarstwa Krajowego wspierają budowę nowych połączeń między polskimi miastami.

Bank Gospodarstwa Krajowego angażuje się w realizację największego w historii Polski programu budowy dróg na lata 2014-2023. To kluczowy program polityki transportowej Polski, spójny z rządową Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju oraz z prorozwojową misją banku. Ponadto, jednym ze wspieranych przez BGK projektów jest Trasa Łagiewnicka – dwujezdniowa południowa obwodnica Krakowa wraz z linią tramwajową.

Od 2004 r. większość dróg krajowych w Polsce, w tym autostrady i drogi ekspresowe, powstaje z udziałem środków Krajowego Funduszu Drogowego, zarządzanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego. To właśnie BGK – korzystając z budowanego od 95 lat zaufania publicznego – zarządza Funduszem oraz zdobywa środki na finansowanie inwestycji. W tym roku mija 15 lat jego działania. Efekty? Ponad 1200 km autostrad i 1900 km dróg ekspresowych, z których codziennie korzystają miliony Polaków: autostrady A1, A2, A4, ekspresówki S2, S3, S5, Via Baltica czy obwodnice. Od północy na południe, od wschodu na zachód, wzdłuż granic i po przekątnych...

Rozwój sieci połączeń drogowych i kolejowych przyczynia się do wzrostu komfortu podróżowania Polaków.

Kolej na kolej

Sieć połączeń międzymiastowych to nie tylko drogi, to także koleje. Fundusz Kolejowy, podobnie jak jego drogowy odpowiednik zarządzany przez Bank Gospodarstwa Krajowego, wykorzystuje środki na unowocześnienie taboru i szlaków kolejowych. Dzięki Funduszowi Kolejowemu poprawiło się bezpieczeństwo i komfort podróży oraz skrócił się czas przejazdów zarówno między największymi polskimi miastami – m.in. Warszawa-Gdynia, Legnica-Wrocław-Opole, Kraków-Rzeszów, Wrocław-Poznań, Poznań-Piła – jak i w połączeniach regionalnych – m.in. Janowo-Olsztyn-Korsze, Tychy-Orzesze, Legnica-Bielawa, Lubartów-Parczew, Siedlce-Terespol.

Rozwój połączeń transportowych zapewnia korzyści gospodarcze i społeczne – polskie miasta i miasteczka są ze sobą coraz lepiej skomunikowane, a Polacy są sobie coraz bliżsi.

Nikodem Chinowski

eprasa.pl 037223689a

Między PSL a

Rafał A. Ziemkiewicz

Wyborcze wyniki Konfederacji i PSL skłaniają do refleksji. Czy PiS i PO potrafią wyciągnąć wnioski z sukcesu mniejszych partii?

Przyszłość polskiej sceny politycznej zależy od tego, który z jej liderów właściwie zrozumie lekcję, jakiej udzielili im wyborcy w głosowaniu do parlamentu. Na razie każdy próbuje wynik wyborów przedstawić jako potwierdzenie, że dotychczasowa strategia była słuszna i przyniosła sukces.

Lider Prawa i Sprawiedliwości podkreśla więc, że wyborcy dali partii większość, i to tak wyraźną, że tym razem nie trzeba już było żadnych korzystnych dla sejmowej arytmetyki przypadków – pozostałe okoliczności, starając się zbagatelizować i przejść nad nimi do porządku dziennego. Liderzy „totalnej opozycji" brną zaś uporczywie w ekwilibrystyczne wywody, że jeśli pominąć wynik Konfederacji, a wyniki startujących osobno PO, PSL i SLD policzyć razem, to właściwie wygrali. Co najśmieszniejsze, według takiej samej logiki opozycja powinna uznawać, że w wyborach do Senatu przegrała – ale trudno od propagandowych tez wymagać konsekwencji.

W istocie zaś zarówno przywódcy PiS, jak i opozycji budowanej na wspólnym mianowniku anty-PiS powinni czuć się przegrani.

W istocie bowiem z ostatnich wyborów płynie nauka następująca: nie da się podzielić Polski bez reszty między dwie partie. Nie da się uszyć takiej wyborczej sieci, żeby zmieścić w niej ponad 8 mln wyborców. PiS, pozyskując ich aż tylu, sięgnął granic możliwości – sieć popruła mu się z obu stron.

Zyskując wyborców centrum, uspokojonych, że partia rządząca nie będzie ruszać budzących emocje tematów ideologicznych, z aborcją czy dekomunizacją na czele, stracił PiS zarazem tych wyborców, którzy właśnie dlatego mu wcześniej zaufali, że dostrzegli w nim partię, która będzie twardo promować katolicką, tradycjonalistyczną tożsamość i zdegraduje pośmiertnie sprawców stanu wojennego. Zyskując wyborców roszczeniowych, którzy uwierzyli w szczodrze składane obietnice kolejnych dopłat, subwencji, zasiłków i „trzynastek", zraził do siebie PiS przedsiębiorców i samozatrudnionych, których życie w III RP nauczyło już tej prostej mądrości, że wszystkie „benefity" otrzymane od władzy obywatele muszą sobie sfinansować sami.

Tak samo jak Kaczyńskiemu sieć popruła się również Schetynie. Względny sukces – arytmetyczna przewaga razem branych trzech list opozycji nad PiS – którym pocieszają się liberalno-lewicowe salony, był przecież efektem odcięcia się PSL od formuły „opozycji totalnej" i od haseł lewicowych. Odrzucenie na rzecz nazwy „Koalicja Polska" dotychczasowych tożsamościowych przymiotników opozycji „demokratyczny", „obywatelski" i „europejski" stanowiło znaczący zabieg wizerunkowy. W parze z nim poszło retoryczne odcinanie się od formuły „opozycji totalnej" („Będziemy popierać dobre pomysły PiS" – deklarował w wyborach prezes Kosiniak-Kamysz) oraz użycie jako paprotki Pawła Kukiza, pró-

eprasa.pl 037223689a

FOT. DUDEK/ERZY/DO RZECZY

Konfederacją

bującego przez całą poprzednią kadencję przebić się do Polaków z przesłaniem, że możliwy jest jakiś inny niż „totalny" model opozycyjności.

Nie ma najmniejszego znaczenia, czy wizerunkowa wolta PSL miała jakiekolwiek pokrycie w rzeczywistości – dość, że okazała się skuteczna i pozwoliła do arytmetycznego wyniku anty-PiS dołączyć kilkaset tysięcy wyborców, którzy z różnych powodów nie popierając władzy PiS, nie chcą również wspierać tęczowych szaleństw lewicy i propagandowej jazgliwości PO. Analiza wyników wyborczych i sondaży nie pozostawia wątpliwości, że gdyby „opozycja totalna" poszła do wyborów parlamentarnych w tej samej formule co do europejskich – PiS wygrałby z nią miażdżąco. Więcej niż prawdopodobne wydaje się też, że gdyby nie wspomniana wyżej zmiana wizerunku i retoryki, samodzielny start PSL skończyłby się dla niego spadkiem pod próg wyborczy i marginalizacją.

Generalny wniosek jest więc taki: Polacy stopniowo wyzwalają się z plemiennego podziału politycznego i niewolniczego poddania emocjom generowanym przez tożsamościowy podział postkolonialny. Przez wiele lat wydawało się, że konflikt oparty na wzajemnej niechęci starej, postpeerelowskiej elity i odrzucającego ją ludu wytwarza napięcie tak silne, że unieważnia ono wszelkie merytoryczne spory i nawet konflikty interesów, nie pozostawiając miejsca dla żadnej „trzeciej siły". Jeśli jeszcze istnieją inne partie niż PO i PiS, to jest to tylko historyczna zaszłość – zresztą obie one, PSL i SLD, musiały się zgodnie ze swym PRL-owskim rodowodem opowiedzieć wyraźnie za udziałem w obozie „elit" i skazane są (tak sądzono) na rozpłynięcie się w nim. Z kolei obszar „antysystemowy", z Kukizem i mniejszymi ugrupowaniami prawicowymi, uważany był za naturalny rezerwuar wyborców antyelit, a więc PiS, skazany w dłuższej perspektywie na poparcie partii Kaczyńskiego.

Płynęło z tego budowanie prostych, demagogicznych podziałów na zasadzie „albo jesteś za Polską, albo za Europą", „albo za patriotyzmem, albo za demokracją" i takim używaniu narzędzi politycznych, aby podgrzać temperaturę konfliktu politycznego czy, mówiąc wprost, wzajemnej nienawiści, do granic możliwości i poza nie. A wszystko to w celu dyscyplinowania wyborców po każdej ze stron argumentem: to jest wojna! A na wojnie nie zwraca się uwagi na pomniejsze bolączki i nie dyskutuje nad rozkazami, defetystów zaś, dziś zwanych symetrystami, się rozstrzeliwuje, tak jak (w symboliczny oczywiście sposób) rozstrzelani zostali Warzecha i Woś.

Sukcesy Konfederacji i PSL, choć każdy z nich wynikł z nieco innego mechanizmu, to dowód przesilenia. Argument „musisz zamknąć oczy na nasze wady, bo jak nie, pomagasz IM" wciąż działa, ale tama pękła i należy się spodziewać, że samo bycie PiS-em bądź anty-PiS-em będzie coraz mniej wystarczać do utrzymania supremacji. Podział tożsamościowy wciąż oczywiście istnieje i nie zniknie jeszcze długo, ale przestaje być kamieniem filozoficznym polityki, rośnie i będzie rosła grupa wyborców kierujących się innymi emocjami niż te generowane przez „wojnę polsko-polską". I to oni zadecydują, czy PiS utrzyma się przy władzy, czy też ją straci.

Innymi słowy – do polskiej polityki wróciła polityka. Era duopolu ma się ku końcowi, rozpocznie się prędzej czy później era „poziomych" porozumień, wyłamujących się z jedności frakcji, targów, być może

eprasa.pl 037223689a

rozłamów – a z drugiej strony, twardego obstawania przy ideowych pryncypiach.

Wydaje się, że partyjne kierownictwa – zgodnie z powiedzeniem o generałach, rozgrywających poprzednie wojny – tej zmiany nie zauważyły. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jej zauważyć nie chcą, że współistnienie w Sejmie aż pięciu partii wypierają ze świadomości, w renesansie lewicy i ludowców widząc tylko recydywę, a Konfederacji wyznaczając rolę politycznego folkloru, partii efemerydy, która rozpadnie się tak, jak rozpadł się ruch Kukiza. Kaczyński i Schetyna grają nadal w tę samą grę co dotąd – wzajemnego prowokowania swych elektoratów po to, by nimi z kolei prowokować elektorat własny. Nominowanie do TK spośród wielu możliwych kandydatów akurat byłego posła Piotrowicza i prof. Pawłowicz trudno odebrać inaczej niż jako prowokację mającą pobudzić „totalną opozycję" i jej media do kolejnych ataków, które dotąd skutecznie „utwardzały" elektorat partii rządzącej.

Co na tym traci PO – pozostawmy na boku, gdyż wszystko wskazuje na to, że jako formacja schyłkowa, bezideowa i bezprogramowa partia władzy trwale odsunięta od władzy nie odegra już istotnej roli w polskiej polityce. Skupmy się na logicznych konsekwencjach faktu, że sieć, którą PiS zagarniał zwolenników antyestablishmentowego buntu, jak tu już mówiliśmy, okazała się nieszczelna zarówno od strony centrum, jak i od prawa.

Nie mamy jeszcze dobrych badań przepływów, ale na podstawie powyborczego exit poll można domniemywać, że wyborcy zaczęli odchodzić od PiS w dwóch kierunkach. Drobni przedsiębiorcy i samozatrudnieni, zaniepokojeni zapowiedziami coraz to nowych „benefitów" i podniesienia płacy minimalnej wybrali głównie PSL, na co zdaje się wskazywać sukces tej partii w mniejszych miastach – natomiast ideowy „żelazny elektorat", rozczarowany praktycznym zarzuceniem przez PiS prawicowego programu wybrał Konfederację. Oczywiście ten uproszczony obraz wymaga zniuansowania – obie partie pozyskały zapewne także byłych wyborców PO, obie (ale PSL bardziej) muszą się liczyć, że część wyborców głosowała na nie, traktując je jako rodzaj protestu czy eksperymentu. Nie można więc być pewnym utrzymania ich przy sobie.

Jednak wystarczy pamiętać, że drogi odpływu elektoratu z PiS są już otwarte. Są także powody, by ten odpływ trwał – i będzie ich coraz więcej. PiS, tak jak każda partia u władzy, zużywa się, nie umie wytłumaczyć przekonująco wszystkim wyborcom coraz dziwniejszych posunięć personalnych i programowych, coraz częściej też dociera do wyborców przekaz, który chyba najbardziej odpycha polskiego wyborcę – o wewnętrznych niesnaskach w partii i wojnach. Trudno się też spodziewać, żeby rząd ułożony w arcyskomplikowany sposób, gwoli wyważenia wpływów koterii i kamaryl oraz zaspokajania ich apetytów, a w pogardzie dla elementarnych zasad zarządzania, ze swymi 20 ministerstwami i mnogością pełnomocników, był w stanie sprawnie administrować państwem – a co dopiero je reformować. A cierpliwość Polaków do wciąż fatalnej służby zdrowia, wymiaru sprawiedliwości, braku bezpieczeństwa etc. nie jest nieskończona.

PiS trwale wszedł w rolę partii centrum, musi się więc pogodzić z istnieniem partii prawicowej

Niewyobrażalne jest, aby PiS zdołał w kolejnych wyborach – nawet jeśli dotrwa w dobrym stanie do końca kadencji – raz jeszcze zdobył samodzielną większość. Dalsze losy partii i Polski będą więc zależeć od tego, czy w przyszłym parlamencie znajdzie koalicjanta. Możliwi są tylko dwaj – albo Konfederacja, albo PSL, bo PO zanadto wpisała nienawiść do PiS w swą tożsamość, a z lewicą, jawnie dążącą do przeprowadzenia w dalszej przyszłości tęczowej rewolucji, jakiekolwiek porozumienie trudno sobie wyobrazić.

Z tych dwóch teoretycznie możliwych sojuszów – nazwijmy je „pragmatycznym" i „ideowym" – bardziej oczywisty wydaje się ten drugi. PiS trwale wszedł w rolę partii centrum, musi się więc pogodzić z istnieniem partii prawicowej i wykorzystać ten sam mechanizm, który w tych wyborach dał sukces PSL. PiS i Konfederacja startujące osobno, akcentujące różnice między sobą, ale nie prowadzące wojny na śmierć i życie będą miały za cztery lata większą szansę ogarnąć na tyle szeroką część elektoratu, aby władza pozostała w szeroko rozumianym obozie tradycjonalistycznym – co powinno być dla obu partii priorytetem ze względów cywilizacyjnych.

Polityczny realizm nakazywałby PiS kontynuować – daleko już przecież posuniętą – przemianę w partię „ciepłej wody w kranie", zaniechać prób zniszczenia Konfederacji czy to przez wyciąganie z niej posłów, czy propagandowe ofensywy, próbujące dyskredytować ją jako „ruską agenturę" etc. – i robić to samo, czego próbował swego czasu Leszek Miller, który, wiedząc, że następnych wyborów SLD już tak wysoko nie wygra, „hodował" sobie przyszłego koalicjanta w postaci Samoobrony.

Jednak do tanga trzeba dwojga, a tu nie ma ani jednego. Niechęć Jarosława Kaczyńskiego do prawicy narodowej jako takiej, jego głęboka „endekofobia" nie jest w żaden sposób udawana. Kaczyński naprawdę żywi przekonanie, że jego cywilizacyjną misją jest m.in. nie dopuścić do odrodzenia się w Polsce partii postendeckiej. Przekłada się to na żywiołową niechęć do narodowców i wolnościowców kibicujących PiS mediów, których ataki wywołują z kolei zrozumiałe kontrreakcje, umacniając tych konfederatów, którzy dążą do zbudowania nieprzejednanej partii protestu, wycofanej z realnej polityki w imię triumfu zapowiadanego na daleką przyszłość.

Najprawdopodobniej więc PiS będzie szukać sojuszu z PSL, na bazie dzielenia stołków i wpływów – oczywiście licząc, że będzie rozmawiać z nimi z pozycji siły. PiS ma tu w ręku mocne karty. Generalna zmiana sojuszy przez PSL – możliwa po wyborach prezydenckich – stworzyłaby formację patriotyczno-katolicko-etatystyczną rządzącą np. we wszystkich, poza jednym, sejmikach wojewódzkich. Jednak PSL też ma mocną kartę – bo ma alternatywę. O ile Konfederacja ma do wyboru albo PiS, albo „dumną izolację" (ewentualne zbliżenie z PSL żadnej ze stron niczego by nie dało), to PSL może współrządzić praktycznie z każdym. Przynajmniej dopóty, dopóki zdoła utrzymać przy sobie elektorat, który poparł je w wyborach parlamentarnych, i jeśli Kosiniak-Kamysz uzyska dobry wynik w wyborach prezydenckich.

Jedno jest pewne – strategia oparta na dzieleniu Polski na PiS i resztę kończy się. PiS przeszedł na inne pozycje, „stuszczył się" u władzy i proces ten wydaje się nieuchronny. Musi szukać przyszłego koalicjanta i mieć nadzieję, że zdoła zachować jedność i że nie pojawią się inne polityczne byty, przyciągające kolejne segmenty jego elektoratu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Wypróbuj modele **premium z Rentis**

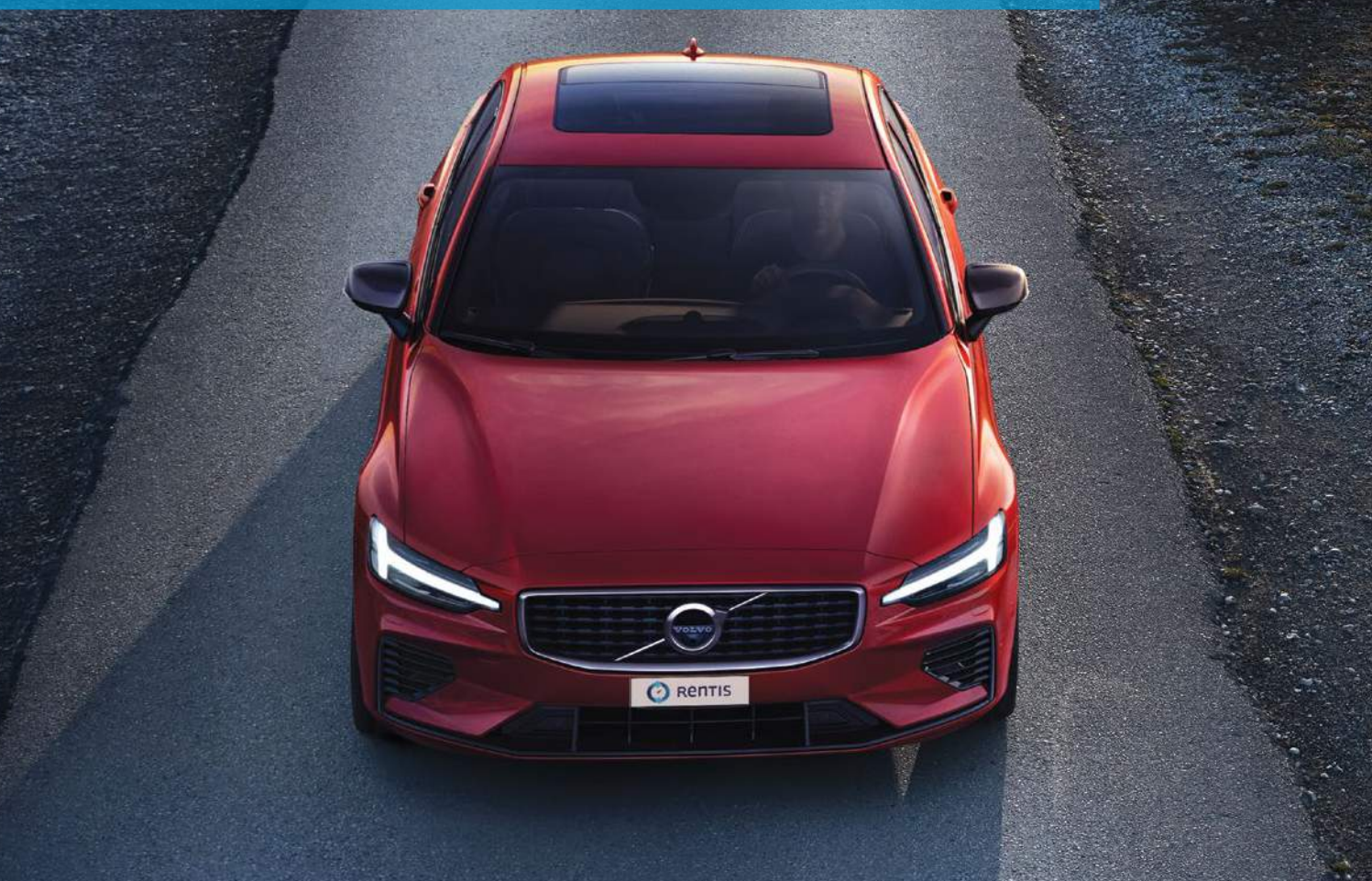

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 037223689a

Z Józefem Orłem, założycielem Klubu Ronina
rozmawia Maciej Pieczyński

Apeluję do PiS: Nie dajcie się zdominować lewakom!

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 037223689a

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jan Rokita stwierdził niedawno, że niewiele już zostało z dobrej zmiany. Według tej diagnozy PiS zrobił już wszystko, co zamierzał, dlatego teraz przyszedł czas na politykę „ciepłej wody w kranie". Cytował pan tę wypowiedź w swoim komentarzu w ramach „Przeglądu TrzyTygodniowego". Zgadza się pan z opinią Rokity?

JÓZEF ORZEŁ: Absolutnie nie. Cytowanie kogoś nie oznacza, że się z tym kimś zgadzam. Warto jednak przyjrzeć się tej diagnozie. Rzeczywiście, nastąpił pewien zastój w polityce PiS. Dobra zmiana nie rozwija się tak dynamicznie jak poprzednio. Powoli kończą się finansowe możliwości polityki społecznej. PiS oddał już ludziom to, co Platforma im zabrała. Programy społeczne były pierwszym krokiem na drodze budowy państwa dobrobytu. Dzięki nim udało się poszerzyć klasę średnią. Teraz jednak czas na obronę wartości.

Nie można Morawieckiego porównywać z Tuskiem, jak chce część opozycji?

Dziwię się temu pytaniu – absolutnie nie można ich porównywać. To nie oznacza jednak, że problemu nie ma. Perspektywa pójścia drogą polityki biernej, zachowawczej, może być dla części obozu władzy kusząca. Dlatego trzeba nieustannie przestrzegać jego przedstawicieli, by tej pokusie nie ulegali. Widać zresztą, że na szczytach PiS świadomość takiego zagrożenia istnieje. Świadczy o tym treść exposé Mateusza Morawieckiego.

Z czego wynika to zagrożenie?

PiS rządzi niepodzielnie, nie ma groźnego przeciwnika wewnątrz kraju. Natomiast ogromnym wyzwaniem i niebezpieczeństwem dla wartości konserwatywnych jest potężny przeciwnik zewnętrzny – nadchodzące z Zachodu totalne tsunami lewackiej rewolucji antykulturalnej, neokomunizmu…

… określanego często mianem marksizmu kulturowego.

Nie zgodzę się z określeniem „kulturowy". Marksizm nie ma nic wspólnego z kulturą. Jest natomiast niebezpieczną ideologią, która kulturę niszczy. Opozycja totalna dostrzega w niej naturalnego sojusznika w walce z PiS. Na Zachodzie ideologią panującą jest już gender. Tutaj nie chodzi o żadne naturalne podziały polityczne czy światopoglądowe. Kraje takie jak Polska czy Węgry walczą o autonomię w sferze wartości. To o tyle trudne zadanie, że po drugiej stronie barykady nie mają do czynienia z innym punktem widzenia, inną cywilizacją, ale z czymś, co śmiało możemy określić mianem antycywilizacji. Jej stronę trzymają elity oraz najsilniejsze państwa Unii Europejskiej. W poprzedniej perspektywie finansowej istotnym warunkiem otrzymania funduszy było przestrzeganie zasad równości płci. Wtedy przynajmniej uznawano, że są dwie płcie, determinowane biologicznie… Teraz fundamentem polityki unijnej jest jedynie słuszna ideologia gender.

À propos, naprawdę postuluje pan wykluczenie Jarosława Gowina z obozu dobrej zmiany z powodu jego wypowiedzi o gender?

Oczywiście. Wiem jednak, że to nierealne z punktu widzenia polityki.

No właśnie. Bez Gowina nie ma koalicji. Bez koalicji nie ma Zjednoczonej Prawicy. Bez Zjednoczonej Prawicy nie ma dobrej zmiany i rządzi znowu Platforma. To nie są zbyt duże koszty z punktu widzenia wartości konserwatywnych?

To prawda. Jednak mój postulat wyrzucenia Gowina z obozu dobrej zmiany nie dotyczy praktyki działań politycznych, jest stwierdzeniem, że pan Gowin porzucił wartości i program dobrej zmiany.

Przypomnijmy… Wicepremier Gowin zadeklarował w jednym z wywiadów: „Położę się Rejtanem, jeżeli ktoś będzie próbował na uczelniach ograniczyć wolność słowa zwolennikom ideologii gender".

To dokładnie tak, jakby jakiś sekretarz ds. propagandy w czasach PRL stwierdził: „Położę się Rejtanem w obronie wolności słowa dla komunistów na uczelniach".

Jednak może nie chodzi o sprzyjanie ideologii gender, tylko o wolność słowa?

Nie. To kłamstwo. Genderystom nic nie zagraża, są na uczelniach w większości i bez skrępowania głoszą swoje poglądy, czego o konserwatystach powiedzieć nie można.

Premier Morawiecki w swoim exposé też mówił o potrzebie obrony wolności słowa. Jako przykład jej naruszenia podał jednak historię drukarza, który odmówił wykonania usługi dla przedstawicieli ruchu LGBT. Może więc wicepremier Gowin również na uczelni będzie bronił wolności słowa zarówno dla zwolenników gender, jak i dla prawicowców?

Nie wierzę w to. Jakoś nie zauważyłem, by kładł się Rejtanem w obronie prof. Nalaskowskiego, prześladowanego za konserwatywne poglądy. Prawica na uczelniach jest w odwrocie, o czym wicepremier Gowin świetnie wie. Na razie udało się obronić prof. Nalaskowskiego, ale nie wiadomo, jak będzie następnym razem. Jeśli minister nauki i szkolnictwa wyższego będzie stawał po stronie gender, to z wolnością słowa na uczelniach będzie coraz gorzej. I następnym razem naukowiec, wyrażający prawicowe poglądy, zostanie bezkarnie wyrzucony.

Czy jednak odpowiedzią koniecznie muszą być zakazy? Nie lepiej postawić na wolność słowa i pozwolić konserwatystom walczyć na wolnym rynku o rząd dusz?

Wspieranie gender nie ma nic wspólnego z wolnością słowa. To jest ideologia totalitarna, która opanowała już uczelnie wyższe na Zachodzie, a teraz podbija polskie uniwersytety. Lewicowa większość dyskryminuje prawicową mniejszość, nie pozwalając jej głosić swoich przekonań. Ta tendencja została jeszcze pogłębiona przez tzw. ustawę 2.0. Na mocy jej zapisów wicepremier Gowin oddał niemal absolutną władzę na uczelniach w ręce rektorów, którzy w świecie nauki tworzą antyprawicową kastę, podobną do sędziowskiej.

Może problemem jest słabość prawicowych elit intelektualnych? Może trzeba pracować nad tym oddolnie?

To prawda, że elity lewicowe są silniejsze. Jednak bez odsunięcia genderystów od władzy na uczelniach nie da się tego problemu rozwiązać. Jak bowiem mają się rozwijać prawicowi naukowcy, skoro są sekowani przez lewicowych przełożonych? Nie ma tu żadnej równowagi, która by chociaż w pewnym stopniu pozwalała na wolną konkurencję ideologii…

PiS oddał już ludziom to, co Platforma im zabrała. Programy społeczne były pierwszym krokiem na drodze budowy państwa dobrobytu. Teraz jednak czas na obronę wartości

eprasa.pl 037223689a

Zostawmy uczelnie wyższe. Przyznał pan, że premier Mateusz Morawiecki w swoim exposé bardzo duży nacisk położył na kwestię obrony wartości konserwatywnych, rodziny, dzieci. Nie wierzy pan w jego zapewnienia?

Mam taką nadzieję.

Mówił też, że nie pozwoli podnieść ręki na dzieci.

Coś podobnego już kiedyś powiedział Jarosław Kaczyński. Niewiele to jednak dało. Wciąż setki ekip seksedukatorów grasują w szkołach, deprawując dzieci i młodzież.

PiS jednak zagłosował za przekazaniem do dalszych prac projektu ustawy „Stop Pedofilii", wymierzonej w seksedukację właśnie.

Po pierwsze, to projekt obywatelski… **Jednak bardzo kontrowersyjny. PiS mógł go odrzucić ze strachu przed opinią publiczną. Nie zrobił tego.**

Po drugie, to, że nie odrzucił od razu, wcale nie oznacza, że ostatecznie tę ustawę przegłosuje. Po trzecie, sam nie do końca jestem zwolennikiem stosowania Kodeksu karnego w sferze ideologii.

Zwraca pan uwagę na to, że wokół obozu rządzącego coraz bardziej popularna jest idea tzw. zielonego konserwatyzmu. Jakie stąd płyną zagrożenia?

Ideologia ekologizmu to jedna z odmian ideologii gender. Przesadny ekologizm jest sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem i teologią. Pan Bóg powiedział przecież: „Czyńcie sobie ziemię poddaną". Co to oznacza? To człowiek, grzeszny z natury, jest powołany do świętości, nie zaś przyroda. Nie można więc stawiać środowiska naturalnego w hierarchii wartości ponad człowiekiem!

Czy jednak czynienie sobie ziemi poddaną nie oznacza jej niszczenia!

Ma pan absolutną rację. Dlatego nie jestem przeciwnikiem ekologii jako takiej. Zielony konserwatyzm nie jest sam w sobie groźny. Trzeba jednak pilnować, aby zachowana została właściwa hierarchia wartości. Ekologizm uważa człowieka za szkodnika, dąży do poniżenia życia (ludzkiego) na naszej planecie, nie zaś do jej ochrony. A to sprzeczne z Dekalogiem i z doktryną teologiczną chrześcijaństwa. To zresztą szerszy problem. Mamy do czynienia z kryzysem na szczytach Kościoła. Papież Franciszek idzie w złą stronę. Zorganizował tzw. synod amazoński, podczas którego dopuszczono się idolatrii, czcząc indiańską boginię, i oznajmił, że pracuje nad wprowadzeniem do katechizmu grzechu przeciwko środowisku. Wbrew pozorom to wszystko odbija się na naszej sytuacji wewnętrznej. W wojnie cywilizacji z antycywilizacją papież coraz bardziej zdecydowanie stawia się po tej drugiej stronie. Konserwatyści przegrywają to globalne starcie. Tym większy problem ma PiS. Musi jakoś funkcjonować w tej dramatycznie zmieniającej się na gorsze rzeczywistości. Nie może zapominać jednak o fundamencie swojego programu – wartościach chrześcijańskich.

PiS i klasę średnią łączy wspólnota interesów. Wbrew pozorom rząd PO-PSL wcale nie wspierał tej grupy społecznej. Nikt dla niej nie zrobił więcej niż partia Kaczyńskiego

Niewiele wskazuje na to, by obóz Zjednoczonej Prawicy uległ ideom „ekologizmu". Premier Morawiecki mówił, co prawda, o odnawialnych źródłach energii, nie wspomniał jednak nic o żadnej dekarbonizacji.

Oczywiście musimy dbać o środowisko. Jednak tylko o tyle, o ile musimy dbać o człowieka. Tak jak chłop musi dbać o pole, które orze, bo ono daje mu plon. Ja tylko przestrzegam przed pokusą skrętu w lewo.

Jak pańskim zdaniem PiS reaguje na tę pokusę? Skutecznie się jej opiera?

Reaguje bardzo wolno, ale w dobrym kierunku. Minister Tchórzewski bronił energetyki węglowej, ale przy okazji uniemożliwił budowę farm wiatrowych na lądzie. Teraz otwieramy się na offshore – wiatraki na morzu, ponieważ nie szkodzą człowiekowi. Zdaniem niektórych szkodzą za to środowisku naturalnemu, zobaczymy więc, czy także tej branży energetyki nie będą próbowali storpedować zieloni. Natomiast sam fakt mianowania Michała Kurtyki ministrem klimatu oznacza, że PiS będzie jednak szedł w kierunku energii odnawialnej. Oby tylko robił to rozsądnie, pamiętając, że na pierwszym miejscu powinien być człowiek i jego potrzeby, nie przyroda. I wyżej stawiajmy ekonomię niż ideologię.

Sugeruje pan, że PiS może pójść drogą brytyjskich konserwatystów, którzy ulegli lewicowym ideologiom i dziś konserwatystami są już tylko z nazwy. Skąd ten pesymizm?

To nie jest prognoza, tylko ostrzeżenie. Apeluję do rządzących: uważajcie z nowymi ideologiami, żebyście, nie daj Boże, nie dali się zdominować lewakom! W Wielkiej Brytanii to właśnie nominalni konserwatyści wprowadzili we wszystkich szkołach obowiązkowe lekcje gender. Nawet siostry zakonne będą musiały uczyć dzieci tej ideologii.

Naprawdę wyobraża pan sobie sytuację, w której PiS wprowadza gender do szkół?

Ja sobie niczego nie wyobrażam. Ja tylko mówię, że jeśli ktoś zapomina o swoich fundamentalnych wartościach i wchodzi na niebezpieczną drogę kompromisu z ideologicznym przeciwnikiem, to może mu ostatecznie ulec. A nowi i młodzi zwolennicy gender na pewno nie będą głosować na PIS.

Zarówno exposé premiera, poza wspominanymi wątkami obrony wartości, jak i przemówienie prezydenta podczas pierwszego posiedzenia Sejmu, zostały ocenione takimi przymiotnikami jak „centrowe", „koncyliacyjne". Premier mówił o ekologii, prezydent ściskał dłonie przeciwnikom, przywitał Kwaśniewskiego… Może to wszystko nie jest element odwrotu od wartości, tylko przedwyborcza gra przed majem 2020 r.? PiS nie będzie miał swojego prezydenta, jeśli Andrzej Duda nie wyciągnie ręki do wyborców spoza tradycyjnego elektoratu prawicy.

PiS buduje w Polsce klasę średnią, która jest fundamentem demokracji i gospodarki rynkowej. Klasa średnia ma różne poglądy – od prawicy i lewicy. I to oczywiste, że trzeba wyciągać rękę do wszystkich. Nie wolno przy tym jednak zagubić busoli wartości. Poza tym tak naprawdę PiS i klasę średnią łączy wspólnota interesów. Wbrew pozorom rząd PO-PSL wcale nie wspierał tej grupy społecznej. Nikt dla tej grupy społecznej nie zrobił więcej niż partia Kaczyńskiego. Dlatego wcale nie trzeba wyrzekać się swoich wartości, aby zdobyć i utrzymać władzę w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

ZAPIERA DECH W PIERSIACH. CZEKAM NA WIĘCEJ!
DMITRY GLUKHOVSKY

NIESAMOWITA PODRÓŻ PRZEZ CZAS I PRZESTRZEŃ!
BLAKE CROUCH

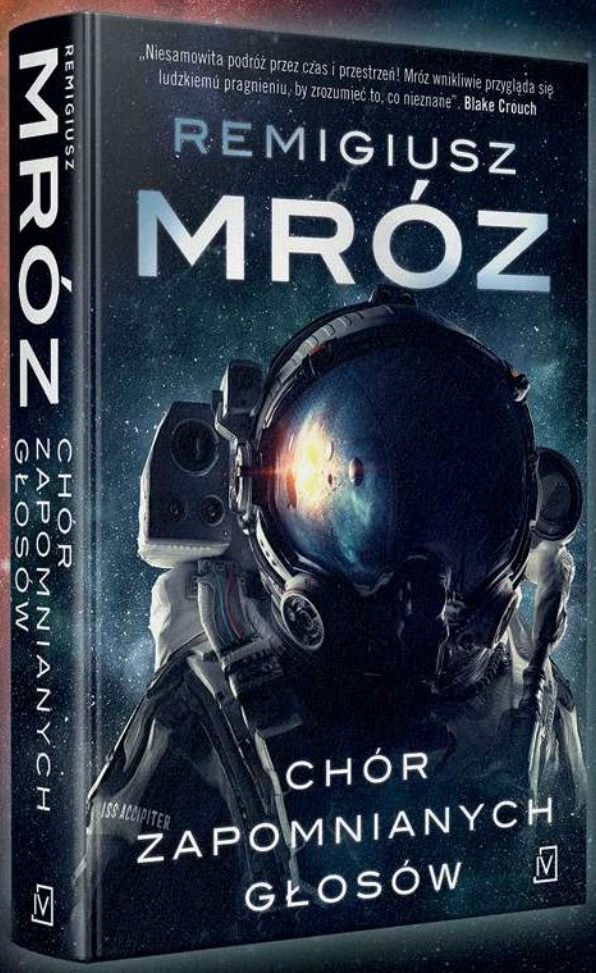

FANTASTYCZNA POWIEŚĆ MISTRZA POLSKIEGO KRYMINAŁU.
ROBERT J. SZMIDT

TRZYMAJCIE SIĘ MOCNO!
MICHAEL COBLEY

CZWARTA STRONA

PATRON MEDIALNY:
Fantastyka

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

Droga Sasina

Kamila Baranowska

Pozycja Jacka Sasina w PiS od dawna była mocna. Nigdy jednak nie pełnił tylu eksponowanych stanowisk jak w rządzie Mateusza Morawieckiego. Zachowując funkcję wicepremiera, dostał we władanie newralgiczny resort, dający mu nadzór nad spółkami Skarbu Państwa

To w dużej mierze efekt wewnętrznych napięć w obozie Zjednoczonej Prawicy. Sam fakt powołania nowego ministerstwa był spowodowany chęcią uporządkowania nadzoru w poszczególnych spółkach Skarbu Państwa. Koncepcja likwidacji resortu skarbu i rozdzielenia nadzoru nad spółkami między poszczególne resorty niespecjalnie się bowiem sprawdziła. Przynajmniej do takiego wniosku miał dojść Jarosław Kaczyński wespół z Mateuszem Morawieckim, któremu od początku nie podobało się to, że w części spółek niewspółmiernie duże wpływy miał Zbigniew Ziobro.

Trzeba było więc znaleźć kogoś, kto z jednej strony cieszy się dużym zaufaniem samego prezesa PiS, z drugiej da sobie organizacyjnie radę z trudnym resortem, a z trzeciej jest akceptowalny dla Morawieckiego, z którym przecież będzie musiał ściśle współpracować i z którym powinien grać do jednej bramki. I tak padło na Jacka Sasina.

PO STRONIE PREMIERA

Sasin do kancelarii premiera trafił wraz z objęciem funkcji premiera przez Morawieckiego. Jako szef Komitetu Stałego Rady Ministrów miał koordynować prace poszczególnych ministerstw. Spekulowano wówczas, że Sasin w KPRM to oczy i uszy prezesa Kaczyńskiego. Szybko okazało się jednak, że znalazł z premierem wspólny język i współpraca zaczęła im się bardzo dobrze układać.

– Mają podobny styl pracy. Obaj lubią konkrety, nie lubią zbędnego gadania i nasiadówek, które do niczego nie prowadzą. Sasin jest decyzyjny i umie „dowozić tematy". Premier lubi z takimi ludźmi pracować – mówi nam osoba z otoczenia premiera.

W sporze Morawieckiego z Ziobrą Sasin wyraźnie stanął po stronie premiera. Premier odpłacił się aktywnym wsparciem Sasina podczas ostatniej kampanii, kilkukrotnie odwiedzając jego okręg wyborczy (Sasin był jedynką w Chełmie). – Wiadomo, że serce Jacka jest po stronie prezesa, wobec którego jest i będzie zawsze lojalny, ale doskonale wie, że to właśnie w rządzie Morawieckiego i z jego wsparciem mógł zajść tak wysoko – mówi polityk z rządu.

Nowe Ministerstwo Aktywów Państwowych ma zarządzać ponad 300 spółkami Skarbu Państwa. Wiadomo już, że pod jego nadzór nie wejdą Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych (nadzór nad nią ma mieć MSWiA), Polska Grupa Zbrojeniowa (będzie pod nadzorem MON) oraz prawdopodobnie spółki medialne (TVP, Polskie Radio, rozgłośnie

eprasa.pl 037223689a

regionalne, PAP), które będą w gestii resortu kultury, choć dawniej kontrolowało je Ministerstwo Skarbu. Ważą się losy nadzoru nad Bankiem Pekao SA, o wpływy nad którym ciągle walczy Ziobro.

– Chodzi o to, tak naprawdę, aby stworzyć mechanizm synergicznego zarządzania tym, co te spółki robią, aby koordynować ich działania – tak tłumaczył Sasin swoją nową rolę w Radiu Zet. Odpowiedział też na zarzut, że będzie kadrowym, który dokona czystek w spółkach, czego mają się obawiać ich pracownicy. – Nie potwierdzam, że są planowane jakiekolwiek czystki. Chciałem to bardzo wyraźnie podkreślić – stwierdził. – Nie będzie żadnej karuzeli. Będą pewnie normalne i naturalne zmiany, bo kończą się chociażby kadencje zarządów i będą konkursy. W tych konkursach może się wszystko zdarzyć. Ja nie mogę zakładać, że wygrają ci, którzy dotychczas tymi spółkami zarządzają – dodał jednak.

Kiedy zostawał szefem Komitetu Stałego w 2018 r., porównywano go do śp. Przemysława Gosiewskiego, mówiąc, że jest tak samo pracowity oraz obrotny i że u boku premiera będzie pełnił równie ważną funkcję.

„MIŁY, ALE BEZWZGLĘDNY"

Polityką, najpierw samorządową, a później ogólnokrajową, Jacek Sasin zajął się stosunkowo późno. Jest absolwentem Instytutu Historii na Uniwersytecie Warszawskim, a jego pierwszym miejscem pracy była Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie, gdzie często trafiali studenci i absolwenci historii. Później był Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. To tam poznał Elżbietę Jakubiak, późniejszą bliską współpracowniczką Lecha Kaczyńskiego, która odegrała istotną rolę w jego dalszej politycznej karierze. To dzięki niej Sasin trafił do warszawskiego ratusza, gdy prezydentem stolicy był Lecha Kaczyński, a parę lat później do Pałacu Prezydenckiego. – Zawsze ciągnęło go do polityki – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" Elżbieta Jakubiak. – Jest pasjonatem historii, zna się na historii sztuki, ma też dużą ogólną wiedzę humanistyczną. A do tego przeszedł ścieżkę, która dała mu bezcenne doświadczenie urzędniczo-polityczne – mówi.

Zanim trafił do Kancelarii Prezydenta, w 2006 r. został wojewodą mazowieckim. Zrobiło się o nim głośno, gdy próbował pozbawić stanowiska prezydent stolicy Hannę Gronkiewicz-Waltz w związku z uchybieniem w oświadczeniu majątkowym. Sprawa miała finał w Trybunale Konstytucyjnym. Jak relacjonowała „Gazeta Wyborcza", chwilę przed rozprawą Sasin poszedł do Gronkiewicz-Waltz z kwiatami, by złożyć jej życzenia z okazji Dnia Kobiet. – Miły, ale bezwzględny – mówiono o nim wówczas.

Kiedy rok później PiS przegrał wybory, Sasin musiał pożegnać się ze stanowiskiem. Do Sejmu się wtedy nie dostał, został więc na lodzie. I znów z pomocą przyszła Elżbieta Jakubiak, wówczas już szefowa gabinetu prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ściągnęła Sasina do kancelarii. Z perspektywy czasu ocenia, że to był strzał w dziesiątkę. – Zderzaliśmy się wtedy cały czas z nową dla nas i skomplikowaną materią formalno-administracyjno-prawną i Jacek świetnie w to wszedł. Miał już doświadczenie w czytaniu urzędowych pism i dokumentów, potrafił się też poruszać w sprawach prawnych. Był bardzo sprawnym ministrem, a do tego też lubianym – podkreśla Jakubiak. Sasin awansował na wiceszefa Kancelarii Prezydenta. Prezydent go lubił. 10 kwietnia 2010 r., tak jak wielu prezydenckich ministrów, także miał lecieć z prezydentem do Smoleńska. W pierwszych medialnych doniesieniach o katastrofie jego nazwisko pojawiało się na liście pasażerów. Okazało się, że pojechał wcześniej samochodem, a miejsce w samolocie oddał Katarzynie Doraczyńskiej. To on poinformował zebranych w Katyniu członków oficjalnej delegacji, że doszło do katastrofy i prezydent nie dotrze na uroczystości.

Oficjalnie z Kancelarii odszedł 5 lipca 2010 r., w dniu ogłoszenia przez PKW wyniku wyborów prezydenckich, które wygrał Bronisław Komorowski. Jesienią wystartował w wyborach samorządowych, został radnym sejmiku Mazowsza. Na dłużej zakotwiczył się w Wołominie, w którym rządził burmistrz z PiS Ryszard Madziar, a on sam pełnił funkcję jego zastępcy. Podwarszawskie miasteczko stało się przystanią dla wielu polityków pozostającego w opozycji PiS. Dzięki Sasinowi część z nich znalazła tam pracę i możliwość przeczekania chudych lat. Tygodnik „Polityka" rozpisywał się później o układzie rodzinno-towarzyskim, który wtedy wokół siebie stworzył. Jego działalność w Wołominie i różne znajomości z tamtych czasów wytykano mu także przy okazji sprawy SKOK Wołomin. Jeden z podejrzanych w aferze Piotr P. zeznał, że przekazywał politykom PiS koperty z pieniędzmi ze SKOK-ów, w tym także Sasinowi. Sasin stwierdził, że to pomówienie, i zapowiedział złożenie zawiadomienia do prokuratury oraz prywatnego aktu oskarżenia wobec Piotra P.

FRONTMAN

W Sejmie po raz pierwszy znalazł się w 2011 r., i to od razu z bardzo dobrym wynikiem blisko 30 tys. głosów. Kandydował z piątego miejsca na liście w okręgu podwarszawskim, wyprzedzając bardziej znanych kolegów, takich jak Ludwik Dorn czy Jan Szyszko. Szybko stał się frontmanem PiS, często występując i nieźle radząc sobie w mediach. W 2014 r. został przez partię doceniony, stając się kandydatem w wyborach na prezydenta Warszawy. W kampanii zasłynął m.in. obietnicą darmowej komunikacji miejskiej. Wszedł do drugiej tury, ale ostatecznie przegrał z Hanną Gronkiewicz-Waltz wynikiem 43,2 proc. do 56,8 proc.

Kiedy w 2015 r. PiS szedł po władzę, Sasin miał już rozpoznawalność i niezłą pozycję w partii. Nie na tyle jednak dobrą, by liczyć się w rozdaniu rządowym. Dostał szefowanie sejmową Komisją Finansów i nadal był twarzą PiS w mediach. Dlaczego mógł awansować dopiero przy Morawieckim? Jedna z odpowiedzi, którą słyszymy, zadając kolejnym politykom PiS to pytanie, brzmi: Mariusz Błaszczak. To on miał stać za blokowaniem kariery Sasina. Podobno panowie niespecjalnie za sobą przepadają. Obaj rywalizowali o wpływy w okręgu podwarszawskim.

W ostatnich wyborach Sasin nie kandydował już z listy podwarszawskiej. Dostał jedynkę w Chełmie, w okręgu przychylnym PiS i dającym gwarancję mandatu. Uzyskał ponad 91 tys. głosów. – To jest człowiek, który naprawdę w tych ostatnich latach piekielnie ciężko pracował, bo to miejsce, które zajmował w rządzie, w kancelarii premiera, to jest miejsce nieludzkiej pracy. Ta komisja, którą kierował, która uzgadnia wszystkie projekty ustaw, które idą przez rząd, to jest naprawdę mordęga. Ogromna mordęga – tak Jarosław Kaczyński opisywał zalety Jacka Sasina, goszcząc w kampanii wyborczej na pikniku rodzinnym w Chełmie. Jak widać, ta „ogromna mordęga" zwraca się właśnie Sasinowi w dwójnasób. Podobnie jak przychylność prezesa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

FOT. DARKO VOJINOVIC/AP/EAST NEWS

Kierownik zardzewiałej maszyny

Łukasz Warzecha

Po wyborze na przewodniczącego EPL formalna siła sprawcza Tuska właściwie się nie zmieniła – pozostaje tak samo nikła, jak była na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej

Donald Tusk został wybrany na szóstego przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej od jej założenia 43 lata temu w Luksemburgu. Jest pierwszym przewodniczący EPL z Europy Środkowej, ale też dopiero drugim spoza państw Beneluksu (pierwszym był jego bezpośredni poprzednik, Francuz Joseph Daul). Od początku jej istnienia partią kierowało poza tym dwóch Belgów, jeden Holender i jeden Luksemburczyk.

EPL nie jest oczywiście partią w takim znaczeniu jak partie krajowe. Jest paneuropejskim – obejmującym nie tylko kraje UE – zrzeszeniem ugrupowań formalnie chadeckich, konserwatywnych lub ludowych, z których każde ma inną sytuację we własnym kraju i prowadzi własną politykę lokalną. Pod szyldem EPL wspólnie ich przedstawiciele występują w Parlamencie Europejskim. Jednak w skład zrzeszenia wchodzą formacje o tak odległej od siebie retoryce jak węgierski Fidesz z jednej strony – choć jego los i trwanie w EPL pozostają pod znakiem zapytania, na razie partia ta ma status zawieszonej w prawach członka – niemieckie CDU i CSU, austriacka Nowa Partia Ludowa Sebastiana Kurza czy irlandzka Fine Gael Leo Varadkara, która otworzyła drogę skrajnie lewicowym reformom obyczajowym. Gdyby zestawić ze sobą antyliberalne tyrady Orbána i bezideowy permisywizm Varadkara, trudno byłoby uwierzyć, że ci politycy należą do jednej organizacji.

NA CZTERY ŁAPY

Formalna siła sprawcza Tuska właściwie się nie zmieniła – pozostaje tak samo nikła, jak była na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej. Jako szef RE Tusk mógł inicjować rozmowy, projekty, podrzucać punkty do agendy. Jako szef EPL będzie mógł to również robić, ale – podobnie jak w przypadku Rady Europejskiej – nie będzie, formalnie rzecz biorąc, niczym rządził, a jedynie zarządzał. Będzie koordynatorem i organizatorem, ale niekoniecznie osobą nadającą EPL kierunek. Nie jest przypadkiem, że zarówno nazwiska Daula, jak i jego poprzedników pozostawały szerzej nieznane. Nie było po prostu powodu, żeby się nimi publicznie zajmować. Wyjątkiem był Jacques Santer, ale tylko dlatego, że w latach 1995–1999 kierował Komisją Europejską, zaś na czele EPL stał wcześniej, w latach 1987–1990.

Podobnie jednak jak w przypadku szefa Rady Europejskiej, tak i tutaj bardzo wiele zależy od człowieka sprawującego funkcję. Instytucjonalne ramy można wypełnić na różne sposoby. Szef EPL może zająć pozycję szarej eminencji i tak właśnie miał funkcjonować Daul, który był w szczególnie bliskiej relacji z Angelą Merkel. Wielu niemieckich polityków, nawet z CDU, zazdrościło mu regularnych, comiesięcznych spotkań z panią kanclerz. Jednocześnie lubił opowiadać, że jest jedynie skromnym farmerem, właścicielem gospodarstwa w Alzacji. Pochodzi zresztą ze stolicy tego regionu, Strasburga, drugiej siedziby Parlamentu Europejskiego.

Tusk spada na solidne cztery łapy. Nie tylko z powodu swojej gigantycznej jak na polskie warunki emerytury, wypracowanej na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej. Jakkolwiek EPL jest przez wielu traktowana jako pozbawiona polotu, zużyta i niezdolna do nabrania rozpędu zardzewiała partyjna maszyna, zwłaszcza wobec awansu ruchów sceptycznych wobec dotychczasowego kursu Unii, to jednak wciąż jest to maszyna potężna. Trzynaścioro przywódców europejskich państw (nie tylko z UE) należy do ugrupowań zrzeszonych w EPL. W Parlamencie Europejskim EPL ma najwięcej posłów – 182 (na 806).

eprasa.pl 037223689a

Następni w kolejności socjaldemokraci mają 154 miejsca. Mizernie na tym tle wypadają Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, grupa, której członkiem jest PiS – są dopiero na szóstym miejscu z 62 europosłami.

FIGURANT CZY KREATOR

Przed Tuskiem jako szefem EPL stoi zatem kilka możliwości.

Pierwsza, być może najlepiej odpowiadająca jego temperamentowi, to również ta stanowiąca najmniejsze wyzwanie: ograniczenie się do roli rozjemcy i łagodzącego spory wewnątrz EPL oraz organizatora spotkań, szczytów, dyskusji. W dużej mierze byłoby to powtórzenie – choć na mniejszą skalę – tego, co Tusk robił jako przewodniczący Rady Europejskiej. Powstaje pytanie: Czy to jednak nie jest działanie poniżej ambicji byłego premiera?

Drugi wariant to aktywny przewodniczący EPL. Żaden z dotychczasowych przewodniczących EPL nie trafił na to stanowisko, wcześniej sprawując istotną unijną funkcję, a więc mając jakąś rozpoznawalność w skali kontynentu. Santer został szefem KE jakiś czas po tym, jak przestał kierować EPL, więc była to droga odwrotna. Już samo to, że Tusk nie jest całkowitym anonimem dla europejskiej publiczności, stwarza pewną presję i oczekiwanie, aby próbował działać nie tylko jako organizator, lecz także jako kreator polityki kierowanej przez siebie organizacji. Może to być o tyle łatwiejsze niż odgrywanie podobnej roli na czele RE, że EPL zrzesza jednak ugrupowania jakoś do siebie podobne, gdzie wspólny najmniejszy mianownik łatwiej ustalić niż w przypadku 28 (wcześniej 29) państw UE, nawet mimo różnic takich jak te między Orbánem i Varadkarem. Utrudnieniem może być dla Tuska, że jego najtwardsza protektorka, której zawdzięczał wcześniejszy awans, Angela Merkel, wydaje się powoli kończyć karierę polityczną. CDU kieruje od roku Annegret Kramp-Karrenbauer, a to niemieccy chrześcijańscy demokraci są najbardziej znaczącym członkiem EPL.

Z jednej strony rola kreatora mogłaby się Tuskowi podobać. Z drugiej wymagałaby od niego zajmowania stanowiska w sprawach, w których być może wolałby schodzić z linii strzału. To, że Fidesz nie wyleciał całkowicie z EPL, mimo nacisków wielu ugrupowań członkowskich, a został jedynie zawieszony, partia Orbána zawdzięczała w dużej mierze Daulowi. Oskarżano go wręcz o zbytnią uległość wobec węgierskiego premiera i brak zdecydowania, ale taka była strategia Daula, o którym mówiło się, że za jego kadencji nikt z EPL nie wyleci.

Tusk odziedziczył po Daulu problem Fideszu i jeśli będzie chciał pozycjonować się jako aktywny lider EPL, to będzie musiał się nim prędzej czy później zająć. Ugrupowanie rządzące Węgrami nie może przecież w nieskończoność trwać w stanie zawieszenia, a w PE ma 13 deputowanych. Bez nich EPL wciąż byłaby największą grupą, ale uległaby znaczącemu osłabieniu.

Fidesz to oczywiście tylko jeden spektakularny przykład problemów, które musiałby rozwiązywać Tusk, gdyby zechciał być kimś więcej niż figurantem. Przy umiejętnej grze mógłby na dobre wsiąknąć w europejską politykę i mając dzisiaj 62 lata, spokojnie czekać na stanowisku szefa EPL do emerytury. Belg Wilfried Martens rządził Europejską Partią Ludową przez aż 23 lata, od 1990 do 2013 r., do swojej śmierci na nowotwór.

Jednak czyha tu na Tuska pułapka wysokich oczekiwań. Jego wybór – poza wieloma zakulisowymi ustaleniami i poparciem Berlina – mógł być również uzasadniony nadzieją, że były polski premier, mający o wiele bardziej status politycznego celebryty niż z własnej woli schowany przed szerszą publicznością Daul, w jakiś sposób EPL odświeży, ożywi, pokaże jej nową drogę. Partia potrzebuje tego jak kania dżdżu, bo jej stan posiadania zmniejsza się z wyborów na wybory. W poprzedniej kadencji Parlamentu Europejskiego przy 751 miejscach partia miała aż 221 deputowanych. W kadencji rozpoczętej w roku 2009 było jeszcze lepiej: 274 miejsca na 766. Spadek jest wyraźny – przypomnijmy: dziś to 182 osoby. Czy Tusk umiałby pokazać, że ma dla EPL jakąś nową inspirującą wizję, która pozwoli jej odzyskać pozycję niekwestionowanego hegemona? Dzisiaj depczą jej po piętach socjaldemokraci, co zresztą przypomina polską politykę.

Przed Tuskiem stoi jednak jeszcze jedna możliwość: potraktowanie EPL jako dobrego punktu wyjścia do powrotu do polskiego życia politycznego, jakkolwiek mało prawdopodobne by się to dzisiaj wydawało. Entuzjaści powrotu Tuska, którzy wciąż – mimo wielu źle rokujących sondaży robionych, gdy jeszcze możliwy był jego start w wyborach prezydenckich w przyszłym roku – ufają, że będzie zbawcą dzisiejszej opozycji, uczepili się deklaracji odchodzącego przewodniczącego RE, wygłoszonych podczas wywiadu dla Polsatu. Tusk jak to Tusk – nie powiedział niczego wiążącego. Ot, stwierdził, że jako szef EPL nie będzie już musiał tak bardzo hamować się przed angażowaniem w polskie życie polityczne – choć przecież w roli szefa Rady Europejskiej nie hamował się niemal wcale, wielokrotnie całkiem otwarcie mieszając się w polską politykę. Natomiast faktycznie, za zabieranie głosu w polskich sprawach z pozycji przewodniczącego EPL nie sposób będzie go już krytykować. To rola stricte polityczna, dwie opozycyjne polskie partie – PO i PSL – do stowarzyszenia europejskich chadeków należą, więc Tusk może działać jak polityk, a nie urzędnik.

NIEPOTRZEBNA PLATFORMA

Tusk powiedział: „Będę chciał bardzo dużo w Polsce pracować, szczególnie z młodymi ludźmi, ale nie tylko. [...] Chciałbym, żeby w Polsce znalazła się grupa 10, 20, może 100 młodych ludzi, którzy będą rozumieli świat tak, jak on na to zasługuje. Żeby oni na serio wzięli sprawy w swoje ręce". Z tej jak zwykle enigmatycznej i wieloznacznej zapowiedzi można wyczytać tyle, że były premier nie pokłada wielkiej nadziei w swojej dawnej partii i jeśli w ogóle myśli o jakiejś formie działania w polskiej polityce, to poprzez coś nowego.

Sceptycyzmowi Tuska wobec PO trudno się dziwić. Nędzę Platformy widać szczególnie wyraźnie od momentu, gdy ukonstytuował się nowy Sejm. Na tle świeżych i wyrazistych polityków Razem i Konfederacji oraz próbującego zawalczyć o umiarkowane centrum PSL, ugrupowanie Schetyny jawi się jak dogorywający dinozaur, który jeszcze macha ogonem, ale to już tylko odruch bezwarunkowy. Tusk nie ma żadnego powodu, żeby bić się ze Schetyną o przywództwo w PO. Po pięciu latach w Brukseli i przy rezygnacji ze startu w najbliższych prezydenckich wyborach ono nie jest mu już do niczego potrzebne. Jego słowa o zaprzęgnięciu do pracy młodych mogą oznaczać próbę zbudowania czegoś wokół PSL jako nowej centrowo-liberalnej siły, start całkiem nowego projektu, który miałby być gotowy na kolejne wybory w 2023 r., gdy PO może już ledwo zipać, albo próbę przejęcia PO poprzez taki właśnie projekt, gdy przywództwo Schetyny okaże się już całkowicie niewydolne.

Albo też te słowa nie oznaczają kompletnie nic. Ten ostatni wariant wciąż wydaje się najbardziej prawdopodobny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Zdewastowany cmentarz żydowski w Quatzenheim koło Strasburga we Francji FOT. VINCENT KESSLER/REUTERS/FORUM

Antysemityzm na zamówienie

Marcin Makowski

Po raporcie Ligi Antydefamacyjnej w zagranicznych mediach Polskę nazywa się „najbardziej antysemickim krajem świata". Żeby wymienić wszystkie przekłamania, które doprowadziły do takiej tezy, trzeba by napisać osobny raport

Na początek garść statystyk z dokumentu, który szumnie nazwano „ADL Global 100: An Index of Anti-Semitism®" (tak, tak, „Indeks Antysemityzmu" to zastrzeżony znak towarowy Ligi Antydefamacyjnej). Według jednej z najstarszych organizacji żydowskich na świecie, która w 2014 r. sporządziła pierwszy indeks, a następnie uaktualniła go częściowo w latach 2015 i 2019, z 4 mld 161 mln 578 tys. 905 dorosłych żyjących w 101 wziętych pod uwagę krajach... prawie co czwarty przejawia antysemickie nastawienie. Dokładnie 1,09 mld osób – rozsianych od Ameryki Północnej do Oceanii. „Modelowy" antysemita to mężczyzna powyżej 50. roku życia – chrześcijanin lub ateista. Przechodząc z perspektywy globalnej na regionalną, oceniono, że postawy antysemickie dominują zwłaszcza na Bliskim Wschodzie i w północnej Afryce (74 proc. badanych) oraz Europie Wschodniej (34 proc. badanych).

Z ustaleń organizacji wynika, że na przestrzeni lat w Polsce wydarzyło się coś mrocznego, co skłoniło Polaków do przejawiania najwyższej w całej Europie skali nienawiści wobec Żydów. Od 2014 r., gdy podobne przekonania dzieliło 45 proc. Polaków, przez 2015 r., gdy spadły one do 37 proc., dzisiaj doszliśmy do rekordowych 48 proc. Z prawie 31,5 mln pełnoletnich, według indeksu ADL, ponad 15 mln Polaków „przejawia antysemickie uprzedzenia". W zdecydowanej większości są to starsi mężczyźni, katolicy. Na wschodzie kontynentu pod tym względem zbliżają się do nas jedynie Rumunia (47 proc.), Ukraina (46 proc.) i Bułgaria (44 proc.).

KULISY MANIPULACJI

W tym momencie na usta cisną się dwa oczywiste pytania. Pierwsze: Skoro na Bliskim Wschodzie „tendencje antysemickie" są najpowszechniejsze, to w jaki sposób Polacy zostali nazwani globalnymi liderami antysemityzmu? Drugie: Jakimi narzędziami zbierano statystyki, z których ma wynikać, że co drugi Polak jest antysemitą, ale już np. we Francji i w Niemczech, państwach z ogromną diasporą islamską, morderstwami z nienawiści i marszami neonazistów przechodzącymi przez centra miast, negatywnie do Żydów ustosunkowanych jest tylko kilkanaście procent społeczeństwa?

Odpowiedzi na nie, przy zadaniu sobie elementarnego trudu przeczytania raportu, są zaskakująco proste. A jeśli spojrzy się na niego krytycznym okiem od strony metodologicznej, zaczyna się robić tragikomicznie. Okazuje się bowiem, że „uaktualnienie statystyk" opublikowane w listopadzie – a potraktowane przez większość mediów jako nowa, pełna wersja raportu z 2014 r. – to selektywna próba przeprowadzona na 18 państwach z „wysoką populacją Żydów". Wśród nich 14 znajduje się

eprasa.pl 037223689a

w Europie ani jedno natomiast w Afryce Północnej ani na Bliskim Wschodzie, gdzie pięć lat temu – choćby w Iraku – antysemickie stereotypy podzielać miało 92 proc. społeczeństwa.

Mamy zatem do czynienia z cząstkowymi wynikami, przeniesionymi na skalę globalną, które już w warstwie wyjaśnień samych autorów są po prostu kłamstwem. Polska jako jedno z nielicznych państw była bowiem badana trzykrotnie, choć nijak nie spełnia kryterium „wysokiej populacji Żydów". Pod tym względem plasujemy się na ok. 40. miejscu na świecie z populacją 3–5 tys. osób. Ponad 20 państw, w których mniejszość żydowska jest od kilku do kilkunastu razy większa niż w Polsce, nie została wzięta pod uwagę.

Jak ujawniają twórcy raportu, aktualne badania oparto bowiem na śmiesznie małej próbie 9056 osób (ok. 500 ankietowanych na jedno państwo), z czego w 17 przypadkach z 18 ograniczono się do losowego wybierania numerów telefonów komórkowych oraz stacjonarnych, nie dokonując wywiadu środowiskowego ani pogłębionej analizy kontekstu polityczno-społecznego w danym państwie. W podstawowej wersji indeksu „Global 100" dane z 5310 rozmów (ponownie, głównie telefonicznych oraz ankiet internetowych) ekstrapolowano natomiast na 4,2 mld osób.

NAGINANIE STATYSTYKI

Chociaż już w momencie pozyskiwania danych rodzą się tak duże wątpliwości co do ich wiarygodności, to prawdziwe eldorado dla nadużyć, swobodnych interpretacji oraz subiektywnego traktowania definicji „antysemityzmu" znajduje się w formie i treści zadawanych pytań. Skorzystano bowiem z opracowanego w 1964 r. na Uniwersytecie Kalifornijskim kwestionariusza „11 żydowskich stereotypów", w stosunku do których przedstawiono cztery możliwości odpowiedzi: prawda, najprawdopodobniej prawda, nieprawda, najprawdopodobniej nieprawda. Jak brzmią owe stereotypy? Oto kilka z nich: „Żydzi są bardziej lojalni wobec Izraela niż państwa, w którym żyją", „Żydzi mają zbyt dużo władzy w biznesie", „Żydzi mają zbyt duży wpływ na światowe media", „Ludzie nienawidzą Żydów za to, jak się zachowują", „Żydzi mają zbyt dużą kontrolę nad rządem Stanów Zjednoczonych" czy „Żydzi nadal zbyt często mówią o tym, co ich spotkało podczas Holokaustu".

I gwóźdź programu – za określeniem kogoś mianem osoby „podzielającej przekonania antysemickie" uznano odpowiedź „najprawdopodobniej prawda" na szóste pytania z 11. I nawet w tak ułożonej strukturze odpowiedzi Polska nadal znajduje się na 24. miejscu ze 101 badanych państw – a przypominam, że ONZ uznaje ich obecnie aż 195. Trzeba również dodać, że raport Ligi Antydefamacyjnej w żaden sposób nie uwzględnia czynów i przestępstw antysemickich, a jedynie „przekonania". Nie bierze zatem pod uwagę dewastowania synagog, cmentarzy żydowskich, morderstw i aktów przemocy na tle antysemickim. A te w oficjalnych danych Europejskiej Agencji Praw Podstawowych z listopada 2018 r. wskazują, że w Polsce od trzech lat liczba incydentów antysemickich spada i jest prawie cztery razy niższa niż we Francji i ponad 12 razy niższa niż w Niemczech, gdzie badano nie tylko incydenty (np. obraźliwe hasła na murach czy komentarze w Internecie), lecz także fizyczne przestępstwa, napady, groźby i niszczenie mienia.

Z podobnej do ADL ankiety, przeprowadzonej przez Europejską Agencję Praw Podstawowych, wynika natomiast, że w Polsce spośród wszystkich państw unijnych deklarowana wrogość wobec Żydów na ulicach miast wynosi 37 proc. (najniższy wynik), w kontrze np. do 91 proc. we Francji. Równocześnie w kontrze do wizerunku naszego kraju, który się wyłania z raportu ADL, z badań przeprowadzonych w listopadzie przez brytyjską telewizję BBC wynika, że Polska znajduje się na 17. miejscu z 19 w rankingu „najbardziej nacjonalistycznych państw w Unii" pod względem wyników ostatnich wyborów oraz na czwartym pod względem deklarowanego euroentuzjazmu.

IGNORANCJA POPŁACA

Epilogiem raportu, na który koniecznie trzeba zwrócić uwagę, było natomiast pytanie pomocnicze, dodawane do ankiety. Proszono w nim o zadeklarowanie „stosunku do państwa Izrael". I chociaż Polacy w 55 proc. deklarują pozytywne nastawienie, a w 34 proc. negatywne (niemal tak samo jak Szwedzi – 54 proc. pozytywne, 29 proc. negatywne) – to w ogólnej ocenie ADL co drugi Polak podziela poglądy antysemickie, ale już w Szwecji „antysemickie" jest tylko... 4 proc. społeczeństwa. Taka trudna do wyjaśnienia korelacja powtarza się w przypadku innych państw, w których niechętnych wobec Izraela jest ok. 30 proc. społeczeństwa, ale nie przekłada się to na wysokie wyniki pod względem podzielania „negatywnych stereotypów", również odnoszących się do Izraela.

Takich paradoksów jest niestety więcej, ale nie wpływają one w żaden sposób na ocenę jakościową sumarycznych wyników ankiety. Z przypisów do raportu „Global 100" możemy się bowiem dowiedzieć, że aż 46 proc. badanych nie ma żadnej wiedzy na temat Holokaustu, z czego w Afryce i na Bliskim Wschodzie owa niewiedza jest jeszcze większa, na poziomie 60–70 proc. Ba, w przeciwieństwie do Europejczyków i Polaków zdecydowana większość ankietowanych w innych częściach świata nigdy nie spotkała osoby pochodzenia żydowskiego (74 proc. respondentów), a dwie trzecie ankietowanych podważa historyczne ustalenia dotyczące Zagłady.

Jeśli jakiś wniosek w ogóle płynie z badań Ligi Antydefamacyjnej, współfinansowanych przez niemiecki koncern Volkswagen (cóż za chichot historii), to brzmi on następująco: najmniej „antysemickie" są państwa, które najmniej o Izraelu, Żydach i Holokauście słyszały. Ranking najbardziej przyjaznego kraju wygrywa bowiem Laos (0,2 proc. osób podziela złowrogie uprzedzenia), gdzie 9 proc. mieszkańców słyszało o Shoah, a 80 proc. nie ma żadnego stosunku do państwa Izrael. Z tych, którzy cokolwiek o nim słyszeli, 5 proc. wyraża sympatię, 15 proc. antypatię.

A Polska? Cóż, gdyby żyć w świecie autorów „Indeksu...", należałoby uznać, że ulice Warszawy są niemal tak samo niebezpieczne jak ulice Teheranu, ponieważ w Iranie – który regularnie zapowiada ataki jądrowe na Izrael i prowadził z nim wojny – znajduje się tylko 8 proc. więcej „antysemitów" niż w nad Wisłą. Jak wyjaśnić taki stan rzeczy? „Obawiam się, że jest to efekt procesu, przed którym ostrzegałem wielokrotnie i od lat (jeszcze przed deklaracją terezińską z roku 2009). Główną przyczyną wzrostu postaw niechęci wobec Żydów jest w Polsce ustawa 447, a – precyzyjniej – jej aspekt dotyczący »mienia bezspadkowego«" – napisał Paweł Jędrzejewski z Forum Żydów Polskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Książka Grossa była szalbierstwem

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

Z Wojciechem Sumlińskim, dziennikarzem śledczym, autorem książki „Powrót do Jedwabnego”
rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Wejściu do księgarń książki „Powrót do Jedwabnego”, którą napisałeś wspólnie z dr Ewą Kurek oraz Tomaszem Budzyńskim, towarzyszą kontrowersje. W mediach społecznościowych alarmowałeś, że kilka instytucji odwołało wam spotkania autorskie...

WOJCIECH SUMLIŃSKI: Odmówiono mi już zorganizowania takiego spotkania w kilkudziesięciu miejscach, ale z tego w czterech takich, w których mieliśmy już podpisane umowy z zarządcą lokalu. Jedno z takich miejsc to Katolickie Centrum Kultury „Dobre Miejsce” na Bielanach, w którym organizowałem już wiele premier, np. książki „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego”. Miałem zawartą od kilku miesięcy umowę, wszystko było już zorganizowane, opłacone i cztery dni przed premierą w godzinach popołudniowych otrzymałem informację, że w tym miejscu premiera mojej książki nie może się odbyć. Nie podano żadnych przyczyn.

Czy zarządca obiektu przed tym – jak mówisz – wypowiedzeniem umowy na spotkanie miał możliwość zapoznania się z książką?

Nie, oficjalna premiera książki miała nastąpić właśnie podczas tego spotkania. Nie mieli szansy, by odmawiając zgody na organizację spotkania, zapoznać się z publikacją. Po prostu usłyszałem, że „premiera u nas się nie odbędzie, zwracamy pieniądze”.

Nie udało się też zorganizować wieczoru autorskiego w Domu Pielgrzyma „Amicus” w Warszawie oraz nie doszło do organizacji zaplanowanego spotkania w klubie Park w Warszawie.

Z dyrektorem Domu Pielgrzyma miałem podpisaną umowę, uiściłem żądaną kwotę. Dwie godziny po moim wyjściu z obiektu kontaktuje się ze mną ten sam człowiek i słyszę: „Panie Wojciechu – gmina żydowska interweniowała w kurii, bardzo mi przykro, ale proszę odwołać premierę”. Rozmawiałem też z panem organizującym spotkania w klubie Park, przedstawiłem mu sytuację, powiedziałem, że mogą być protesty środowisk żydowskich, usłyszałem, że nie ulegają żadnym naciskom. Podpisaliśmy umowę. W poniedziałek, kilka godzin przed terminem spotkania, dowiedziałem się, że nie ma zgody na promocję mojej książki w tym miejscu

Aktywiści środowisk lewicowych jeszcze przed premierą „Powrót do Jedwabnego” pisali w mediach społecznościowych, że to książka antysemicka.

Co jest w naszej książce antysemickiego? Mierzymy się z tezami Tomasza Grossa z książki „Sąsiedzi”, pokazując, że podstawą do napisania jego książki były relacje przestępców, kłamców albo byli to tacy świadkowie, którzy – gdy doszło do tragedii w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. – przebywali np. w Rosji. To jakiej zbrodni popełnionej na Żydach przez Polaków byli świadkami? Mierzymy się z tym, co napisał Gross, i rozkładamy go na łopatki.

eprasa.pl 037223689a

WOJCIECH SUMLIŃSKI, EWA KUREK, TOMASZ BUDZYŃSKI „POWRÓT DO JEDWABNEGO” WYDAWNICTWO WOJCIECH SUMLIŃSKI REPORTER 2019

Pokazujemy, że książka Grossa była jednym wielkim kłamstwem i szalbierstwem. Na bazie jego łgarstwa, fundamentu dla setek kolejnych kłamstw, zaczęło się przyspieszenie w opluwaniu Polski, w robieniu z nas nazistów, neonazistów. I to wszystko zmierza ku bardzo konkretnemu celowi, co my dokładnie pokazujemy.

Tomasz Gross przekonywał, że dotarł do zeznań świadków, materiałów prokuratorskich...

Tak? Oparł się m.in. na relacji niejakiego Szmula Wasersztajna, który wywołał całą sprawę Jedwabnego. Z jego relacji został zrobiony tzw. wyciąg, który w książce Grossa powinien być wierny co do przecinka. Tymczasem wierny nie jest – różni się on od oryginalnej relacji nawet w takich zasadniczych sprawach jak liczba wymienionych z nazwiska i imienia Polaków. Co jest więc prawdziwe: Czy prawdziwa jest relacja, na której opiera się Gross, czy wyciąg z relacji Wasersztajna? Należałoby sprawdzić u źródła. To idź, proszę, do Żydowskiego Instytutu Historycznego i poproś o wyciąg z relacji Wasersztajna, która w oryginale została złożona w języku jidysz. Okaże się, że oryginał relacji Wasersztajna zaginął. Czyli Bóg jeden raczy wiedzieć, co naprawdę powiedział facet, od którego rzekomej relacji zaczęła się afera „Polacy mordowali w Jedwabnem”. Następna sprawa – Gross zamieszcza w swojej książce relacje ludzi absolutnie niewiarygodnych.

Kogo masz na myśli?

Tych, którzy zeznali np. w procesie tzw. Grupy Fabera – czyli grupy ludzi pochodzenia żydowskiego, opartej także na Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, którzy wyłudzali majątek po zamordowanych Żydach, szukając osób o nazwiskach podobnie brzmiących jak nazwiska zamordowanych przez Niemców, by ci domagali się zwrotu nieruchomości jako rzekomi spadkobiercy. Przywłaszczyli sobie w ten sposób kilkadziesiąt domów w Jedwabnem i Łomży. Jednak – co ważne – wyłudzając te nieruchomości, ze szczegółami opowiadali, jak to Niemcy mordowali Żydów w Jedwabnem. W międzyczasie z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przychodzi notatka – my ją zamieszczamy w książce – która informuje, by w sprawie zbrodni w Jedwabnem szukać wszystkich argumentów pozwalających na obciążenie nią Polaków. Rozpoczyna się więc, a mamy głęboki PRL, pierwsze śledztwo w sprawie Jedwabnego. I co się dzieje? Ci sami, którzy zeznawali w procesie „Grupy Fabera”, dokładnie ci sami świadkowie, którzy mówili o odpowiedzialności Niemców w tym w pierwszym śledztwie ze szczegółami opowiadają, jak to Polacy mordowali Żydów w Jedwabnem. Jako dziennikarz śledczy dobrze wiesz, jaka jest wiarygodność świadków, którzy w bardzo krótkim czasie składają wzajemnie się wykluczające relacje.

Tomasz Gross mógł jednak nie wiedzieć o działalności tej grupy, bo informacje o jej działalności zostały upublicznione dopiero po ukazaniu się jego książki. Mógł więc – choć to rzeczywiście uderza w jego warsztat badawczy – mieć problem ze zweryfikowaniem wiarygodności tych świadków.

Teoretycznie rzeczywiście mógł o takiej grupie nie wiedzieć. Dopiero po „Sąsiadach” w archiwum w Łomży udało się odnaleźć zapomniane materiały dotyczące tej grupy, była zorganizowana konferencja, a cała historia została szczegółowo opowiedziana. Do 2001 r., kiedy to odbyła się wspomniana przeze mnie konferencja, czyli przez ponad rok od napisania książki „Sąsiedzi”, Tomasz Gross rzeczywiście mógł nie wiedzieć o grupie Fabera. Jednak od 2001 r. wie na pewno. Co powinien zrobić uczciwy badacz w tym momencie? Zrobić konferencję prasową, powiedzieć, że nie znał tych faktów, że nie wiedział, iż ludzie, na których relacjach się oparł, raz zeznawali, że to Niemcy mordowali Żydów w Jedwabnem, by za chwilę mówić, że to byli Polacy. W kolejnym wydaniu książki powinien to opisać. Tymczasem Gross nawet się na ten temat nie zająknął, brnąc dalej w swoje kłamstwa. My w ten sposób odnosimy się do dziesiątków rzekomych „faktów” podawanych przez Grossa, znajdując kontrargumenty. Jedwabne jest bardzo ważnym elementem naszej książki, ale idziemy dalej. Dotarliśmy do osób, świadków, uczestniczących w śledztwach dotyczących Jedwabnego. Pokazujemy np., jak było prowadzone przez prok. Ignatiewa z białostockiego IPN ostatnie śledztwo w sprawie zbrodni w Jedwabnem. Absolutnie kuriozalna sprawa. Śledztwo trwało, a ówczesny szef IPN Leon Kieres pojechał do Stanów Zjednoczonych i na spotkaniu ze środowiskami żydowskimi przepraszał za „polską zbrodnię”. To jak jego podwładni mają w takiej sytuacji rzetelnie badać zbrodnie, skoro ich szef już przesądził sprawę?

Mam wrażenie, że wyważacie już dawno „otwarte drzwi”. O kłamstwach Grossa, o błędach metodologicznych pisali już m.in. prof. Marek Chodakiewicz, prof. Bogdan Musiał czy dr Piotr Gontarczyk.

My pokazujemy, że nie tylko cała historia rzekomo polskiej zbrodni na Żydach w Jedwabnem została sfałszowana. Udowadniamy, że nie jest tak, że „Żydzi mieli Polskę w sercu”. Pokazujemy w oparciu o wiele danych – tu wielka praca dr Ewy Kurek – że w czasie zaborów, w czasie powstań narodowych, w 1920 r. czy w 1939 r. Żydzi nie przepuścili żadnej okazji, by sprzymierzyć się z naszymi najeźdźcami. Żydzi traktowali Polskę jak obcokrajowiec, którego ona nic nie obchodzi, bo „umarł król, niech żyje król”, więc stawiali bramy powitalne w 1939 r. To nie wzięło się znikąd, przecież to był element pewnej całości.

To bardzo wielkie, niesprawiedliwie uogólnienie. Oczywiście byli Żydzi, niemała grupa, która kolaborowała z NKWD, byli Żydzi, którzy w zaborze pruskim współpracowali z Niemcami przeciw Polakom i tacy, którzy przejmowali majątki powstańców styczniowych. Jednak była też olbrzymia grupa Żydów, lojalnych obywateli Polski przelewających krew za nasz kraj w różnych momentach historycznych i budujących jego świetność. I bardzo wielu takich, którzy po prostu chcieli żyć w spokoju.

Oczywiście, że byli tacy Żydzi. I my też ich pokazujemy. Jednak niestety był to wyjątek od reguły. Żydzi przyjęli taką strategię: „Żyjemy na tej ziemi co wy, ale nie żyjemy z wami”. I my pokazaliśmy to jako ciągłość historyczną. Bo jak można mówić o Jedwabnem w oderwaniu od ciągłości historycznej? My nie jesteśmy antysemitami, chodzi o to, by zrozumieć pewne rzeczy z naszej historii.

***

Już po rozmowie z Wojciechem Sumlińskim udało nam się ponad wszelką wątpliwość zweryfikować, że co najmniej dwa spotkania z nim zostały odwołane przez dyrektorów placówek. Osoba blisko współpracująca z ks. kard. Kazimierzem Nyczem poinformowała nas, jakoby decyzje mieli oni podjąć samodzielnie, bez konsultacji z kurią. Ta natomiast, jak przyznał nasz informator, miała wiedzę o protestach gminy żydowskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Rodzina na buspasie

Łukasz Zboralski

Premier zapowiedział, że samochód z czterema osobami w środku będzie mógł jeździć buspasem. Czy to dobry pomysł?

Zapowiedź zmian dotyczących buspasów w miastach padła podczas exposé premiera w Sejmie. I warto zwrócić uwagę na to, w jakim kontekście. Otóż był to jeden z pomysłów na „osłodzenie" życia kierowcom, którzy muszą spodziewać się jednocześnie zaostrzenia prawa drogowego. Widać więc, że Mateusz Morawiecki w udany politycznie sposób podchodzi do zmian, które mają skutkować mniejszą liczbą zabitych i rannych na polskich drogach. Ludzie generalnie zmian nie lubią, dlatego oprócz ich dobrego wytłumaczenia politycy na całym świecie jednocześnie podsuwają obywatelom jakąś formę „marchewki" do zapowiadanego „kija". O tym, że „kij" dla kierowców zabijających innych i siebie na szosach jest w Polsce potrzebny, przekonywać nie trzeba (wystarczą dramatyczne statystyki i porównanie ich z sytuacją w innych krajach UE). Można się jednak zastanowić, czy szef rządu wybrał dobrą „marchewkę".

PAS DLA WIELU

Z założenia buspasy w polskich miastach to pasy, które miały usprawnić poruszanie się komunikacją zbiorową. Gdy inni tkwią w korkach, wielu pasażerów w jednym autobusie ma szanse dotrzeć do celu bez takich opóźnień. I to ma sens. Jednak od dawna buspasy ewoluowały – i uprawnienia do poruszania się nimi zyskiwały kolejne grupy użytkowników. Wszystko zależy jednak od woli zarządcy drogi, czyli samorządu. To burmistrzowie i prezydenci miast, a dokładniej dyrektorzy lokalnych zarządów dróg, wpuścili (nie wszędzie) na buspasy także taksówki oraz motocykle czy rowerzystów.

Niektóre samorządy dawno temu wyprzedziły pomysł premiera i pomyślały o dopuszczeniu do jazdy buspasem kierowców samochodów osobowych, którzy wożą pasażerów. Idea jest bliska do tej, która promuje komunikację zbiorową: więcej osób w jednym aucie to mniej aut w mieście.

Nie zawsze było to jednak proste. Już w 2013 r. Bydgoszcz rozważała wpuszczenie na te pasy ruchu samochodów osobowych, którymi razem z kierowcą jedzie minimum trzech pasażerów. Miejscowy zarząd dróg planował, że w ten sposób zmniejszy się liczba samochodów na ulicach i mniejsze będą też korki, bo część samochodów pojedzie buspasami. Drogowcy usłyszeli wówczas w mediach oficjalną przestrogę. „Rozumiem intencje bydgoskich drogowców, natomiast nie jestem przekonany, czy mieszczą się one w granicach prawa" – straszył Marek Kąkolewski, wówczas jeszcze znany policjant ruchu drogowego z Warszawy.

Nie wszyscy się takich pogróżek bali. I tak np. kilka lat temu Rzeszów zdecydował, że po buspasach w tym mieście oprócz pojazdów komunikacji miejskiej mogą jeździć też taksówki, straż miejska, służby ratunkowe, motocykliści oraz... kierowcy samochodów wiozący

eprasa.pl 037223689a

Od kilku lat w Rzeszowie buspasami mogą jechać kierowcy wiozący co najmniej dwóch pasażerów FOT. MACIEJ GOCLON/EAST NEWS

co najmniej dwóch pasażerów. Działa do dziś. Przeciwnicy pomysłu Morawieckiego, który wieszczą „paraliż buspasów" w Polsce, w Rzeszowie próbowali znaleźć argumenty przeciw takiej zmianie. Nie znaleźli. Wprawdzie bowiem nie ma tam analiz tego, jak wpuszczenie osobówek z pasażerami wpłynęło na płynność ruchu w mieście (i szkoda, nie ma też analiz, jak wygląda nadzór nad tym przywilejem), ale i nie ma żadnych danych o tym, by powodowało to utrudnienia w ruchu komunikacji miejskiej. Przeciwnie – urzędnicy z Rzeszowa podkreślają, że od wprowadzenia buspasów mieszkańcy miasta są zadowoleni z komunikacji miejskiej, która poprawiła punktualność i coraz więcej z nich ją wybiera. Przy okazji – buspasy w tym mieście obowiązują jedynie w dni powszednie w godz. 6.30–9.30 oraz 14.30–17.30.

Pomysł wpuszczania samochodów z większą liczbą osób w środku na oddzielne pasy nie jest zresztą nowy. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie od dawna funkcjonują pasy HOV-lane (high-occupancy vehicle lane – czyli pas dla pojazdu z wieloma pasażerami). Takie pasy są wyznaczane okresowo (np. w godzinach szczytu) lub na stałe. Można je znaleźć w USA w stanach Kolorado, Floryda, New Jersey, Nowy Jork, Tennessee i Wirginia. To pomysł na zachęcenie ludzi do grupowych przejazdów prywatnymi samochodami. Zwykle wymogiem jest, by kierowca jechał co najmniej z jednym pasażerem. I jest to istotne, jeśli chodzi o nadzór nad prawidłowym korzystaniem z tego przywileju. Kamery bez problemu wyłapią obraz przedniej szyby, za którą widać, czy kierowca jedzie sam, czy z kimś. Czasem wolno po HOV-lane pojechać samemu, ale wówczas kierowca musi za to zapłacić. Nadzór jest jednym z najważniejszych elementów takich pomysłów. Chociaż i w USA kierowcy próbują oszukać monitoring, np. wożąc ze sobą na siedzeniu manekiny czy dmuchane postacie.

NADZÓR DAJE PLAMĘ

Wydaje się więc, że pomysł premiera, wbrew obawom części komentatorów, może okazać się dobrym rozwiązaniem, jeśli tylko uda się zapewnić nad wykorzystywaniem buspasowego przywileju odpowiedni nadzór. A z tym, jak w ogóle z nadzorem drogowym w Polsce, jest dziś poważny kłopot.

Fatalnym przykładem na to jest miasto Poznań, które do niedawna dopuszczało poruszanie się buspasami samochodów osobowych z co najmniej trzeba osobami w środku. W ten sposób postanowiono od września 2017 r. upłynnić ruch na ulicy Mostowej. Oprócz autobusów na nowy buspas wpuszczono też osobówki z odpowiednią liczbą pasażerów. Trwało to zaledwie dwa lata. W sierpniu tego roku Zarząd Dróg Miejskich w Poznaniu zrezygnował z wpuszczania na ten pas osobówek z minimum trzeba osobami w środku. Powód? Nie poradzono sobie z nadzorowaniem tego, czy z przywileju bezprawnie nie korzystają też samotni kierowcy osobówek. – Zmian chciała policja – wyznał Radiu Poznań Łukasz Dondajewski, miejski inżynier ruchu w Poznaniu. – Mieliśmy wiele sygnałów w tej sprawie i policja też uznała, że nie ma możliwości tego zweryfikować i dlatego już nie ma tego przywileju na ulicy Mostowej – dodawał.

W USA od dawna działają HOV-lane, czyli pasy jazdy mające promować współdzielenie przejazdów samochodami osobowymi

Buspas w Poznaniu zamknięto więc dla osobówek nie dlatego, że rozwiązanie w praktyce się nie sprawdziło, tylko dlatego, że poznańska policja okazała się bezradna. Nie pierwszy raz zresztą – policja w tym mieście twierdzi też, że nie może wykorzystywać zarejestrowanych przez zalegalizowane fotoradary miejskie wykroczeń kierowców do ich ukarania. Urządzenia, które kupiło kiedyś miasto, a których wykorzystanie gminom odebrał w 2015 r. parlament, wciąż mają pełną dokumentację do tego, by na ich podstawie wystawiać mandaty, i rejestrują w kwartał ponad 1 mln naruszeń ograniczenia prędkości.

Do tej pory rząd zmusił ustawą samorządy do wpuszczenia na buspasy samochodów osobowych w jednym przypadku – gdy są one pojazdami elektrycznymi. Taką możliwość dała ustawa o elektromobilności przyjęta w ubiegłym roku. Nie trzeba żadnych specjalnych oznaczeń, by elektrykiem pojechać buspasem. Jednak i w ustawie rząd dał samorządom możliwość regulowania tej kwestii, uzależniając wpuszczanie elektryków od liczby pasażerów w środku pojazdu.

DOKĄD DOJEDZIEMY?

Po zapowiedzi Mateusza Morawieckiego wydaje się, że rząd może chcieć teraz ustawowo wpuścić wszystkie osobówki na buspasy pod warunkiem określonej liczby pasażerów w środku. I skoro ten pomysł zagrożony może być tylko przez marny nadzór, to samorządy będą musiały o ten nadzór na drogach lepiej zadbać. Rząd oczywiście mógłby im pomóc – choćby przywracając możliwość nadzorowania kierowców za pomocą automatycznych systemów nadzoru. I nie jest to takie trudne. Wystarczyłoby, że wpływy z takich mandatów samorząd mógłby uzyskiwać jedynie do poziomu zwrotu za instalację urządzenia. Reszta mandatów mogłaby wpływać na fundusz bezpieczeństwa ruchu drogowego, którego powstanie premier też zapowiedział i z którego ma być finansowana przebudowa infrastruktury na drogach tak, by poruszało się po nich bezpieczniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Ostatni grzesznik

Piotr Gociek

Martin Scorsese to jeden z największych żyjących mistrzów kina. A „Irlandczyk" to jego kolejne arcydzieło

W długim ujęciu otwierającym „Irlandczyka" kamera prowadzi nas przez korytarze domu opieki, by zatrzymać się ostatecznie na siwym, starym człowieku siedzącym na inwalidzkim wózku. Nie wiemy jeszcze, że jest ostatnim żyjącym świadkiem wydarzeń, o których opowie, ale wiemy, że to on będzie snuł swą historię.

Frank Sheeran, grany przez Roberta De Niro, to tytułowy Irlandczyk, który swą zawodową karierę (jeśli tak można określić przestępczy żywot) związał z włoską mafią. Jako obcy, jako outsider, nigdy nie będzie mógł zostać jednym z prawdziwych „wiseguys", ale zdobędzie zaufanie wpływowych ludzi zrodzonych na Sycylii nie tylko dzięki temu, że płynnie mówi po włosku, którego to języka nauczył się, służąc w amerykańskiej armii i walcząc m.in. pod Anzio. Przede wszystkim dlatego, że jest człowiekiem dotrzymującym słowa, godnym zaufania, trzymającym język za zębami i ciężko pracującym. Także wtedy, gdy z drobnego oszusta zostanie przekwalifikowany na specjalistę od malowania domów. Tak, słusznie podejrzewacie, że nie chodzi tu o pracę z pędzlem w dłoni. Eufemizm oznacza mafijnego cyngla, a to, co opryskuje ściany domów po celnym strzale w tył głowy ofiary, bez wątpienia nie jest farbą.

Stojący nad grobem Sheeran wspomina. Historia rozgrywa się jednocześnie w kilku planach czasowych, nad którymi Martin Scorsese panuje perfekcyjnie. Przechodzimy między nimi płynnie, nigdy nie gubiąc rytmu i nie tracąc orientacji. Wewnątrz ramy głównej, którą są wspomnienia starca, kryje się jeszcze jedna – kilkudniowa podróż przez Stany Zjednoczone. Samochodem jadą Frank Sheeran i jego mentor Russell Bufalino, postać kluczowa dla filmu i dla życia Sheerana. To Bufalino dostrzegł kiedyś w klepiącym biedę kierowcy ciężarówki coś, co sprawiło, że zechciał go wziąć pod swoje skrzydła i wprowadzić do świata,

eprasa.pl 037223689a

Al Pacino i Robert De Niro znów razem na ekranie. Tylko to zdanie wystarczyłoby, żeby każdy miłośnik kina zasiadł do oglądania „Irlandczyka" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

który Scorsese pokazywał wcześniej w „Ulicach nędzy", „Chłopcach z ferajny" czy „Kasynie".

ZNÓW RAZEM

Russella Bufalino gra Joe Pesci, który został obsadzony w kontrze do wizerunku, który pamiętamy z „Chłopców z ferajny" czy „Kasyna", a wychodząc poza filmy Scorsese – choćby z serii filmów „Zabójcza broń". Tym razem nie jest to nadmiernie ekspresyjny, gestykulujący nieustannie i wybuchowy stereotyp rozgadanego Włocha. Bufalino nigdy nie traci zimnej krwi, mówi niewiele, ale każde jego słowo ma znaczenie, w sytuacjach naprawdę poważnych zaś nawet podwójne, specjalne znaczenie. Poczekajcie na niezwykłą scenę, w której będzie rozmawiał z Jimmym Hoffą, używając kilkakrotnie zwrotów „it is what it is" oraz „some people", za każdym razem nadając im coraz groźniejsze brzmienie, choć tembr jego głosu nie zmieni się wcale.

Jimmy Hoffa. Kolejna ważna postać tej opowieści. Wszechpotężny przywódca związkowy, który w czasach swej świetności trząsł Ameryką. Jego jedno skinienie sparaliżować mogło dowolny sektor gospodarki. Czczony przez robotników, o których prawa walczył, dbał jednocześnie o własną sławę, fortunę i wpływy. Gigantyczne pieniądze ze składek związkowców inwestował w interesy z mafią. Zaginął w tajemniczych okolicznościach 30 lipca 1975 r. Ciała nigdy nie odnaleziono. Rozmaici ludzie związani z mafią kilkakrotnie deklarowali, że znają los Hoffy i wiedzą, kto go zabił, jednak policji i FBI nigdy nie udało się potwierdzić prawdziwości żadnej z tych opowieści.

W filmie Scorsese w postać Hoffy wciela się Al Pacino. „Słyszałem, że malujesz domy" – mówi do Franka Sheerana, gdy pierwszy raz rozmawiają przez telefon. Hoffa potrzebuje pomocy zaufanego człowieka, który pomoże mu w brutalnej rozprawie z konkurencją, a Frank stosowne usługi zapewni. Będzie to początek długiej przyjaźni. Oczywiście obydwu bohaterów skontaktował ze sobą nie kto inny, jak Russel Bufalino.

Robert De Niro i Al Pacino znów razem na ekranie. Tylko to zdanie wystarczyłoby, żeby każdy miłośnik kina zasiadł do oglądania „Irlandczyka" podekscytowany. Obaj pojawili się w „Ojcu chrzestnym 2" Coppoli (1974), ale nie dzielili ekranowego czasu. Ich aktorski pojedynek był ozdobą thrillera Michaela Manna „Gorączka" (1995), ale jednak było to tylko pierwszorzędne kino drugorzędne. O występie w „Zawodowcach" Jona Avneta (2008) pewnie obaj zapomnieli jeszcze szybciej niż rozczarowani tym obrazem fani. W „Irlandczyku" dzielą wspólnie sporo czasu ekranowego i każda z tych chwil jest złota. Nie znaczy to jednak, że wszyscy będą tym występem zachwyceni. Dla części widowni to będzie trudna próba.

Problem ma charakter techniczny, a nie artystyczny. Lwią część budżetu zapewnionego przez Netflix (niemal 160 mln dol.) dla trzy i półgodzinnej sagi Scorsese pożarły efekty specjalne. Nie dlatego, że widzimy tu jakieś niezwykłe pejzaże czy szczególnie wymyślne sceny akcji, ale dlatego, że na potrzeby poszczególnych sekwencji aktorzy zostali komputerowo odmłodzeni, a tam, gdzie było trzeba, także postarzeni. Wspaniale jest znów ujrzeć Roberta De Niro takim, jakim pamiętamy go z „Dawno temu w Ameryce" czy „Chłopców z ferajny", tyle tylko że pamiętamy przecież: to dziś aktor, który ma 76 lat. Joe Pesci jest jego rówieśnikiem, a Al Pacino liczy sobie lat 79. Robota speców od efektów jest znakomita, ale początkowy próg wejścia w film, zanurzenia się w pełni w przedstawioną opowieść jest trudny do pokonania. Są i tacy, którzy wskazują – słusznie – że jest kłopot ze złożeniem dwóch warstw na ekranie – komputerowo odmłodzeni aktorzy wyglądają jak trzy czy cztery dekady temu, ale przecież poruszają się jak starcy, pozostają przygarbieni, gdzieś w głębi serca czujemy, że jesteśmy oszukiwani.

★★★★★★
REŻ. MARTIN SCORSESE „IRLANDCZYK" („THE IRISHMAN")
USA 2019

wyst. Robert De Niro, Al Pacino, Joe Pesci, dystr. Netflix

Od razu dodam, że sam akurat problemu z tym nie miałem, bo od początku dałem się uwieść narracji Scorsese. Poprawiani czy nie, De Niro, Pacino, Pesci czy Harvey Keitel (pojawia się jako ważny mafioso Angelo Bruno) to aktorzy wybitni i swoim wejściem w postacie sprawiają, że zapominamy o technicznych sztuczkach. Kino to magia, nie przeszkadzało nam przecież, gdy w „Green Book" Viggo Mortensen, syn Duńczyka, wnuk Kanadyjczyka, udawał włoskiego cwaniaczka. Tak jak w „Irlandczyku" nie przeszkodzi nam to, że wnuk Jamajczyka i Szwedki urodzony w brytyjskim Lancashire, czyli Stephen Graham, gra u Scorsese włoskiego do szpiku kości Tony'ego Provenzano. Albo chwila zawahania, kiedy musimy przyjąć na warunkach Martina Scorsese wygląd odmienionych nieco przez komputerowe sztuczki bohaterów. Rozumiem jednak, że część widzów może nie podzielać mej opinii.

HISTORIĄ O SPRZECZNYCH LOJALNOŚCIACH

Rozpatrywanie „Irlandczyka" jedynie w kategoriach kina gangsterskiego –

eprasa.pl 037223689a

Lwią część budżetu „Irlandczyka" pożarły efekty specjalne. To dlatego, że na potrzeby poszczególnych sekwencji aktorzy zostali komputerowo odmłodzeni, a tam, gdzie było trzeba, także postarzeni FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nawet wybitnego – byłoby jego olbrzymim spłyceniem. Owszem, obserwacje obyczajowe są świetne, a wiedza na temat mechanizmów funkcjonowania zorganizowanej przestępczości – ogromna. Ale to nie nowina w filmach Scorsese, zwłaszcza że łączy w nich własne doświadczenia i spostrzeżenia z czasów, gdy wychowywał się w Little Italy, z mocnym materiałem źródłowym, bo książki, w których szukał inspiracji, przynoszą wielki ładunek intrygujących szczegółów.

Najnowszy film Scorsese bliższy jest jednak jego medytacjom religijnym. Chociaż w warstwie fabularnej (i historycznej) stanowi opowieść wielce zajmującą, to mocno wybrzmiewają w nim – i najważniejsze są – wątki, które zawsze były mu bliskie. Popełnione grzechy, nieodkupione winy, lojalności prawdziwe i fałszywe, wyrzuty sumienia. W centrum tych problemów znajduje się Frank Sheeran. Kto spodziewałby się jednak postaci rozdartej przy każdej poważniejszej decyzji, ten będzie w błędzie.

Niewiele wiemy o Franku. Kim był przed wojną? Jego cztery lata wojskowej służby poznajemy z jego krótkiej relacji i jednej sceny, w której zmusza dwóch niemieckich jeńców do wykopania własnego grobu, a potem bez mrugnięcia okiem ich zabija. To służba w 45. dywizji piechoty zamieniła go w zimnego rzemieślnika śmierci czy może był taki już wcześniej? Nie wiadomo.

Na ekranie widzimy jego rodzinę. Żona, syn, córka, potem kolejne dzieci. Zwykły dom, zwykłe drobne zajęcia i kłopoty. Grany przez De Niro bohater to trochę człowiek bez właściwości, na pewno nie zwykły żołnierz mafii, ale także nie żadna bardzo ważna figura. Swą pozycję zawdzięcza pracowitości, lojalności i opiece ze strony Bufalino. Gdy ktoś prosi go o przysługę (wiecie już, jakiego rodzaju to przysługi), jest wręcz nieco zakłopotany. Co nie przeszkadza mu w wykonywaniu zleceń bez skrupułów.

Frank gra z życiem takimi kartami, jakie mu dano, dwoi się i troi, by ugrać jak najwięcej, ale zawsze pozostanie człowiekiem z drugiego szeregu. Nie tylko dlatego, że nie jest Sycylijczykiem. Przede wszystkim dlatego, że brak mu tej przepotężnej ambicji, żądzy pieniędzy i kariery, która przepełnia wielu innych bohaterów gangsterskich przypowieści Scorsese. Frank nie jest żądnym sławy i fortuny pistoletem w rodzaju tych, do których należał Ray Liotta w „Chłopcach z ferajny". To jedna z przyczyn, dla których rozkwita jego przyjaźń z Jimmym Hoffą, człowiekiem dumnym, potężnym i o nieograniczonym apetycie na władzę. Każdy wielki człowiek potrzebuje wiernych towarzyszy walki, którzy pozostają w cieniu. Wypróbowanych, lojalnych, uczciwych. Bohaterów drugiego planu.

Słowo „lojalność" po raz kolejny pojawia się w tych rozważaniach. Frank tych lojalności ma kilka. Jak umie troszczy się o swych bliskich. Z jakim efektem – zobaczycie. Szybko staje się prawą ręką Hoffy (ich rodziny zaprzyjaźniają się ze sobą). Jednocześnie jego główna lojalność leży gdzie indziej – w mrocznych kręgach, których personifikacją jest jego mafijny mentor Bufalino. Konflikt jest zatem nieuchronny.

Mafia odgrywa w „Irlandczyku" rolę podobną do tej, którą w antycznych tragediach odgrywał nieubłagany los. Scorsese prowadzi swą opowieść do nieuchronnego końca. Frankowi Sheeranowi przeznaczona jest rola tego, który przeżyje swych wrogów i przyjaciół, który patrzy, jak przemijają chwała i bogactwo. Starzejący się gangsterzy dzielą się w więzieniu chlebem i winem. Coraz więcej czasu spędzają w kaplicy. Niektórzy spowiadają się ze swych grzechów. A Frank? Czy rozumie w pełni swój los i konsekwencje swoich wyborów?

W ostatnich partiach nowego filmu Scorsese historia o sprzecznych lojalnościach i występkach mafijnego cyngla zamienia się w rozważanie o ludzkim losie w ogóle. Cóż uczyniliśmy ze swym życiem? Czy było warto? Czy rozumieliśmy, co tak naprawdę było ważne, czy tego, co ważne, na własne życzenie nie zdradziliśmy i nie straciliśmy? A czy z perspektywy czasu zrozumiemy? Młoda pielęgniarka rozmawiająca z Frankiem nie wie, kim był Jimmy Hoffa. O bossach przestępczego świata, o dawnych królach życia pamiętają już tylko najbardziej uparci agenci FBI. Wszyscy, z którymi Frank szedł przez życie, trafili już do grobu. Pył i proch, marność nad marnościami. Okrutny mistrz opowieści Scorsese, wprowadzając wcześniej na scenę poszczególne drugoplanowe postacie, opatruje je od razu krótkimi notkami – ten dostał trzy kulki w łeb, ten sześć, tamten odsiadywał karę stu lat więzienia. Tylko ze starych zdjęć uśmiechają się do Franka jego córka, jego żona, jego przyjaciel.

WYZNANIE WIN

Frank żyje i pamięta. A jego brzemię staje się cięższe z biegiem lat, bo wszystkie grzechy własne i dawnych kompanów dźwiga w swym sumieniu. Szuka pociechy w rozmowach z księdzem, ale nawet przed nim nie potrafi się otworzyć. Dlatego że postanowił być lojalny aż do bramy piekieł? Dlatego że nie rozumie głębi swego upadku? Dlatego że ją pojął i bezgraniczny wstyd go przytłacza? Scorsese stawia pytania, lecz nie udziela odpowiedzi.

Nawet największy grzesznik liczyć może na łaskę, odkupienie i życie wieczne. Trzeba jednak wyznać swe grzechy. Na razie jednak, gdy widzimy go po raz ostatni, Frank Sheeran obdarzony jest wiecznością zupełnie inną od tej, o której marzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

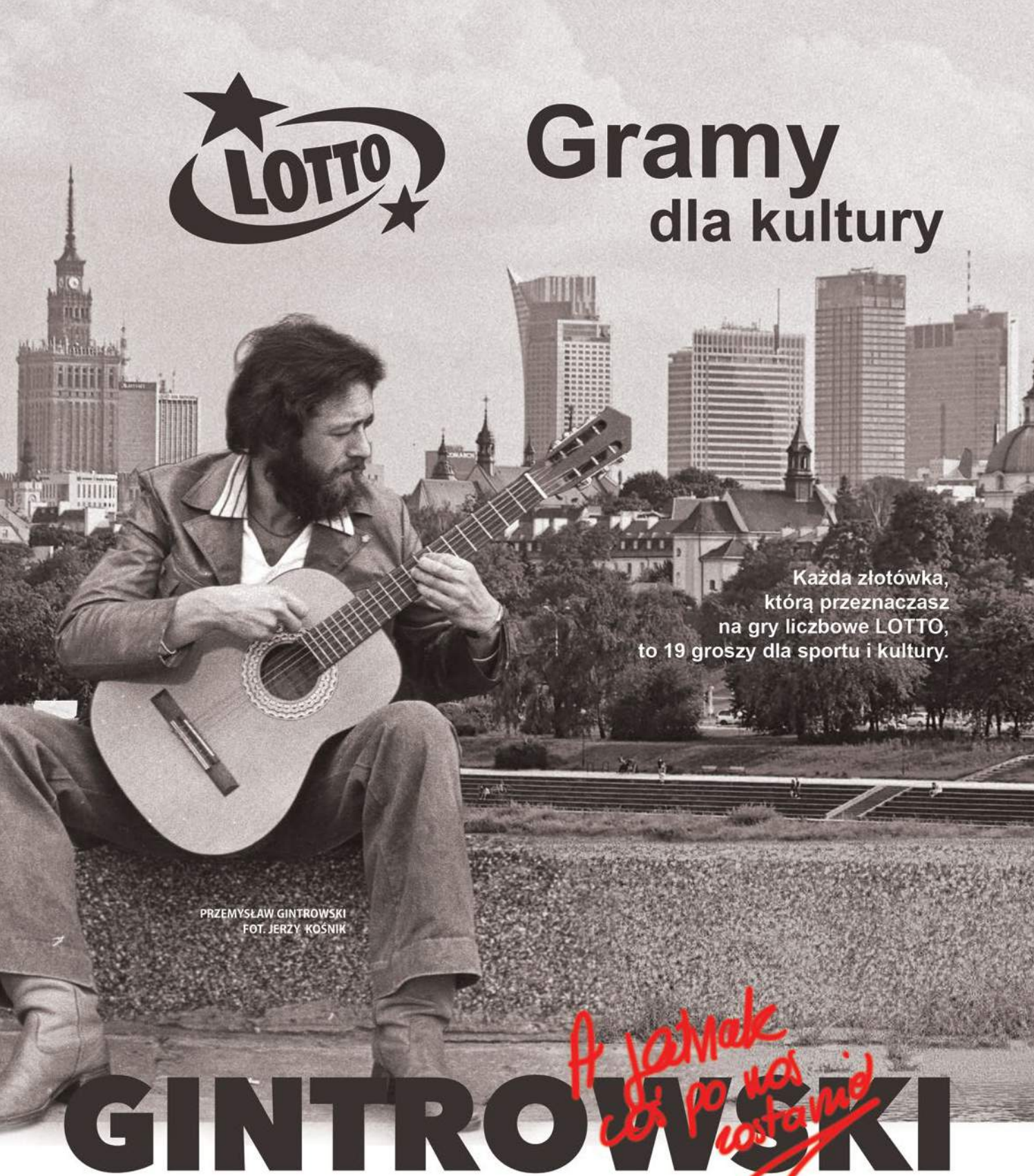

eprasa.pl 037223689a

Z Oscara Wilde'a uczyniono ikonę gejostwa, chociaż ten swoje homoseksualne doświadczenia określał jako „potworną perwersję erotyczną" i pod koniec życia został przyjęty do Kościoła

FOT. SARIN IMAGES/GRANGER HISTORY COLLECTION/FORUM

Jak się pisze homobiografie

Tomasz Rowiński

Rozpychająca się w świecie lewicowa propaganda zniekształca biografie znanych osób, przypisując im homoseksualność

Kiedy w 2008 r. Krzysztof Tomasik wydawał swoje „Homobiografie", te mocno naciągane opowieści o znanych Polkach i Polakach oraz ich homoseksualności (nieraz rzekomej), traktowane one były w kategoriach niezbyt poważnego żartu niszowego autora z barwnego, ale równie niszowego środowiska. Dzisiaj „tęczowe" środowiska w dalszym ciągu są niszowe, ale ich możliwości politycznego oddziaływania znacznie wzrosły. Wzrosły również ich możliwości pisania na nowo historii lub biografii, opowiadania światu swojej wersji rzeczywistości. Ktoś mógłby powiedzieć: Cóż w tym złego, że z dziejów ludzkiej twórczości wydobywa się „tożsamość gejowską"? Pomijając całkowity anachronizm takich odwołań, polegający na narzucaniu ludziom z minionych wieków trudnych dla nich do pojęcia konstruktów tożsamościowych i ideologicznych, także kwestie etyczne i wciąż trwający, choć tłumiony przez poprawność polityczną spór o społeczny status homoseksualności, homohistorie są zwykle po prostu przekłamane.

STRATEGIE PISANIA

Są trzy strategie pisania homobiografii i każda z nich odnosi się do innego rodzaju osobowości. Z pisarzy o potwierdzonych skłonnościach homoseksualnych robi się zatem „ikony gejowskie", z tych, którym z jakichś względów da się homoseksualność przypisywać, robi się ukrytych homoseksualistów, a wreszcie tym, którym nic się nie da udowodnić, przypisuje się ukryte motywy lub tworzy się takie interpretacje ich twórczości, że szybko stają się „gay friendly".

Oscar Wilde od dawna jest traktowany jako „ikona gejowska", ofiara opresji stosowanej wobec homoseksualistów w XIX-wiecznej Anglii. Proces karny i więzienie, które spotkały go w związku z grzechami sodomskimi, a potem dość szybka śmierć, która w pewnej przynajmniej mierze była konsekwencją ciężkiego więzienia, ubóstwa i osamotnienia (Wilde'a po oskarżeniach porzuciła żona), dziś są pretekstem, by zapominać o tym, co sam Wilde sądził o swoim losie. Joseph Pearce, wybitny znawca literatury angielskiej, w jednym ze swoich tekstów przywoływał takie oto słowa pisarza określające

eprasa.pl 037223689a

jego stosunek do skłonności, a bardziej jeszcze własnych homoseksualnych praktyk: „W listopadzie 1897 roku Wilde powiedział francuskiemu dziennikarzowi, że jego upadek nie był jedynie spowodowany patologią, ale grzechem. »To grzech pychy jest tym, który zawsze niszczy ludzi« – wyjaśnił, oświadczając, że jego własna pycha sprawiła, iż »tarzał się w bagnie« [...]. W sierpniu 1900 roku Wilde wyznał paryskiemu korespondentowi »Daily Chronicle«, że żywi sympatię do katolicyzmu, a ta sympatia datowała się jeszcze z czasów, gdy był studentem Trinity College w Dublinie. »Spora część mojej moralnej nieuczciwości jest spowodowana faktem, że mój ojciec nie chciał pozwolić mi, bym został katolikiem – zwierzył się dziennikarzowi. – Artystyczna strona Kościoła uzdrowiłaby mnie z moich zwyrodnień. Zamierzam być przyjęty [do Kościoła] już niebawem«". Ostatecznie Wilde zostanie przyjęty do Kościoła na łożu śmierci w listopadzie 1900 r. Pisarz własne homoseksualne doświadczenia określał jako „formy seksualnego szaleństwa", „najstraszniejsze formy erotomanii", jako „potworną perwersję erotyczną", „seksualną monomanię w strasznej postaci" czy „grzęzawisko szaleństwa".

Przykładem pisarza, co do którego nie ma żadnych poszlak, by był osobą o skłonnościach homoseksualnych, a tym bardziej by był aktywnym homoseksualistą, jest niedawno kanonizowany filozof i świetny pisarz oraz kaznodzieja, kard. John Henry Newman. Za pretekst, by zacząć przepisywać na nowo biografię Newmana, posłużyła reinterpretacja kontekstów. Pierwszy to bardzo bliska przyjaźń pomiędzy Newmanem a ks. Ambrose'em St. Johnem, która to przyjaźń była faktycznie relacją do grobowej deski, ponieważ obaj przyjaciele zostali razem pochowani. Pretekstem drugim była specyficzna kultura XIX-wieczna (a właściwie to dużo starsza), w której słowa, a nawet gesty – dziś odbierane jako wyznania czułości o charakterze intymnym, erotycznym – pojawiały się w bliskich relacjach o zupełnie nieerotycznym odcieniu. Mężczyźni chadzali pod rękę, wyznawali sobie miłość, witali się czy żegnali pocałunkami, nie traktując tych gestów jako wyrazu możliwych homoseksualnych fascynacji.

W sprawie Newmana posunięto się w konfabulacji tak daleko, że twierdzono, jakoby żył on z ks. St. Johnem jak „mąż z żoną", a Watykan tylko ukrywał te niewygodne fakty przed światem. Gdyby którakolwiek z tych opowieści nosiła znamiona prawdopodobieństwa, jest pewne, że Stolica Apostolska bardzo szybko utraciłaby proces beatyfikacji. Sądzę wręcz, że nawet nie wyszedłby on z etapu rozpoznania sprawy na poziomie diecezjalnym. Biograf kard. Johna Newmana, ks. Ian Ker, pisał w odpowiedzi na owe fantazje: „Nie ma niczego na poparcie tego twierdzenia, a wszystko, co kardynał napisał oraz powiedział, wskazuje, że traktował homoseksualizm jako niemoralny, nie wspominając o tym, że był on zakazany w tamtych czasach. To była zażyła przyjaźń, którą niektórzy próbują obecnie błędnie przedstawiać i wykorzystywać do swoich własnych celów". Jednak przy okazji kanonizacji wspierający polityczny ruch homoseksualny wewnątrz Kościoła portal – uważający się za katolicki – New Ways Ministries pisał: „Zgadzamy się, że niewłaściwe jest interpretowanie dawnych relacji w kontekście dzisiejszej współczesnej świadomości homoseksualizmu. Nie powinniśmy wyobrażać sobie, że przeszłe wydarzenia mogą być rozumiane poprzez współczesne wartości i pojęcia. Ale tutaj musimy zastanowić się, co moglibyśmy rozumieć przez »gejów« i »otwarcie«. Ker uważa, że Newman i St. John nie byli gejami, ponieważ widać, że byli w celibacie. Domniemanie Kera polega zatem na tym, że »gej« oznacza »aktywny seksualnie«. Oczywiście jest to całkowicie fałszywy pomysł. Oczywiście obaj mężczyźni mogliby być gejami i pozostawać w bliskich relacjach bez aktywności seksualnej, tak jak wielu gejów w kapłaństwie i życiu zakonnym dotrzymuje dziś obietnic i ślubów celibatu. Wielu świeckich gejów również żyje, decydując się na brak intymności seksualnej z kimś".

Trudno o lepszy przykład homopanseksualizmu, wedle którego każda męska przyjaźń jest po prostu „gejowska".

PLUGAWIENIE PAMIĘCI

William Szekspir był – jak wiadomo – człowiekiem bogobojnym, żonatym, wielodzietnym, są przesłanki, by sądzić, że pozostawał utajonym katolikiem w protestanckiej już Anglii. Wśród nielicznych świadectw mówiących nam coś bezpośrednio o Szekspirze mamy słowa syna przyjaciela pisarza, który powiedział o nim, że był „tym bardziej godny podziwu, [ponieważ] nie był kimś, kto należałby do osób towarzyskich, i nie ulegał rozpuście". A jednak jako homoseksualne próbuje się opisywać miłość Antonia do Sebastiana w „Wieczorze Trzech Króli" czy miłość Antonia do Bassania w „Kupcu weneckim".

Szekspirolog Craig Bernthal tak komentuje podobne pomysły: „Miarą krytycznego wpływu polityki genderowej jest to, że zauroczenie homoseksualne, a nie serdeczna męska przyjaźń, stało się dla wielu krytyków najbardziej przekonującym wyjaśnieniem zachowania Antonia w trakcie sztuki. Jednak nic w sztuce nie sugeruje, że ta więź przyjaźni między nimi wymaga erotyzacji, aby uwiarygodnić oddanie Antonia dla Bassania. Z pewnością publiczność elżbietańska, akceptując biblijne potępienie seksu pomiędzy mężczyznami, unikałaby masowo tej sztuki, gdyby uważała, iż Szekspir sugeruje erotyczny pociąg Antonia do Bassania. »Kupiec wenecki« jednakże był bardzo popularnym przedstawieniem, wielokrotnie recenzowanym i jest najlepszym dowodem tego, co Szekspir miał na myśli i w jaki sposób bez wątpienia rozumiała tę sztukę jego publiczność".

Podobnie jak w przypadku Wilde'a, Newmana i St. Johna, tak i w przypadku Szekspira widzimy, w jaki sposób następuje ekspansja ruchu homoseksualnego. To nie tylko rozpychanie się w polityce i sferze publicznej, domaganie się prawnego uprzywilejowania, to także plugawienie wszelkich relacji poprzez opowiadanie o nich z własnej, skrzywionej perspektywy. W efekcie tych pogłębiających się tendencji w kulturze trzeba pytać, czy dziś w ogóle jest możliwa jeszcze męska przyjaźń, która nie byłaby skażona podejrzeniem o homoseksualną pożądliwość? Obawiam się, że nie. Proste gesty, takie jak objęcie, trzymanie się pod rękę czy częste ze sobą przebywanie, nie mówiąc o pocałunkach, nasze społeczne spojrzenie posądza o homoseksualizm. A ruch homoseksualny to wykorzystuje i idzie coraz dalej, nadając gejowskie miano każdej bliższej męskiej relacji. Za pomocą tego przesunięcia próbuje się, rzecz jasna, przypisać cechy normalności tym relacjom, które Wilde nazywał „potworną perwersją erotyczną".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Z Jarosławem Sokołem, pisarzem i scenarzystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Dżentelmen z browningiem

Kiedy pojawił się Grzegorz Otrębski, nikt nie miał wątpliwości, że Ziuk to rola stworzona dla niego FOT. TVP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kiedy kończy się młodość Józefa Piłsudskiego?

JAROSŁAW SOKÓŁ: Serial „Młody Piłsudski" rozgrywa się w latach 1881–1908. Zaczynamy, gdy główny bohater ma lat 14, a kończymy, kiedy właśnie przekracza czterdziestkę. Można się spierać, czy 41. rok życia to też młodość. Dzisiaj na pewno tak, na początku XX w. – zdecydowanie już nie. Nas interesował przede wszystkim Piłsudski, który nie zachował się w zbiorowej pamięci – bez charakterystycznych wąsów i maciejówki. Socjalista. Spiskowiec. Brodaty dżentelmen w kapeluszu i z browningiem w kieszeni. Serial jest w ogóle bardziej spod znaku płaszcza i pistoletu niż opowieści biograficznej. Pierwotnie miał nosić tytuł „Spiskowcy", co znacznie lepiej odpowiada jego sensacyjno-przygodowemu charakterowi. Poza tym młody Piłsudski nie jest jego jedynym bohaterem. Opowiadamy o grupie młodych socjalistów, którzy wspólnie walczyli – słowem i czynem – przeciwko caratowi. To także prawdziwe postacie z naszej historii w swojej wczesnej „młodej" odmianie: Stanisław Wojciechowski, Aleksander Sulkiewicz, Walery Sławek, Aleksander Prystor, Stefan Okrzeja, Roman Dmowski, Tomasz Arciszewski.

Akcja zawiązuje się w czasach szkolnych Ziuka...

... w momencie, kiedy jest uczniem, a w Petersburgu car Aleksander II ginie w zamachu bombowym. To wydarzenie ma długofalowy wpływ na życie naszego bohatera i jego brata Bronka. Uruchamia cały ciąg skutków, które sześć lat później doprowadzą obu braci do więzienia i zsyłki na Syberię.

Głównemu bohaterowi towarzyszy brat – figura zapomniana, ale również o niepospolitym życiorysie.

Rzeczywiście, biografia Bronisława Piłsudskiego także ma duży potencjał filmowy. Byłaby to jednak zupełnie inna opowieść. Raczej etnograficzna niż sensacyjna. W czasie, o którym opowiadamy, Bronek przebywa na zesłaniu na Sachalinie i zajmuje się kulturą Ajnów, toteż nie może uczestniczyć w akcjach prowadzonych przez grupę Ziuka w Wilnie, Warszawie, Łodzi czy Krakowie. Powróci jednak pod koniec serialu, żeby zaznaczyć swoją obecność w dosyć zaskakujący sposób.

Zsyłkę jego młodszego brata ujrzymy na ekranie? Co markowało Syberię?

Pobytowi Ziuka za Uralem poświęcony jest trzeci odcinek serialu. W czasie zdjęć szczęście nam sprzyjało i trafiliśmy akurat na jedyne dwa tygodnie prawdziwej zimy na Podlasiu, gdzie kręciliśmy syberyjski Kireńsk oraz Tunkę. Zdjęcia były realizowane m.in. na terenie skansenu w Nowogrodzie.

Ekipa filmowa nie pracowała chyba w historycznych plenerach, nie mówiąc już o wnętrzach?

eprasa.pl 037223689a

Cały serial powstawał w rozmaitych obiektach i miejscach: w Warszawie, Przemyślu, Lublinie, Modlinie, w Chabówce koło Rabki, w Trakiszkach na granicy polsko-litewskiej i wielu innych miejscach. Nieoceniony był dla nas Przemyśl, który z powodzeniem imituje w serialu Wilno. Spędziliśmy tam ponad miesiąc. Jeśli chodzi o wnętrza, to korzystaliśmy głównie z autentycznych; np. sceny w Cytadeli zostały zrealizowane w autentycznej celi, gdzie więziono Piłsudskiego. Realizacja była ogromnym przedsięwzięciem logistycznym, przy czym warto zaznaczyć, że budżet wszystkich 13-godzinnych odcinków wcale nie był znacząco wyższy od jednego tylko filmu pt. „Piłsudski", który niedawno gościł krótko na ekranach kin.

Na rolę tytułową był casting?

Do większości ról przeprowadziliśmy bardzo szeroki casting. Najszybciej poszło nam z głównym bohaterem, co uznaliśmy za dobry znak: kiedy pojawił się Grzegorz Otrębski, nikt nie miał wątpliwości, że Ziuk to rola stworzona dla niego. Poza wielkim talentem i fizycznym podobieństwem do młodego Piłsudskiego ten aktor miał dla nas jeszcze jedną zaletę: nie grał jeszcze wiodącej postaci w żadnym serialu. Na samym początku przyjęliśmy zasadę, że szukamy przede wszystkim nowych twarzy i świeżych talentów. Udało się to zrealizować dzięki żmudnym, wielotygodniowym przesłuchaniom. Telewidzowie ujrzą zatem wiele nowych twarzy aktorskich. Część, tacy jak Jan Butruk w roli Walerego Sławka, to jeszcze studenci; inni, np. Mariusz Kiljan w roli płk. Kreutzberga czy Marek Nędza jako Roman Dmowski, nigdy dotąd nie byli obsadzani w tak dużych rolach filmowych. W serialu wystąpiło też gościnnie bardzo dużo aktorów rosyjskich o międzynarodowej renomie, takich jak Filip Mogielnicki (w roli Dżamila) czy Ivan Shvedoff jako książę Imeretyński, który występował wcześniej u boku Jude'a Lawa czy Toma Cruise'a. Łącznie w serialu pojawia się ponad 300 postaci!

Jarosław Sokół figuruje w napisach nie tylko jako scenarzysta.

W serialu pełniłem podwójną rolę: jako współautor scenariusza (razem z Ewą Wencel) i przede wszystkim jako producent kreatywny (showrunner). Oznacza to, że nadzorowałem cały proces produkcyjny – od fazy przygotowań do ostatecznego montażu i zgrania pod kątem zawartości. Ten system zarządzania projektem jest dziś powszechnie stosowany na zachód od Odry, u nas dopiero raczkuje. Na naszym terenie pokutuje wciąż wiara w magiczne moce reżysera, któremu oddaje się całkowitą władzę nad scenariuszem, ekipą i ostatecznym kształtem montażowym. Tymczasem supermoce u reżyserów występują nader rzadko, co zresztą widać po wynikach frekwencyjnych w naszych kinach. Znacznie rozsądniej jest założyć, że film czy serial to dzieło zbiorowe, które uda się tylko wtedy, gdy wszyscy twórcy, menedżerowie i administratorzy włożą do projektu własną kreatywność. Zadaniem producenta kreatywnego jest dbać, aby tak właśnie się stało. Showrunner zatrudnia całą ekipę, włącznie z reżyserem, więc formalnie jest jej szefem. W praktyce jednak producent kreatywny musi być „ułatwiaczem" procesu produkcyjnego, a nie dyktatorem, stale pamiętając, że sukces zależy od sumy kreatywności poszczególnych jednostek.

Obejrzymy zamachy Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej inspirowane bądź dowodzone przez tow. „Wiktora"?

Trzynaście odcinków serialu to w zasadzie 13 odrębnych filmów. Każdy opowiada dosyć autonomiczną historię z 20 lat życia Ziuka i jego spiskowców. Traktują o zdradzie, zemście, namiętności, przyjaźni, nienawiści, triumfie i klęsce. Serial ma wewnętrzną dynamikę, która rozwija się wraz z upływem fabularnego czasu. W opowieści opartej na faktach jej charakter często dyktują właśnie one. Na ekranie Ziuk, podobnie jak w swoim prawdziwym życiu, przechodzi drogę od socjalistycznego publicysty do zamachowca i przywódcy. Odcinki toczą się zatem coraz szybciej w miarę, jak bohater odchodzi od wiary w słowo pisane, stając na czele OB PPS, a potem jej Frakcji Rewolucyjnej.

Scenariusz rekonstruuje dzieje czy też je ubarwia?

Fabuła ma swoje prawa. Odchodzenie od historii w stronę fikcji do nich należy. Czy Piłsudski rzeczywiście spotkał się z Henrykiem Sienkiewiczem i Bolesławem Prusem, szukając poparcia dla protestu przeciwko składaniu hołdów carowi w czasie jego wizyty w Warszawie? Raczej nie, ale było to możliwe, więc wydarzenia takie umieściliśmy w jednym z odcinków. Czy Piłsudski podjął próbę ucieczki z zesłania z pomocą kaukaskiego współwięźnia? Źródła historyczne o tym milczą, ale opowieść staje się ciekawsza, a przecież próby ucieczki naprawdę się zdarzały. Czy tropem Piłsudskiego podążał przez 10 lat jeden i ten sam pułkownik carskiej żandarmerii? Na pewno nie, ale dla fabuły takie rozwiązanie jest zbawienne, ponieważ nadaje jej strukturę i kierunek. W zasadzie nigdy nie odchodzimy od faktów historycznych zbyt daleko. Na przykład próba odbicia Okrzei z Pawiaka nie miała w rzeczywistości miejsca, ale podobne zdarzenie, bez udziału Ziuka i jego ludzi, rozegrało się rzeczywiście. Zasada, której hołduję jako scenarzysta, to kłamać tylko w granicach prawdopodobieństwa. Podsumowując: serial z odcinka na odcinek rozpędza się jak pociąg, który na końcu zostanie przez naszych bohaterów obrabowany pod Bezdanami.

Ciąg dalszy nastąpi?

Zaplanowany jest jeszcze jeden sezon, który przeprowadzi Piłsudskiego i jego ludzi do roku 1914, czyli do wybuchu wielkiej wojny i wymarszu Pierwszej Kadrowej. To naturalny koniec naszej opowieści o dżentelmenach z browningami. Dalej jest już zupełnie inna historia, bo pojawia się w niej Komendant z wąsami, w maciejówce. Zanim jednak do tego dojdzie, Ziuk i jego spiskowcy znajdą się w samym środku międzynarodowej gry wywiadów, która doprowadzi do wrzenia bałkańskiego kotła. Drugi i ostatni sezon będzie miał charakter sensacyjno-szpiegowski, jeszcze dynamiczniejszy od sezonu pierwszego. Planowane są zdjęcia wyjazdowe w Gruzji. Tak samo jak przy pierwszej części serial będzie współfinansowany przez Ministerstwo Kultury. W końcu na co mają iść publiczne pieniądze, jeśli nie na opowieść o twórcach naszej niepodległości?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Premiera pierwszego odcinka serialu „Młody Piłsudski": TVP1, niedziela 8 grudnia, godz. 20.20. Emisja kolejnych odcinków co tydzień o tej samej porze.

***Jarosław Sokół** – pisarz („Wielkie rzeczy", „Aviatorzy") i scenarzysta (filmy „Statyści", „Bitwa Warszawska 1920", serial „Czas honoru"), okazjonalnie aktor.*

eprasa.pl 037223689a

FOT. MATERIAŁY PROSOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wszyscy jesteśmy podejrzani

Agatha Christie wpadała na najlepsze pomysły, zmywając naczynia. Współcześni literaci nie muszą się już tak wysilać. Natchnienia dostarcza im pobieżna lektura dzieł królowej kryminału.

Rian Johnson, na zlecenie wytwórni Disneya wyciskający ostatnie soki z „Gwiezdnych wojen", jak każdy człowiek ma prawo odpocząć. A co najbardziej relaksuje odświeżycieli zużytych formatów? Trawestowanie klasyki oczywiście. Niewykluczone, że amerykański reżyser trzyma w domowym sejfie apokryf Księgi Wyjścia, w którym Mojżesz jest kosmitą, „Dekamerona" dla przedszkolaków tudzież „Makbeta" w wersji komediowej, ale na razie pochwalił się światu jedynie scenariuszem, który mogłaby popełnić autorka „Dziesięciu Murzynków", gdyby nadużywała substancji pobudzających.

Nic tak nie ożywia narracji jak trup. Rzecz jasna, denat musi być znaczącą figurą: zblazowanym milionerem, złośliwym staruchem lub światowej sławy pisarzem, który w swych powieściach uśmiercił tysiące ludzi. Johnson połączył te trzy postacie w jedną. Śledztwo w sprawie tajemniczego zgonu prowadzi policja, lecz pomaga jej prywatny detektyw, palący cygara bufon z lupą w ręku poszukujący śladów na dywanie.

Wyobrażam sobie, że Johnson skakał pod sufit z radości, gdy ową parodię Herkulesa Poirota (który sam był po trosze parodią) zgodził się zagrać aktor, kojarzony z rolą superagenta zakapiora. Jako Bond Daniel Craig najpierw strzela, a potem ewentualnie zadaje pytania. Tutaj strzela tylko dowcipem („dowody rzeczowe sprowadzają na manowce"). Podobną metamorfozę przechodzi Chris Evans – szlachetny do szpiku kości Kapitan Ameryka wciela się w czarną owcę rodziny.

Ach, jakaż to musiała być rozkosz, zgromadzić plejadę gwiazd w salonie, udekorowanym nożami i rzucić jej w twarz: „Wszyscy jesteście podejrzani". Naturalnie każdy z czekających na otwarcie testamentu nieprzyzwoicie bogatego nieboszczyka ma coś do ukrycia. Nawet Latynoska – pielęgniarka, u której kłamstwo powoduje efekt wymiotny. Wątek imigrancki, całkowicie zbędny, znalazł się w scenariuszu chyba tylko dla odwrócenia uwagi.

Zanim „ostatni detektyw – dżentelmen" wyplącze się z pajęczyny łgarstw i dotrze do sedna, widzów spotka niejedno zaskoczenie. Johnson, w przypływie ułańskiej fantazji, wkleił do fabuły pożar i wyścig samochodowy. W rezultacie film wzbudza skrajne reakcje. Jedni (w tym niżej podpisany) doceniają przewrotność scenarzysty-reżysera. Innym, podobnie jak wspomnianej pielęgniarce, zbiera się na mdłości. Mają już dość permanentnego festiwalu twórczości Agathy Christie i jej naśladowców. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. RIAN JOHNSON
„NA NOŻE" („KNIVES OUT")
USA 2019

wyst. Anna de Armas, Daniel Craig, Christopher Plummer

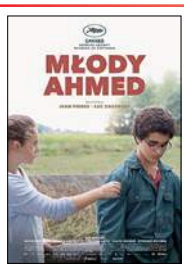

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MŁODY AHMED"

Bracia Dardenne (twórcy filmów „Rosetta", „Dziecko" czy „Dwa dni, jedna noc") tym razem o islamskim radykalizmie. Tytułowy bohater, niczym niewyróżniający się nastolatek, za sprawą wspierającego dżihad imama zrywa z rodziną i staje się religijnym fundamentalistą. Czy jest dla niego ratunek? Co sprawia, że Zachód zamienia dzieciaki podobne Ahmedowi w swoich śmiertelnych wrogów? ©℗

Piotr Gociek

- ***„Młody Ahmed" („Le jeune Ahmed"), reż. Jean-Pierre Dardenne, wyst. Idir Ben Addi, Olivier Bonnaud, Myriem Akheddiou, Belgia 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nadzwyczajni", reż. Olivier Nakache, Francja 2019***
- ***„Ratujmy Florę", reż. Mark Drury Taylor, USA 2018***
- ***„Śnieżna paczka", reż. Aaron Woodley, USA/Wielka Brytania 2019***
- ***„Młody renifer Alex", reż. Guillaume Maidatchevsky, Francja 2019***

eprasa.pl 037223689a

Stara baśń

Koniec włoskiego buta: malownicza kraina, zapomniana przez Boga i ludzi. Ten stereotyp, utrwalony przez książkę „Chrystus zatrzymał się w Eboli", a potem film według niej nakręcony, jest jak wygodne kapcie, w które wciąż wskakują nowi twórcy.

Bohaterowie „Aspromonte" są przerażająco biedni, lecz zarazem bogaci. „Niczego nam tu nie brakuje, mamy niebo, morze i ciszę" – zapewnia Ciccio, domorosły poeta, rysownik i filozof. „Dobrze jest żyć w górach, bo nie przyjeżdżają żadni obcy" – dodaje jedna z gospodyń. W roku 1951 mieszkańcy Africo wciąż nie mają elektryczności ani porządnej drogi, która łączyłaby ich z cywilizacją. Mają natomiast na pieńku z lokalną władzą.

Dumnym Kalabryjczykom najbardziej doskwiera brak lekarza. Zamiast niego przybywa (na osiołku) nauczycielka, siłaczka z północy, którą szokują tutejsze zwyczaje tudzież fakt, że bosonogie dzieciaki nie znają smaku cukierków. Film zaczyna się od próby rewolucji. Potem jednak okazuje się, że wieśniacy z fazy buntu łatwo przechodzą w stan apatii. Fabuła też cierpi na brak zdecydowania, waha się między społecznym dramatem i nostalgicznym wspomnieniem. Africo istnieje, ma szanse stać się turystyczną atrakcją, ale czas – ten stary łajdak – jest bezwzględny. Zamienia nasze życie w baśń lub anegdotę. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. MIMMO CALOPRESTI
„ASPROMONTE" („ASPROMONTE – LA TERRA DEGLI ULTIMI")
WŁOCHY 2019

wyst. Valeria Brini Tedeschi, Marcello Fonte, Francesco Colella

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAŚPIEWAJ TO SAM

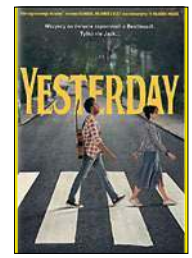

★★★☆☆☆

REŻ. DANNY BOYLE
„YESTERDAY"
WIELKA BRYTANIA 2019, FILMOSTRADA

wyst. Himesh Patel, Lily James, Sophia Di Martino

Jack Malik to amatorski wokalista i kompozytor, który od lat próbuje przebić się ze swymi piosenkami. Pan Bóg poskąpił mu jednak twórczej iskry. Sytuacja się zmieni, gdy ten sam Jack obudzi się w świecie, gdzie nikt oprócz niego nie zna piosenek Beatlesów. Tutaj może być gwiazdą. Tyle że – co za pech – wciąż nie dzięki własnemu talentowi, lecz przedstawiając kompozycje czwórki z Liverpoolu jako własne. Mogłaby to być złośliwa przypowieść o talentach, mogłaby też być próba zastanowienia się na serio, co świat straciłby, gdyby Lennon i McCartney rzeczywiście nie istnieli. Film Boyle'a skręca jednak w stronę komedii romantycznej, a te rządzą się swoimi prawami, dobrze wiecie, jak bardzo konwencjonalnymi. „Yesterday" więc ostatecznie rozczarowuje, choć pozostaje ładnym hołdem dla Beatlesów i opowieścią, z której zapamiętamy kilka żartów. Niektóre są oczywiste: w świecie bez Beatlesów nie istnieje Oasis. Czy nie stracilibyśmy jednak dużo więcej?

PAN I PANI BLACK

★★★☆☆☆

REŻ. F. GARY GRAY
„MEN IN BLACK: INTERNATIONAL"
USA 2019, IMPERIAL

wyst. Liam Neeson, Tessa Thompson, Chris Hemsworth

Kolejna franczyza sprzed lat na stole reanimacyjnym. Pacjent jednak nie wygląda lepiej. Nowy film o specjalnej jednostce chroniącej Ziemię przed szumowinami z kosmosu kusi znanymi nazwiskami i egzotycznymi lokalizacjami, ale zabawa jest umiarkowana. Parę agentów nowej generacji tworzą Tessa Thompson, jako debiutująca w firmie, ambitna i uparta Agentka M, oraz Chris Hemsworth, jako znużony sławą łamacz serc niewieścich, Agent H. Pracują pod okiem weteranów granych przez Emmę Thompson i Liama Neesona, za głównego przeciwnika mając wroga szykującego się do podboju Ziemi i agenta kreta we własnych szeregach. Nie jest to film tak słaby, jak można było wyczytać w niektórych amerykańskich recenzjach. Thompson i Hemsworth obdarzeni są charyzmą, w kilku komediowych momentach szczerze się zaśmiejecie. Jednak nowej energii dostarczyć się nie udało. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „STAR WARS JEDI: UPADŁY ZAKON"

Akcja „Upadłego zakonu" rozgrywa się gdzieś pomiędzy III a IV epizodem „Gwiezdnych wojen", gdy szeregi rycerzy Jedi zostały przetrzebione przez wydanie „rozkazu 66" i podstęp Imperatora. To nowa, singleplayerowa produkcja studia Respawn, która łączy najlepsze cechy przygodówek z elementami rozwiązywania zagadek – takich jak „Uncharted" – z rzeczą, na której zyskuje każda gra. Walkami na miecze świetlne. Jako zgłębiający tajniki mocy Cal ruszymy w odległe rejony Zewnętrznych Rubieży, odkrywając plany rosnącego w siłę Imperium oraz własne przeznaczenie.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Dobrze zaprojektowane lokacje, ciekawe walki, dobra grafika. Solidny tytuł. ©℗ ***Marcin Makowski***

- ***Gatunek:*** *TPP/Akcja*
- ***Platforma:*** *PS4/PC/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Respawn Entertainment/Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 037223689a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gest odmowy

Kilka dni temu wręczone zostały, po raz 24., nagrody imienia Witolda Hulewicza. Między innymi otrzymali je: Aleksander Czajkowski-Ładysz i Maria Pomianowska, Aleksandra i Bogdan Biniszewscy, Maria Konwicka, Krzysztof Andrzej Jeżewski, Krzysztof Skowroński. A także niżej podpisany, o czym informuję przede wszystkim ze względu na osobę patrona nagrody, trochę już, a niesłusznie, zapomnianego.

Urodzeniem związany z Wielkopolską, twórczością literacką z Wielkopolską i Wileńszczyzną, pracą radiową z Wileńszczyzną i Warszawą, walką i konspiracją z Warszawą. W 1940 r. zostaje aresztowany przez Niemców i osadzony na Pawiaku. Torturowany w gestapowskiej katowni przy al. Szucha, nie tylko nie wydaje nikogo z podziemia, lecz także zza krat więziennych udaje mu się wysyłać artykuły do pisma „Polska Żyje". 12 czerwca 1941 r. zostaje rozstrzelany w Palmirach. Ma 46 lat.

Tuż przed otrzymaniem nagrody zapoznałem się z wydaną właśnie dwutomową antologią współczesnej polskiej poezji patriotycznej „… Nie zginęła" (od roku 1918 do wieku XXI). Trzy lata temu jej autorka – Justyna Chłap-Nowakowa – w tej samej krakowskiej oficynie AA opublikowała antologię wcześniejszej, i to znacznie, polskiej poezji patriotycznej: od Galla Anonima do legionowego hymnu „My, Pierwsza Brygada". Tom drugi objąć miał czasy nam bliższe, od odzyskania niepodległości w roku 1918 po teraźniejszość. W międzyczasie rozrósł się do wydawnictwa dwutomowego i oto miałem przed sobą dwie opasłe księgi z wierszami o Tej, która „… nie zginęła".

Jest tych wierszy 350, napisanych przez 100 autorów. Powinno ich być więcej, na pewno autorstwa przynajmniej 108 poetów. Ta brakująca ósemka to niemal

w całości pierwsza liga polskiej poezji, właśnie patriotycznej, właśnie narodowej, na co należy położyć nacisk, niezależnie od tego, co w tej kwestii mają do powiedzenia sami zainteresowani czy ich spadkobiercy. A oni orzekli, że nie chcą zaistnieć w takim właśnie wyborze (Czy nie dlatego, że autorstwa żony prof. Andrzeja Nowaka, skądinąd dwa tygodnie temu odznaczonego Orderem Orła Białego?).

W związku z tym mamy antologię polskiej poezji patriotycznej po roku 1918 bez: Stanisława Barańczaka, Tadeusza Borowskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Ryszarda Krynickiego, Leszka Aleksandra Moczulskiego, Wisławy Szymborskiej, Adama Zagajewskiego i – uwaga! – Zbigniewa Herberta.

Między innymi nie istnieją w tym dziele: „Przywracanie porządku" Barańczaka, „Wyznanie" Borowskiego, „Pieśń o żołnierzach z Westerplatte" (!) Gałczyńskiego, „Raport z oblężonego miasta" (!) Herberta, „Jeżeli przyjdzie" Krynickiego, „Soplicowo" Moczulskiego, „Gawęda o miłości do ziemi ojczystej" Szymborskiej i „Jechać do Lwowa" Zagajewskiego. Za to mamy Czesława Miłosza i Wiktora Woroszylskiego, Władysława Broniewskiego i Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Juliana Tuwima i Juliana Przybosia. Nie polityczne oblicze danego liryka decydowało więc o jego zaproszeniu na karty tego ważnego i potrzebnego dzieła, ale waga napisanych przez niego strof. Niestety, jeśli tym, którzy wykonywali gest odmowy, pop… się kalendarz z latami okupacji, stanu wojennego i czasami obecnymi, to mamy tak, jak mamy.

Ale mamy niemało. Trzy i pół setki takich wierszy, że tylko serce rośnie, gdy je czytamy. Wśród nich: „Rejtana" Jana Lechonia i „Moją ojczyznę" Mariana Hemara, „Pierwszą przechadzkę" Leopolda Staffa i „Budując barykadę" Anny Świrszczyńskiej, „*** (Oblicze ojczyzny)" Tadeusza Różewicza i „»Totentanz in Polen«" Stanisława Grochowiaka, „Śniła mi się Polska" Feliksa Netza i „Zbroję" Jacka Kaczmarskiego. Wszystko to, co mądre, wzniosłe i piękne. Do tego poezje żyjących autorów z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem na czele, poza tym utwory Jana Pietrzaka, Jana Polkowskiego, Przemysława Dakowicza.

A czy istnieją granice absurdu? W dzisiejszej Polsce ich nie widać. Na szczęście możemy zawsze pokrzepić się takimi utworami jak np. „Mogiła na skwerze" Witolda Hulewicza:

Nogą można potrącić – tuż obok rynsztoka,
W biednych kwiatów i hełmu stalowym rynsztunku
Krzywy napis: „Nieznany". I z błota powłoka,
I słowa twardej chwały: „Legł na posterunku".

Jemu to się należy najszczerszy z pacierzy,
Co umierając szeptał: „Warszawy nie damy".
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy,
Taka mała mogiłka – a w niej wielkość leży! ©℗

★★★★★★

OPRACOWANIE JUSTYNA CHŁAP-NOWAKOWA
„… NIE ZGINĘŁA. ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ POLSKIEJ POEZJI PATRIOTYCZNEJ. OD ROKU 1918 PO WIEK XXI T. I–II"
WYDAWNICTWO AA 2018

eprasa.pl 037223689a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Spisek w Breslau

Rok 1920, w tyglu, co zwie się Breslau, przetapia się więcej elementów niż zwykle. Uciekający z odrodzonej Polski Niemcy otwierają nowe interesy. Marzący o życiu w Palestynie Żydzi z dawnego zaboru rosyjskiego wrogo przyjmowani są przez bogatych, zasiedziałych we Wrocławiu ziomków, a brat stryjeczny nazistowskiego ideologa Alfreda Rosenberga knuje z dala od Monachium własne spiski. Eberhard Mock tymczasem większość swego czasu spędza w przytulisku dla niebieskich ptaków, topiąc smutki w alkoholu.

Akcja powieści „Mock. Golem" rozgrywa się pomiędzy wypadkami, które opisywały „Widma w mieście Breslau" i „Dżuma w Breslau". Wydarzeniem napędzającym akcję jest zaś śmierć młodej Żydówki, Ryfki Goldin, która umiera w tym samym przytulisku. Tym samym podseria cyklu, rozpoczęta powieścią „Mock" (potem „Mock. Ludzkie zoo"), przestaje być prequelem, stapiając się po prostu w jedną serię opowieści o wrocławskim policjancie.

Krajewski jest w dobrej formie. „Golema" czytałem łapczywie, niecierpliwie pożerając kolejne rozdziały. Nie tylko dlatego, że zręcznie połączono w nim intrygi kryminalne i polityczne. Także dlatego, że niszczony nałogiem, nieszczęśliwy Mock (wróćcie do „Widm w mieście Breslau", by zrozumieć dlaczego) jest tu postacią wzbudzającą głębokie współczucie, bardziej ludzką niż w paru innych tomach serii. Ponure zapijaczone noce w noclegowni dla dziwek, narkomanów i bandziorów to zresztą dopiero początek ciężkich prób, którym poddany zostanie Mock w tym tomie swych przygód.

Intryga „Golema" może zdawać się momentami mocno nieprawdopodobna, ale to służy powieści, bo zbliża ją do sensacyjnych fabuł pisanych w czasach, o których pisze Krajewski. Ostatnimi czasy kolejne książki wrocławskiego autora coraz bardziej przywodzą mi na myśl powieści Borisa Akunina i jest to jak najbardziej pochlebne porównanie. Ulepienie z nieprawdopodobnych elementów opowieści, która dzięki talentowi autora staje się prawdopodobna i niezwykle zajmująca, to nie lada sztuka. Z biegiem czasu zmienił się styl pisania Krajewskiego, który preferuje teraz krótsze, prostsze zdania, zwięzłe akapity przynoszące mocniejszy efekt. Nie zmieniło się jedno: wciąż głęboko zanurzony jest w historię swego ukochanego Wrocławia (ach, cóż byśmy zrobili bez blisko 200 przypisów, którymi opatrzył książkę). ©℗

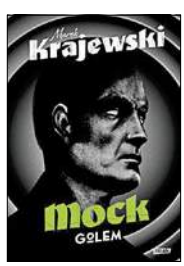

★★★★★☆
MAREK KRAJEWSKI
„MOCK. GOLEM"
ZNAK 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ksiądz Popiełuszko: nieśmiały chłopak, który stał się imponującym odwagą kapłanem. Symbolem oporu przeciw komunistycznej władzy, za co zapłacił męczeńską śmiercią. Niezwykła książka ks. Sochonia to więcej niż biografia.

KS. JAN SOCHOŃ
„MĘCZEŃSTWO I MIŁOŚĆ"
TEOLOGIA POLITYCZNA

Autor „Krótkiej historii prawie wszystkiego", ceniony popularyzator nauki i podróżnik, proponuje fascynującą opowieść o niezwykłym, skomplikowanym instrumencie, którym jest nasz organizm. Obala przy okazji wiele mitów.

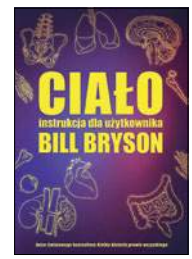

BILL BRYSON
„CIAŁO. INSTRUKCJA DLA UŻYTKOWNIKA"
ZYSK I S-KA

Powieść znanego polskiego autora ambitnej fantastyki, dotąd dostępna jedynie w formie e-booka (od 2015 r.), teraz doczekała się edycji tradycyjnej, papierowej. Rzecz o spustoszonej Ziemi przyszłości i ostatnich ludziach.

JACEK DUKAJ
„STAROŚĆ AKSOLOTLA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Jeszcze jedno (po świetnym autobiograficznym „Nie ma czasu") pożegnanie z genialną pisarką. Polscy czytelnicy po raz pierwszy mają okazję poznać ją jako autorkę wierszy. Przekład: Justyna Bargielska i Jerzy Jarniewicz. ©℗

poleca Piotr Gociek

URSULA K. LE GUIN
„DOTĄD DOBRZE"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Grzegorz Braun „System. Od Lenina do Putina" (Fronda)* – *wywiad rzeka z reżyserem, dziś posłem, przeprowadził Rafał Otoka-Frąckiewicz.*
2. *Andrzej Nowak „Dzieje Polski. Tom 4" (Biały Kruk)* – *fundamentalna praca krakowskiego historyka. Tom „Trudny złoty wiek" obejmuje lata 1468–1572.*
3. *Wincenty Łaszewski „Duchowa misja Polski" (Fronda)* – *jaką rolę zwiastują nam proroctwa i wizje, opisuje autor m.in. „Fatimy. Stuletniej tajemnicy".*
4. *Wojciech Sumliński, Ewa Kurek, Tomasz Budzyński „Powrót do Jedwabnego" (WS Reporter)* – *rzecz o kulisach „przedsiębiorstwa Holokaust".*
5. *Autorzy różni „Rozprawa o zabijaniu i zmartwychwstaniu" (WS Reporter)* – *Sumliński i trzech innych autorów o służbach, władzy i pieniądzach w III RP.*

(Najchętniej kupowane tytuły w księgarni internetowej XLM.pl)

eprasa.pl 037223689a

FOT. HENRYK PRZONDZIONO/FOTO GOŚĆ/FORUM

Iskra „Hioba”

Tomasz Karenko „Hiobem” zaczął się stawać w 2010 r., gdy kilka dni przed Bożym Narodzeniem jego żona poroniła. „W jednej sekundzie ze szczęśliwego Nieba trafiliśmy do otchłani piekła. Rzeczywistości, w której nie ma się po co żyć, a pragnienie samozagłady, własnej śmierci nie odstępuje człowieka ani na krok. Tak było ze mną. Chciałem umrzeć razem z naszym dzieckiem” – opowiadał w rozmowie z portalem Fronda.pl. „W tym czasie mieliśmy taki przebłysk, że albo chwycimy się Pana Boga za rękę, albo umrzemy. Chwyciliśmy Go, a on nas wydobył z tej krainy rozpaczy” – dodawał.

To właśnie wtedy Tomasz Karenko napisał swój pierwszy hiphopowy tekst, co było o tyle zaskakujące, że wcześniej nie traktował rapu poważnie. Uważał, że jest dobrym wyborem dla „patałachów, którzy nie potrafią śpiewać”, a nie dla niego, który stawał wcześniej za mikrofonem w składach rockowych czy reggae. Myśl o robieniu muzyki hiphopowej go jednak nie opuszczała. „Skapitulowałem wreszcie, bo ile można się ścierać z Bogiem. Powiedziałem: »Niech Ci będzie, zobaczymy, co się z tego urodzi«”.

Urodziło się z tego kilka płyt. Teraz „Hiob” nazywa rap „ogromnym skarbem i wspaniałym narzędziem dotarcia z Dobrą Nowiną do młodych i starszych”, a swoją sceniczną działalność „superfuchą od Pana Boga”.

Na wydanej niedawno płycie „Stwardnienie rozsiane” „Hiob” rapuje: „Jak bomby na Warszawę spadły na nią twoje pięści / W oparach wódy zawsze byłeś niebezpieczny / Polała się krew, trzeszczały pękające żebra / Ja stałem w progu i błagałem, żebyś przestał”. Mimo takich treści artysta określa swój najnowszy album jako pełen nadziei. To dlatego, że trudne doświadczenia, takie jak powyższy opis relacji z nadużywającym alkoholu dziadkiem, któremu Karenko wybaczył dopiero po jego śmierci, stają się okazją do dawania świadectwa. „W każdej historii jest jakieś światło, jakaś iskra, która daje nadzieję” – przekonywał „Hiob” podczas premierowego koncertu „Stwardnienia rozsianego” w Radiu Pallotti.FM. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Posłuchajcie mistrza

Piętnasty studyjny album Leonarda Cohena zawiera zaledwie 29 minut muzyki. Został wydany trzy lata po jego śmierci, a znalazły się na nim utwory, których nie ukończył podczas sesji nagraniowej do płyty „You Want It Darker”.

W Polsce ostatnia płyta Kanadyjczyka trzykrotnie pokryła się platyną, osiągając ponad 60 tys. nakładu. Bez wątpienia również najnowsza będzie cieszyć się dużą, zasłużoną popularnością. Przed śmiercią poeta zdążył nagrać kilka wierszy. W większości są to deklamacje, a nie piosenki. Istniał tylko zarys muzyczny do kilku tekstów. Syn, Adam Cohen, wraz z kanadyjskim producentem Danielem Lanois przez trzy lata przygotowywali materiał muzyczny na płytę.

Do nagrań zaprosili plejadę gości, m.in.: Jennifer Warnes, Richarda Reeda Parry'ego z Arcade Fire, Bryce'a Dessnera z The National, Becka czy hiszpańskiego lutnistę Javiera Masa. W nagraniach uczestniczyły też chóry Cantus Domus oraz Shaar Hashomayim. Mimo to głos i teksty Leonarda Cohena są w centrum uwagi. Dzięki wokalowi zredukowanemu do suchego, gardłowego szeptu te utwory nabierają profetycznego charakteru. Przesłania artysty rozgrywające się w przestrzeniach między miłością a ostatecznością mimo kruchości głosu autora zawierają wielką moc.

Posłuchaj myśli Boga
Mógł nie pomyśleć jej
Posłuchaj myśli Boga
Zamiast słuchać mnie
(„Posłuchaj kolibra”) ©℗

★★★★★

LEONARD COHEN
„THANKS FOR THE DANCE”
SONY

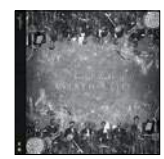

★★★★★

COLDPLAY
„EVERYDAY LIFE”
PARLOPHONE

Wyprzedają stadiony, więc wzięli się do polityki. Syci rockmani poza banałami o brutalności policji i nadmiarze broni raczą nas muzyczną nudą. Aby było wzniośle, dodają kościelne chóry, cytują arabskich poetów oraz fragmenty z utworów Femi Kutiego czy Alice Coltrane.

★★★★★

JEFF LYNNE'S ELO
„FROM OUT OF NOWHERE”
SONY

Sterylny, nieskazitelny pop z rockowymi przerywnikami i beatlesowskimi, eleganckimi melodiami. Podobny patos jak 40 lat temu, a że pachnie stęchlizną, to nie ma znaczenia, bo nostalgiczne powroty do młodości nie mają ceny. ©℗

eprasa.pl 037223689a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Płonąłem żywcem. Szokujący wywiad z ofiarą niemieckiej pacyfikacji

Maciej Rosalak – **Epopeja „Czarnych Diabłów"**
Alojzy Jedamski – **Z Wehrmachtu do Maczka**
Marcin Bartnicki – **Gorzki los polskiego generała**
Michał Mackiewicz – **Czołgi II RP**
Sławomir Koper – **Seks Czesława Miłosza**
Grzegorz Janiszewski – **Brytyjscy komandosi w akcji**
Sławomir Cenckiewicz – **Pochwała niemieckich antykomunistów**
Tomasz Stańczyk – **Kulisy pogromu Żydów we Lwowie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 037223689a

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Dziwne, lecz jest lepiej

Jakiś czas temu uczestniczyłem w szkoleniu, podczas którego prowadzący dał nam do rozwiązania pewien test. Zawierał on 13 pytań dotyczących współczesnego świata oraz prognoz na najbliższe lata. Wydawały się proste.

Niestety, tylko na siedem pytań odpowiedziałem dobrze. Niektórym poszło jeszcze gorzej i zaczęli kwestionować rzekomo poprawne odpowiedzi. Prowadzący dysponował jednak twardą wiedzą, zbijał wszystkie wątpliwości i koniec końców nawet największym niedowiarkom udowodnił, że się mylą. A nawet więcej – że zbyt pesymistycznie patrzą na świat.

Prawicowcy wyolbrzymiają terroryzm, lewicowcy przeludnienie i zagładę przyrody

Pocieszające jest to, że nie tylko my robiliśmy błędy. Fatalnie w teście wypadają nie tylko takie szare myszki jak ja. Wręcz jeszcze gorzej wychodzi on światowym przywódcom, liderom politycznym, prezesom korporacji, dziennikarzom (żadne zaskoczenie), naukowcom z uniwersytetów, a nawet laureatom Nagrody Nobla. Test nie mierzy czyjejś wiedzy czy inteligencji. Pokazuje zupełnie coś innego – że mamy bardzo zaburzony obraz świata.

Test można znaleźć w intrygującej książce „Factfulness. Dlaczego świat jest lepszy, niż myślimy, czyli jak zastąpić stereotypy realną wiedzą" Hansa Roslinga. Z jednej strony jest to dzieło przygnębiające – pokazuje, jak bardzo rozmijamy się z rzeczywistością. Z drugiej krzepiące – dowodzi, że ze światem jest znacznie lepiej, niż sądzimy.

Tyle że uwierzyliśmy w katastroficzny ton lejący się z mediów. Ideologiczne okulary, przez które patrzymy na rzeczywistość, pomyliliśmy z samą rzeczywistością. W teście padają rozmaite pytania. Na przykład o poziom ubóstwa na świecie, procent zaszczepionych dzieci na całym globie, procent dziewczynek kończących szkołę podstawową w krajach o niskich dochodach. A także o zagrożone gatunki, liczbę ludzi ginących w klęskach żywiołowych czy dostęp do elektryczności. Okazuje się, że przygniatająca większość respondentów widzi świat w znacznie ciemniejszych barwach, niż jest w istocie. Prawicowcy wyolbrzymiają terroryzm, lewicowcy przeludnienie i zagładę przyrody, a wszyscy wyolbrzymiamy globalną biedę czy dysproporcje między kobietami a mężczyznami w dziedzinie edukacji.

Z twardej, niemedialnej i pozbawionej ideologicznych wykrzykników wiedzy wynika, że z Ziemią i ludzkością nie jest wcale tak źle. I zasadniczo jest lepiej, niż – powiedzmy – 30 lat temu. Że jest coraz lepiej. Nasze głowy jednak, co ciekawe, zwłaszcza te najlepiej wykształcone, skupiają się na negatywach, alarmistyczne tony zagłuszają nam zdrowy rozsądek.

Polecam rozwiązanie tego testu. Jesteście ostrzeżeni, więc spróbujecie odrzucić czarnowidztwo. Pewnie jednak i tak wam się to nie uda i okażecie się pesymistami. Bo – to zabrzmi trochę dziwnie – za dużo czytacie. ©℗

REKLAMA

30 lat RMF FM

Zawsze tam, gdzie dzieje się coś ważnego

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI

eprasa.pl 037223689a

KUPUJ ŚWIADOMIE

Kupując żywność z oznaczeniem

PRODUKT POLSKI

masz pewność, że została wytworzona w Polsce na bazie krajowych surowców

Wybierając żywność ze znakiem **PRODUKT POLSKI** wspierasz polskich producentów oraz krajową gospodarkę i rolnictwo

Oznaczenie produktów tym znakiem jest DOBROWOLNE

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

www.polskasmakuje.pl/produkt-polski/

eprasa.pl 037223689a

polemika DO RZECZY

Nie uciekniemy od polityki

Tomasz Wiścicki

Nie można odmówić politycznej trafności rachubom, które skłaniają PiS do przeciwstawiania się odejściu od tzw. kompromisu aborcyjnego. A sprawa aborcji nie jest jedyną ważną w Polsce

Z większością tez Krystiana Kratiuka zawartych w jego tekście „Wyznawcy kompromisu" („Do Rzeczy" nr 48/2019) gotów byłbym się zgodzić, nawet jeśli niektóre z nich wyraziłbym nieco innym językiem. Pragnę jednak uzupełnić jego bezkompromisową postawę moralną próbą zrozumienia, dlaczego dzieje się tak, jak się dzieje, a co nam obu i wielu innym osobom tak bardzo nie odpowiada.

Nie należę do publicystów „żyrujących każdą decyzję tej partii" (PiS). Staram się jedynie zrozumieć, dlaczego w naszym kraju wciąż w mocy prawa zabijane są najbardziej bezbronne i niewinne istoty ludzkie – dzieci poczęte. W tym celu niezbędna jest analiza mechanizmów politycznych towarzyszących wciąż nieudanym, niestety, próbom objęcia ochroną prawną tych spośród nich, których w obecnej sytuacji prawnej nie chroni nic ani nikt.

Aby nawet najsłuszniejszy moralnie postulat zyskał sankcję prawa, konieczne jest uruchomienie procedur politycznych. Rządzą się one swoimi prawami. Można się na to oburzać, zwłaszcza gdy chodzi o coś tak moralnie oczywistego jak zapewnienie ochrony prawnej życiu dzieci poczętych, jednak jeśli chcemy wyjść poza ogólne potępienie i poczucie moralnej wyższości, to musimy tę logikę uwzględnić. Inaczej niczego nie osiągniemy.

DEMOKRACJA

Żyjemy w państwie demokratycznym, co oznacza, że prawo musi w jakimś przynajmniej stopniu odzwierciedlać przekonania większości społeczeństwa. Oczywiście, można zdobyć władzę, głosząc hasła popierane przez większość, aby następnie przeforsować pomysły, których większość nie akceptuje. Jednak rządząc tą metodą, trudno liczyć na przedłużenie społecznego mandatu w najbliższych wyborach, a utrata władzy oznacza najczęściej odwołanie zmian wprowadzonych wbrew większości.

Polskie społeczeństwo zaakceptowało obecny stan prawny, w którym aborcja jest generalnie zakazana, jednak nie bez istotnych wyjątków. Próby tzw. zaostrzenia prawa antyaborcyjnego, czyli objęcia ochroną tych dzieci, które mają nieszczęście należeć do grup wyjętych spod prawa, nie są – przy różnych fluktuacjach opinii – akceptowane przez większość naszych rodaków. Budzi to głęboki sprzeciw – wszak życie dzieci poczętych w wyniku gwałtu albo chorych jest tyle samo warte co życie dzieci będących owocem miłości, a nie nienawiści, czy po prostu zdrowych i tak samo zasługuje na ochronę, a może nawet bardziej, bo jest bardziej zagrożone. Jednak niestety znaczna część naszych rodaków myśli inaczej. Jak więc bronić życia tych najnieszczęśliwszych?

NIEDOSKONAŁE ROZWIĄZANIE

Ustawa w niedoskonały sposób chroniąca życie nienarodzonych powstała w takim kształcie właśnie dlatego, że w czasie, gdy ją uchwalano, sytuacja była podobna. Mimo wysiłków wielu posłów udało się osiągnąć jedynie takie, dalekie od doskonałości, rozwiązanie. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Owszem, polskie społeczeństwo chce prawnej ochrony dzieci poczętych, ale właśnie takiej, niepełnej, niedoskonałej. Wysiłki wielu ludzi dobrej woli nie na wiele się tu zdają. W dodatku za utrzymywaniem obecnego stanu przemawia – paradoksalnie – jego dotychczasowe trwanie: ludzie przyzwyczaili się do niego i nie chcą zmian.

Kwestia obrony życia nie jest wbrew pozorom sprawą religijną: dziecko nienarodzone jest człowiekiem – to jest przedmiotem wiedzy, a nie wiary. Jednak nie jest przypadkiem, że właśnie Kościół katolicki (przynajmniej w Polsce, bo już niestety nie w wielu innych krajach) konsekwentnie broni człowieczeństwa dzieci poczętych. Dlatego nie bez znaczenia są tu zmiany w religijności Polaków. Mało kto zauważył, że o ile laicyzacja w naszym kraju postępuje dość wolno, o tyle jeden wskaźnik wzrósł bardzo poważnie: odsetek ludzi, którzy wierzą „po swojemu", a nie idą w pełni za wskazaniami Kościoła. Najszybszej erozji ulegają normy moralne, zwłaszcza te, które od nas czegoś trudnego wymagają, i te, które pozostają w największej sprzeczności z „duchem czasu", któremu wielu wierzących trudniej się przeciwstawić niż Duchowi Świętemu. Stąd deklaracjom wiary towarzyszą poglądy jawnie z nauczaniem Kościoła sprzeczne, np. właśnie uznanie wyjątków w ochronie życia.

OPINIE PIS POKAZAŁ PIĘĆ OBROŃCÓW ŻYCIA

Wyznawcy kompromisu

Krystian Kratiuk

„W kolejnych latach zabijane będą setki dzieci tylko dlatego, że są bezbronne i poszkodowane przez los" – napisał abp Stanisław Gądecki, komentując niepodjęcie sprawy przez Trybunał Konstytucyjny. Chwilę po rozpoczęciu obrad nowego Sejmu okazało się, że o losach obywatelskiego projektu ustawy decydować będzie ultralewaczka

56

FOT. TRAX

eprasa.pl 037223689a

W trzydziestoleciu wolnej Polski podejmowano wiele prób politycznego zorganizowania prawicowej, konserwatywnej części obywateli naszego kraju. Liczyły się w istocie dwie: wokół idei narodowo-katolickich i wokół idei państwowych. W początkowych latach III RP ucieleśniały je odpowiednio Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Porozumienie Centrum. Oczywiście, obie tendencje zawierały odwołania do katolicyzmu czy chrześcijaństwa jako istotnej części tożsamości naszego narodu – w naszych warunkach „prawica laicka" na większą popularność nie ma co liczyć. Jednak tendencja narodowo-katolicka dużo silniej akcentowała znaczenie wiary i jej konsekwencji.

Skutkiem tych zmagań jest bezapelacyjne zwycięstwo tendencji drugiej – państwowej. Prawo i Sprawiedliwość to nowe, poprawione i uzupełnione wydanie PC. I choć to uzupełnienie obejmuje także silniejsze odwołania do tradycji katolickiej, to widać gołym okiem, że postulaty konserwatywno-chrześcijańskie nie znajdują się na szczycie listy priorytetów PiS – tak jak nie zajmowały takiego miejsca w programie PC.

Pod tym względem demiurg polskiej prawicy, Jarosław Kaczyński, jest konsekwentny. Kiedy w 2010 r. w wyborach prezydenckich rywalizował z Bronisławem Komorowskim, ważnym tematem była sprawa prawnej dopuszczalności in vitro. Obaj ci kandydaci, osobiście wierzący, w tej kwestii nie zgadzali się z nauczaniem Kościoła, dopuszczając pod pewnymi warunkami sztuczne metody poczęcia, choć Kościół odrzuca je jednoznacznie. Różnica między nimi była jedynie taka, że o ile Kaczyński wprost, choć w oględnych słowach, wyrażał dystans wobec nauczania Kościoła w tej kwestii, o tyle Komorowski odwoływał się do dość pokrętnej retoryki, by tę rozbieżność ukryć („jestem za życiem, czyli za in vitro", tudzież rzekome poparcie jednego z ważnych kardynałów dla tej postawy).

POTĘGA NIEKONSEKWENCJI

Nie przypominam tej historii, by piętnować hipokryzję polityków chętnie odwołujących się do swej wiary i poparcia Kościoła oraz dystansujących się od jego nauczania. Pozwolę sobie postawić tezę, że PiS, podobnie zresztą jak PO, zawdzięcza swą pozycję politycznej potęgi właśnie tej niekonsekwencji. Najsilniejsze partie są takie jak większość Polaków: w zasadzie wierzące, ale „bez przesady"... Polityczny krach ZChN wskazuje, że w naszym wciąż zdominowanym przez ludzi wierzących społeczeństwie partia umieszczająca chrześcijaństwo na sztandarach na dłuższą metę przegrywa. Marek Jurek, będący synonimem moralnej bezkompromisowości, cieszy się ogólnym uznaniem i szacunkiem... i pozostaje na marginesie polskiej polityki. Niestety.

Jeśli powyższa teza jest prawdziwa, to politycznym rachubom, które skłaniają PiS do przeciwstawiania się odejściu od tzw. kompromisu aborcyjnego, nie można niestety odmówić właśnie politycznej trafności. A – jak wspomniałem – od logiki politycznej nie da się w życiu politycznym abstrahować. Jest wielce prawdopodobne, że przeforsowanie silniejszej ochrony życia rzeczywiście zagroziłoby politycznej dominacji PiS.

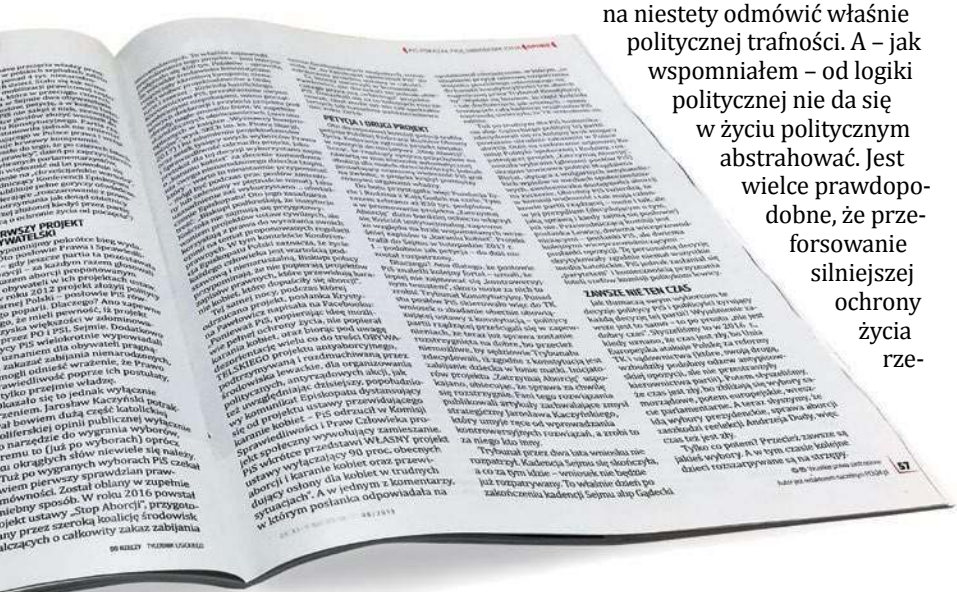

Można oczywiście powiedzieć: i cóż z tego – po co trwać przy władzy za cenę rezygnacji z istotnych haseł. Rzecz w tym, że sprawa ochrony życia, choć fundamentalnie ważna, nie jest jedyną ważną sprawą w polskiej polityce. Co więcej, utrata władzy przez PiS według wszelkiego prawdopodobieństwa zaowocowałaby natychmiastowym uchwaleniem aborcji na życzenie. I nie chodzi mi tu jedynie o osławioną teorię „wahadła", która brzmi nader efektownie, ale nie ma oparcia w znanych faktach. Po prostu kulturowa lewica uznaje „wolność wyboru", czyli nieskrępowany dostęp do aborcji, za jeden ze swych sztandarowych postulatów i ma w tym wsparcie zdecydowanej większości swojego elektoratu – w odróżnieniu od prawicy, której elektorat nie jest konsekwentny w obronie życia.

Co gorsza, nie bardzo widać sensowną alternatywę. Liczenie w tej materii na Konfederację po pierwsze grozi fatalnym powiązaniem w społecznej świadomości postulatu konsekwentnej obrony życia z polityczną skrajnością, po drugie – jak przekonała się na własnej skórze Kaja Godek – deklaracje środowisk tworzących tę koalicję luźno wiążą się z rzeczywistością, po trzecie wreszcie, trudno sobie wyobrazić, by akurat Konfederacja uzyskała w przewidywalnej przyszłości realny wpływ na rzeczywistość. Dodam: na szczęście, z powodów niezwiązanych z tematem niniejszego tekstu.

Czy więc sytuacja jest beznadziejna? Na pewno nie jest łatwa, przynajmniej w krótkiej perspektywie. Jedyną możliwością wydaje mi się doprowadzenie do takich przemian świadomości Polaków, by otoczenie prawną ochroną tych dzieci, które są jej pozbawione, nie tylko nie było politycznie ryzykowne, lecz wręcz przeciwnie: stało się oczywistością po prawej stronie politycznego sporu. Owszem, „duch czasu" przekonuje nas, że to niemożliwe, że zmiany przebiegają w przeciwnym kierunku i nie da im się przeciwstawić. Jednak skoro wierzymy w moralną słuszność, ba – oczywistość ochrony najbardziej bezbronnych i niewinnych, to powinniśmy robić co w naszej mocy, by „duchowi czasu" się przeciwstawić. Nie daje to wielkich szans na szybki sukces, nie gwarantuje sukcesu w ogóle – ale czy jest inne wyjście?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

W obronie żeńskich końcówek

Antoni Buchała

Język polski, którego jedną z cech jest silna tendencja deklinacyjna mająca w wielu przypadkach charakter reguł, posiada piękną, chociaż już odchodzącą w przeszłość tradycję stosowania żeńskich końcówek w nazwiskach

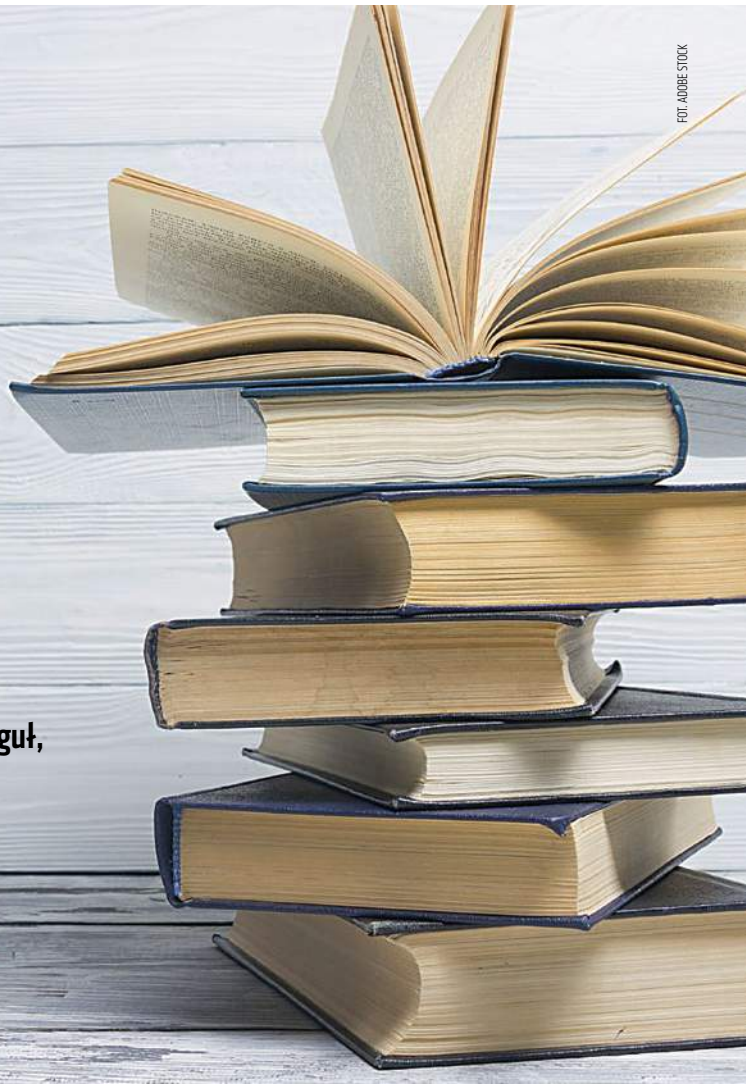

FOT. ADOBE STOCK

Niniejszy tekst nie jest polemiką z artykułem Łukasza Warzechy pt. „Wojna o język" („Do Rzeczy" nr 47/2019), chociaż tytuł mógłby to sugerować. Słowotwórcze dziwolągi, takie jak „ministra" czy „gościni", oraz działanie na rzecz rozwoju tej radosnej twórczości słusznie postuluje on pozostawić autorom skeczy kabaretowych. Sprawa jest jednak warta komentarza, bo żeńskie końcówki są zjawiskiem decydującym o wyjątkowości języków słowiańskich, w tym naszego języka ojczystego.

Niejeden obcokrajowiec, kiedy słyszy, że nasz rodak nazywa się, dajmy na to, Kowalski, a jego żona Kowalska, w pierwszej chwili sądzi, że to dwa różne nazwiska. Oswojenie się z tą zasadą wymaga od niego czasu, ale też zaspokojenia elementarnej ciekawości, skąd się bierze tak zaskakująca prawidłowość. I odwrotnie: dla nas bywa zaskakujące, kiedy słyszymy, jak jakaś zamerykanizowana potomkini emigrantów znad Wisły (lub żona amerykańskiego Polaka) posługuje się nazwiskiem w wersji męskiej, np. Anna Kaminski. Dla niej i jej męża to oczywiste, że noszą to samo nazwisko, bo nie znają jego pierwotnego, przymiotnikowego znaczenia. Dająca się zaobserwować kilkadziesiąt lat temu tendencja do maskulinizacji żeńskich wersji tego typu nazwisk nie wydaje się zjawiskiem narastającym; ograniczona jest, jak się wydaje, do nazwisk mających charakter silnie znaczący, np. Bury, Zmarzły.

„KRÓLOWA JESTEM"

O ile jednak naturalnie tworzone żeńskie wersje nazwisk zakończonych na -ski są oczywistością, o tyle w innych przypadkach nasi przodkowie musieli się już wykazać inwencją językową (chociaż w ich mentalności było to zakorzenione i właściwie naturalne w stopniu dużo większym, niż dzisiaj możemy przypuszczać). Chodzi mi o dawno porzuconą regułę dorabiania żeńskich końcówek do nazwisk mających formę rzeczownika.

Jakżeż dostojnie brzmiały nazwiska wielkich księżnych, a choćby też szlachcianek i mieszczanek: Sapieżyna, Radziwiłłowa, Zarembina – to w przypadku mężatek – oraz Sapieżanka, Radziwiłłówna, Zarembianka – w wersji dla panien. Te wersje nazwisk tak silnie przylgnęły do ich właścicielek, że chyba dzisiaj nie od razu wiedzielibyśmy, o kogo chodzi, gdybyśmy usłyszeli o Hance Ordon, Toli Mankiewicz, Hannie Skardze, Elżbiecie Zając, Zofii Kuc, Barbarze Krafft czy Ewie Szelburg-Zarembie.

Powrót do tej zasady w skali oficjalnej jest już raczej niemożliwy i chyba brzmiałby sztucznie, chociaż w sytuacjach codziennych, w relacjach sąsiedzkich często przecież jeszcze słyszymy i mówimy o pani Nowakowej lub Woźniakowej. Jednak jeszcze kilkadziesiąt

eprasa.pl 037223689a

lat temu, szczególnie w społecznościach wiejskich, ta zasada była żywa i wielce funkcjonalna, bo pozwalała na odróżnienie Sęka od Sękowej czy Sękówny, a co za tym idzie – szybką i precyzyjną identyfikację osób, o których mowa. Poza tym wydaje się, że te odmiany nazwisk, szczególnie jeśli w wersji męskiej są one wyrazem pospolitym, mają funkcję antropomorfizującą i abstrahującą od tego pospolitego brzmienia. Mężczyzna o nazwisku Baran lub Zając pozostanie Baranem lub Zającem, ale Baranowa lub Zającówna to już zupełnie ktoś inny. Sam pamiętam, z jaką onieśmielającą swobodą przedstawiła mi się mama koleżanki: „Królowa jestem, bardzo mi miło".

Znane mi próby administracyjnego wymuszenia powrotu do tradycyjnych form prowadziły do sytuacji anegdotycznych. Oto na krakowskiej polonistyce przez długie lata profesorem od literatury staropolskiej był Tadeusz Ulewicz. Profesor był niezwykle barwnym człowiekiem starej daty i życzył sobie, aby studentki przystępujące u niego do egzaminu miały wpisane nazwisko z właściwą żeńską końcówką. W związku z tym jego asystenci na pierwszych zajęciach informowali studentki, jak się od dzisiaj nazywają w razie, gdyby prof. Ulewicz zagadnął je o nazwisko. Było to oczywiście powodem wielu żartów, a także kłopotów, bo dziewczyny musiały prosić legendarną panią Halinkę w sekretariacie, aby swoim pismem dorobiła właściwą końcówkę (jeszcze większy był kłopot, kiedy nazwisko zawierało tzw. ruchome e, które trzeba było wydrapać żyletką, żeby przerobić np. nazwisko Joniec na Jońcówna). Jednak podobno zdarzyło się kiedyś, że gdy asystent przedstawił oczekiwanie profesora, zauważył, że jedna dziewczyna płacze. Na pytanie, dlaczego płacze, usłyszał odpowiedź: „Bo ja się nazywam Kupaga". Asystent szybko rozwiał obawy studentki, bo końcówkę -ówna dodaje się do nazwiska w formie rodzaju męskiego; gdy nazwisko ma formę rodzaju żeńskiego, a taka sytuacja miała miejsce w tym przypadku, powinno się stosować końcówkę -anka. Dziewczyna została zatem mianowana Kupażanką i prawdopodobnie była zadowolona.

To być może legenda, chociaż nie z tych zupełnie niewiarygodnych.

Prawdziwa jest natomiast sytuacja, w której asystent prof. Ulewicza, mając mu zaanonsować kolejną studentkę wchodzącą na egzamin, uprzedził go dyskretnie, że nosi ona obco brzmiące nazwisko Nossig. Na co profesor po chwili namysłu zdecydował swym charakterystycznym dyszkantem: „Panie kolego, niech będzie Nossiżanka!".

ELEMENT PRZYNALEŻNOŚCI

Widzimy zatem, że nawet w okolicznościach dużej presji, jaką jest poprawność językowa, dodatkowo przecież uświęcona wielowiekową tradycją, należy być elastycznym i uważać, aby kogoś nie urazić albo samemu nie popaść w śmieszność. Tym bardziej groteskowo wygląda wymyślanie nowych form językowych i wymuszanie ich używania.

Nikt nie postuluje powrotu do żeńskich końcówek w nazwiskach głównie z tego względu, że ich stopniowy zanik był procesem naturalnym i długotrwałym. Stan obecny jest więc zapisem przemian, które zaszły ostatnio w świadomości językowej; jest po prostu pewnym naturalnym stadium ewolucji, której podlega każdy język.

Paradoksalnie więc panie z lewicy z jednej strony walczą o wprowadzenie żeńskich końcówek w wyrazach, w których będą one brzmiały niepoważnie, a z drugiej rezygnują z nich w nazwiskach, które dzięki tym końcówkom nabrałyby formy jednoznacznie wskazującej na płeć.

Oczywiście doskonale wiemy, że obecnie wiele pań, nie tylko feministek, na pewno by nie zaakceptowało powrotu do tych form, ponieważ końcówka -owa wskazuje na przymiotnik tzw. dzierżawczy, a więc zawierający element przynależności. Ta zapisana w języku forma rzekomej zależności od mężczyzny jest jednak sprawą względną. Nikt przecież nie powie, że Czeszki czy Słowaczki są mniej „wyzwolone" od Polek, chociaż u nich końcówka żeńska jest oficjalną, administracyjną wersją nazwiska kobiet. Dlatego u nich nikogo nie dziwią nazwiska wielkich gwiazd opery: Gruberova, Janeckova, czy sportu: Navratilova, Kratochvilova, chociaż to przecież to samo, co u nas w wielu środowiskach wydaje się już nie do przyjęcia.

O Annie Stachurskiej, mimo że była wielokrotną medalistką, a także mistrzynią Polski i Europy oraz wicemistrzynią świata w karate, mało kto wiedział. Dopiero gdy wyszła za mąż za piłkarza, który o medalu mistrzostw świata lub Europy może tylko pomarzyć, została słynną Anną Lewandowską. Niesprawiedliwe? Pewnie tak, ale trudno przypuszczać, aby jej to przeszkadzało. Tak już jest, że często kobieta, wychodząc za mąż, zyskuje nie tylko nazwisko, lecz także inną pozycję społeczną. Zasada ta działa jednak często także w drugą stronę: coraz więcej uznanych i sławnych kobiet, wychodząc za mąż, wydobywa z otchłani anonimowości swojego wybranka.

Tyle tylko, że on zwykle nie zmienia nazwiska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest polonistą w LO Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców w Libiążu.

REKLAMA

literatura i pamięć

PROGRAM WSPIERANIA PAMIĘCI NARODOWEJ

Już wkrótce nowa seria wydawnicza

Nie można opowiadać dziejów Polski, pomijając ogromną rolę literatury, bez niej są one kalekie i uboższe. Ambicją twórców serii „LITERATURA I PAMIĘĆ" jest ukazanie szerokiemu gronu czytelników najwybitniejszych autorów i dzieł, które w czasach komunistycznej cenzury nie miały szans na pełne zaistnienie w świadomości społecznej. Seria „LITERATURA I PAMIĘĆ" przeznaczona jest zarówno dla miłośników literatury, jak i dla pasjonatów historii. Wszystkim czytelnikom ma dostarczać lektury atrakcyjnej i pogłębiającej podstawy duchowej więzi z ojczyzną.

Szukaj w księgarniach IPN i punktach sprzedaży w całej Polsce
ipn.poczytaj.pl
Spotkaj nas na Facebooku: @ksiegarnia.ipn

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

frse Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji

Wojciech Kudyba
PAMIĘĆ I GODNOŚĆ
O poezji Jana Polkowskiego

DZIEJE NAJNOWSZE W LITERATURZE POLSKIEJ
Szkice o współczesnej poezji i prozie

Agnieszka Kowalczyk
JÓZEF PIŁSUDSKI PISARZ

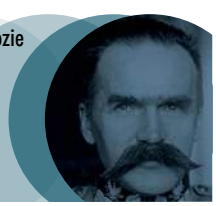

eprasa.pl 037223689a

„Sobota na folwarku" autorstwa Józefa Chełmońskiego, 1869 r.
FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

O folwarku i Polsce – bez kompleksów

Fragment tomu IV „Dziejów Polski: Trudny złoty wiek, 1468–1572"

Andrzej Nowak

Folwark to był opłacalny biznes. Ale dla kogo opłacalny? Czy to się opłacało Polsce, jej historycznej przyszłości? Czy też może był to właśnie początek albo przynajmniej jeden z kamieni milowych na drodze do dziejowej klęski Rzeczypospolitej czy wręcz nawet do „nieudanej" polskości? Ta teza, powtarzana od wieków, przedstawiona została w naukowej formie w postaci modeli gospodarczego uzależnienia Polski od Zachodu, utrwalenia czy wręcz wyboru polskiej peryferyjności, narastającego zacofania. Tam, to jest na „Zachodzie" (to pojęcie jeszcze w XVI w. nie istnieje – pojawi się dopiero w wieku oświecenia, nadającym kanoniczny kształt polskim kompleksom), rozpędza się „nowoczesność", a tu, na „Wschodzie", zaczyna się albo tylko utwierdza odwieczne zacofanie. Samozawinione – przez egoizm klasowy szlachty – albo też wynikające z kolonialnej polityki „Zachodu", za którą może mniejszą Polska (i jej polityczno-społeczne elity) ponosi odpowiedzialność, ale za to tym bardziej beznadziejnie pozostaje ofiarą i niczym więcej. Taka jest istotna wymowa dwóch modeli, które zdobyły sobie szczególne uznanie w latach 1960–1970 i wciąż mają swoich zwolenników.

Ich fundamentem są marksizm i stworzone w 1882 r. przez klasyka tej ideologii, Engelsa, pojęcie wtórnego poddaństwa. Na wschód od Łaby – „refeudalizacja", na zachód od Łaby – kapitalizm, czyli nowoczesność. W Polsce po 1945 r. tę koncepcję rozwinęli dwaj wybitni historycy gospodarki: Marian Małowist i Witold Kula. Ten pierwszy, zajmując się nierównością w kontaktach handlowych, wskazywał zasadnicze znaczenie dalekosiężnego handlu zagranicznego dla utrwalenia podziału Europy i świata na gospodarcze centrum i podporządkowane mu peryferie. Handel państw ze strefy bałtyckiej – organizowany w XV w. przez niemiecką Hanzę, a kontynuowany w wieku XVI dzięki znaczeniu Gdańska i jego polskiego zaplecza zbożowego w wymianie z Amsterdamem – pomógł okrzepnąć północno-zachodnioeuropejskim centrom rodzącego się kapitalizmu. Tę koncepcję podjął i uogólnił jeszcze amerykański socjolog historii, twórca modelu Systemu-Świata (w tym wypadku: europejskiej gospodarki światowej), Immanuel Wallerstein. Budowanie zamorskich imperiów kolonialnych przez Portugalię, Hiszpanię, a potem Holandię, Anglię i Francję, połączone z przejściem od handlu towarami luksusowymi do handlu towarami masowymi, powoduje w XVI w. trwałe uzależnienie jednych terytoriów od drugich. Kolonie (zachodnioeuropejskie) powstają w Ameryce, Afryce i Azji, ale także w pewnym sensie – zauważa Wallerstein – w Europie Wschodniej. Państwo polsko-litewskie akceptuje rolę peryferii, surowcowego, rolniczego zaplecza, a faktycznie wyzyskiwanej kolonii zachodnioeuropejskiego systemu gospodarki światowej. Akceptują tę rolę elity polityczne tego państwa, czyli szlachta – bo jej się to opłaca – i spycha ciężar ekonomiczny i społeczny peryferyzacji kraju na barki ludności poddańczej. Szlachta robi to, bo może – bo tak silna jest jej pozycja w tym państwie. Kula w swoich rozważaniach

eprasa.pl 037223689a

modelowych zaostrzył jeszcze wymowę tej koncepcji, ukazując szlachtę jako „rentiera niezainteresowanego w samym procesie produkcyjnym, w szczególności w jego ulepszaniu, gdyż mógł on bez tego odcinać kupony z międzynarodowej koniunktury" – na polskie zboże. Chłop pada ofiarą tego systemu, razem z długofalową przyszłością Polski.

WSCHÓD GORSZY?

Bardziej radykalne rozważania brytyjskiego marksisty, Perry'ego Andersona, wpływowego profesora Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, ukazują dualizm w rozwoju Europy jako normę. Wschód zawsze był gorszy, od samego początku – bo nie ma tego germańsko-rzymskiego dziedzictwa, z którego wyrosły „dojrzały" zachodnioeuropejski feudalizm, silne miasta, monarszy absolutyzm (a nie szlachecka anarchia, jak zgodnie z najbardziej prymitywnym stereotypem nasz republikański ustrój nazywa marksista z Kalifornii), dalej kapitalizm i wreszcie liberalizm oraz rządy prawa. Z tej perspektywy można w XVI w. mówić tylko o umocnieniu odwiecznej „normy", a polska szlachta nawet nie jest tu szczególnie winna: po prostu wschodnia część Europy, z państwem polsko-litewskim i Węgrami w centrum, jest gorsza i zawsze będzie gorsza. Perry Anderson, wieloletni redaktor intelektualnej trybuny zachodniej lewicy „New Left Review" (i brat Benedykta Andersona, twórcy równie redukcjonistycznej koncepcji narodu, jako wyłącznie nowoczesnej „wspólnoty wyobrażonej"), wyraził ostatnio nawet ubolewanie z powodu przyjęcia krajów Grupy Wyszehradzkiej do Unii Europejskiej: trzeba było przyjąć Rosję, a nie te marne kraiki. Zgodnie z jego już nawet nie tyle marksistowską czy deterministyczną, ale wręcz rasistowską w wymowie tezą – z tej części Europy może przyjść tylko zaraza zapóźnienia. Rosja jest natomiast jakby z tego rozumowania wyjęta. Cóż, takie bywają polityczne meandry marksizmu.

Naturalnie modele Małowista i Kuli nie mają tego rasistowskiego wydźwięku i z pewnością mogą być wciąż traktowane jako inspiracja do rozumienia naszej historii w szerszym, globalnym kontekście. To jednak, co jest tym modelom wspólne, to to, że ich autorzy nie zajmowali się szczegółowo ani źródłowo historią folwarku polskiego w XVI w. i programowo abstrahowali od kontekstu politycznego, a już zwłaszcza geopolitycznego polskiej historii, jak również nie interesowała ich tworząca się w tej historii kultura. Interesowało ich tylko zapóźnienie, „peryferyzacja", odchodzenie od normy, którą wyznacza zwycięski Zachód. Interesowały ich polska gorszość, niepowodzenie. Chcieli je zrozumieć. Obserwowali je nie z punktu widzenia rozbiorów – jak Michał Bobrzyński, galicyjski stańczyk, w 1879 r. – ale z punktu widzenia rozbicia II Rzeczypospolitej po zaledwie 20 latach, poprzez straszliwą traumę okupacji (Małowist stracił w getcie warszawskim całą najbliższą rodzinę i przetrwał po „aryjskiej" stronie m.in. dzięki pomocy Witolda Kuli), a potem rzeczywistość PRL, w której Polska była rzeczywiście peryferiami, ale nie Zachodu, tylko sowieckiego imperium. Nie chcieli szukać źródła nieszczęścia w owym imperium ani w ogóle w zewnętrznych czynnikach politycznych, ale – jak wierzyli – głębiej (gdzie zresztą cenzura PRL pozwalała szukać): tam, gdzie żadna walka o niepodległość nie wystarczy ani nie pomoże. Nie interesowało ich obywatelstwo, tylko poddaństwo; nie szlachetność, lecz wyzysk; nie dumna pańskość, ale ponura pańszczyzna; nie obywatelstwo, lecz bydło. To jest oczywiście uprawnione spojrzenie na dzieje. Ale niewystarczające do ich zrozumienia.

PRAGNIENIE DOBROBYTU

Bez tego dziejowego fatalizmu i wpisanej weń tezy – za to bez porównania szerzej, głębiej źródłowo i bardziej wielostronnie – zbadali historię narodzin i funkcjonowania folwarku szlacheckiego w Rzeczypospolitej Jerzy Topolski i Andrzej Wyczański. Ten pierwszy zauważył, że polska szlachta nie była jakimś monstrum na mapie ówczesnej Europy. Przełom wieków XV i XVI to czas nowej, wielkiej aktywności ekonomicznej szlachty na całym niemal kontynencie, szukającej sposobów podniesienia swoich dochodów. Poddaństwo w zachodniej części Europy nadal wyrażało się w formie (niższego) sądownictwa pana gruntowego nad chłopem i prawa własności pana do ziemi, za użytkowanie której chłop musi płacić. W Polsce, a szerzej – w Europie Środkowej i Wschodniej, dochodziło do tego poddaństwo osobiste, tj. ograniczenie prawa chłopa do opuszczenia wsi czy dóbr danego właściciela. Uwarunkowanie tej różnicy w prosty sposób tłumaczy Andrzej Wyczański: „Na wschodzie istniał deficyt rąk roboczych i ograniczano prawo odejścia chłopa, niekiedy nawet go porywano, podczas gdy na zachodzie bardziej ceniono ziemię, chętnie rugując z niej od dawna osiadłego chłopa, by eksploatować grunt w ramach bardziej korzystnego systemu – dzierżawy. Różnica więc istniała, ale występowała w stosunkowo wąskim zakresie i rozciąganie jej na całość stosunków wiejskich, a tym bardziej na strukturę całego społeczeństwa, nie jest uprawnione i traktowanie jej jako istotnej przesłanki historycznego podziału Europy nie posiada podstaw naukowych. […] Wprawdzie trzy kraje rozbiorcze dysponowały podobnym systemem folwarku, pańszczyzny chłopskiej i wtórnego poddaństwa, ale to nie przeszkadzało w uproszczonym ujmowaniu przeszłości i akceptacji wielu ocen, które miały świadczyć o naszej własnej słabości i zacofaniu. Nie wydaje się zresztą konieczne rozpisywanie na temat marksizmu w naszej historiografii i o jego nawiązywaniu do szkoły krakowskiej, bo uznawanie Łaby, jako linii dzielącej Europę w czasach nowożytnych, występowało także na zachodzie. Czy była to pojawiająca się tam niekiedy moda na marksizm, czy po prostu pewne lenistwo naukowe niektórych historyków, piszących o tak zwanej historii powszechnej, trudno powiedzieć". Pozostańmy przy tej ostrożnej diagnozie i spójrzmy trzeźwiej, bez ideologicznych szkieł, na historię wieku XVI. Co z tego spojrzenia wynika? Czynniki naturalne – takie jak klimat, położenie geograficzne, gleba, spławne rzeki, w tym Wisła, po przyłączeniu Pomorza otwarta ostatecznie aż do Bałtyku, oraz dostępność poddańczej siły roboczej – stworzyły razem przesłanki do ekonomicznego sukcesu folwarku, nastawionego na eksport zboża.

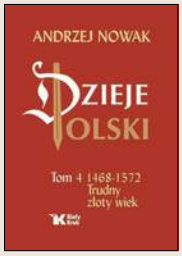

ANDRZEJ NOWAK „DZIEJE POLSKI: TRUDNY ZŁOTY WIEK, 1468–1572" BIAŁY KRUK 2019

Witold Kula dostrzegł w tym jednak nie sukces, ale klęskę, współodpowiedzialnością za nią obciążając nawet Wisłę. Pisze o tym w porywającym retorycznie stylu: „Wisła, jak Zygmuntowskie »S« oplatające herbowego orła, wiązała ziemie polskie od dawna znacznie silniej niż na przykład Dunaj kraje nad nim położone. Dlaczego? Dlatego że nad Wisłą tworzyły się kolejne,

eprasa.pl 037223689a

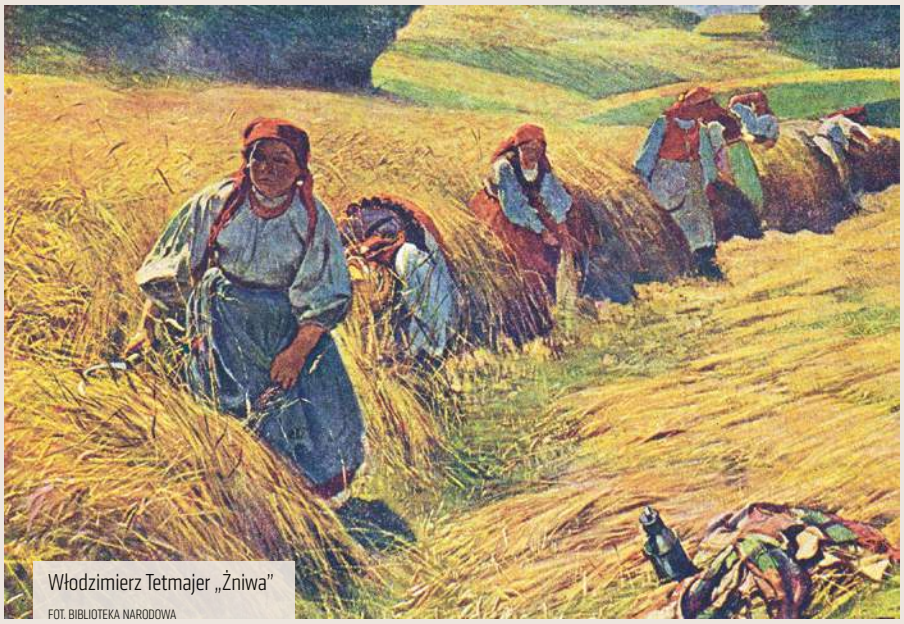

Włodzimierz Tetmajer „Żniwa"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

jak nanizane na sznurek, rynki. […] Polska stawała się bazą zbożowo-surowcową, by nie powiedzieć – hinterlandem rozwijającej się Europy. Wisła mogła w ustroju folwarczno-pańszczyźnianym odgrywać swą integracyjną rolę, ale ułatwiając zakorzenienie się tego ustroju, stawała się »współwinowajczynią« naszego dziejowego zapóźnienia. Niech wyrosłe na zbożowym handlu piękne miasta zdobiące jej brzegi, zachwycające dziś spichrze Kazimierza, Torunia czy Bydgoszczy nas nie mylą – były zapowiedzią pozostania w tyle w przyszłości". Te słowa z dedykowanego Andrzejowi Wyczańskiemu jednego z ostatnich tekstów Kuli odsłaniają zdumiewającą logikę rozumowania w kategoriach „długiego trwania", w którym szukamy tylko zarodów przyszłej klęski. A więc powinniśmy żałować tego, że Gdańsk wraz z Prusami Królewskimi został połączony z Koroną, z Polską, po ciężkich, rozciągniętych właściwie aż od Grunwaldu do hołdu pruskiego wysiłkach wojennych, politycznych i ekonomicznych zarówno mieszkańców miast pruskich, jak i Korony? Powinniśmy żałować, a właściwie powinni żałować mieszkańcy Polski wieku XVI, że łączyła ich system polityczno-gospodarczy Wisła? Powinniśmy ubolewać nad pięknem i bogactwem miast, które w owym wieku rozkwitły – bo w przyszłości upadną? Czy cały rozwój lub niedorozwój Polski w następnych wiekach został zdeterminowany wyłącznie przez folwark i wspierające go rozwiązania ustrojowe szlacheckiej Rzeczypospolitej? Spójrzmy w takim razie na nasze życie, w czasach, w których ono się rozgrywa. Czy mamy intensywnie myśleć o tym, co za lat 400 czy 500 może wyczytać z naszych decyzji historyk, budujący modele „długiego trwania"? I według tego powinniśmy owe decyzje formować, zmieniać? I czy z powodu takiej kalkulacji powinniśmy rezygnować z piękna i dobrobytu, który widzimy wokół siebie, i umiemy go sobie wyobrazić jego powiększanie w perspektywie następnej generacji: naszych dzieci, może jeszcze wnuków? A może wyobraźmy sobie spojrzenie na „wzorcową cywilizację zachodnią", na model kapitalizmu-absolutyzmu, z którego w końcu wynikają liberalizm, praworządność, potem marksizm – z perspektywy następnych czterech–pięciu wieków? Wyobraźmy sobie, powiedzmy, perspektywę roku 2500: czy wtedy nie znajdzie się ktoś (jeśli ktoś będzie wtedy i będzie umiał i miał ochotę zajmować się analizą historyczną), kto będzie ubolewał nad źródłami całkowitego upadku i zapóźnienia tego niegdysiejszego zachodnioeuropejskiego wzorca – bo dostrzeże to, czego nie widzieli rzecz jasna ani Anderson, ani Kula w wieku XX, ani nawet występujący na początku XXI w. prorocy kryzysu tej cywilizacji? I nie obciąży dzisiejszych jej mieszkańców odpowiedzialnością za krach, który ujawni połowa trzeciego tysiąclecia (może zresztą i czas będzie się wtedy rachowało inaczej)?

Tak ludzie nie postępują. Ludzie szukają dobrego życia dla siebie i dla swoich dzieci. I na ogół zdają sobie sprawę z tego, że to, co wydarzy się 500 lat po ich śmierci, zależy albo od ręki Opatrzności, albo od splotu tylu okoliczności, że nie mają najmniejszej szansy nad tym zapanować swoimi decyzjami. Inicjatywę w poszukiwaniu najkrótszej drogi do dobrobytu miała w Polsce XVI w. szlachta, tak jak w wielu innych krajach Europy. Ale ten dobrobyt, względny oczywiście, był realnie odczuwany w owym wieku, wieku folwarków, nie tylko przez panów, lecz także przez chłopów. Dlatego w owym stuleciu nie było żadnych objawów buntu społecznego przeciw folwarkom, przeciw pańszczyźnie – przynajmniej w Polsce. Gryźli się tym historycy marksistowscy przez lata. Kolega Andersona z Los Angeles, Robert Brenner, zbudował koncepcję, która miała potwierdzić i w tym względzie „gorszość" Europy Wschodniej: chłopi w państwie polsko-litewskim pogodzili się z poddaństwem, bo mieli słabszy „instynkt klasowy" niż chłopi w zachodniej Europie i nie umieli współdziałać między sobą. Topolski obalił tę bzdurną tezę, stwierdzając, że źródłowe badania wykazują, iż stopień współdziałania, zwłaszcza ekonomicznego, chłopów w Europie Wschodniej był wyższy niż na zachodnioeuropejskiej wsi. Samorząd wiejski był dobrze zorganizowany, a chłopi lepiej ze sobą współpracowali także dlatego, że nie nastąpiło jeszcze tutaj takie, jak np. w Anglii czy Niderlandach, rozwarstwienie wsi przez działanie rynku.

GDY CHŁOPOM LEPIEJ

Gdzie więc jest klucz do tej tajemnicy? Nie leży schowany głęboko. Wystarczy przeczytać rzetelnie źródła, tak jak zrobili to Wyczański i Topolski. Ten drugi streścił wymowę tych źródeł krótko: „Nie działo się tak [to znaczy nie rozwijała się gwałtowna walka klasowa na polskiej wsi] dlatego, że brakowało chłopom odpowiedniej organizacji wsi, lecz dlatego, że ich sytuacja uległa wyraźnej poprawie, co usuwało wiele powodów do walki". Dochody chłopów polskich, jak to szczegółowo oszacował Wyczański, w ciągu wieku XVI wzrosły trzy-, czterokrotnie. „Z nożyc cen [czyli ze wzrostu cen artykułów rolnych przy jednoczesnym obniżeniu cen artykułów rzemieślniczych] korzystała nie tylko szlachta, lecz również chłopi, szczególnie bogatsi i średniozamożni, których – odmiennie aniżeli we Francji – było wielu" – podsumowuje w swej ostatniej książce o przełomie gospodarczym XVI w. Topolski.

Jak kto korzystał z folwarku? Kto chce, ten przeczyta więcej w tomie IV „Dziejów Polski…".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wierny do końca

Anna Artemjewa i Jelena Raczewa przez osiem lat jeździły po Rosji. I spotykały się z ludźmi, którzy niegdyś mieszkali na wyspach piekielnego archipelagu Gułag. Byli zekami – czyli więźniami sowieckich obozów koncentracyjnych. Chociaż nie tylko. Autorki książki „Niezarekwirowane" dotarły także do „łagiernego" personelu: byłych strażników, urzędników, personelu medycznego.

To właśnie rozmowy z nimi – przez to, że tak unikatowe – wydają się najciekawsze. Byli strażnicy oczywiście próbują się wybielać, przedstawiać swoją rolę jako niegroźną. Twierdzą, że oni wobec więźniów zawsze zachowywali się przyzwoicie. A jak bił, to kto inny.

Mimo tych zabiegów relacje strażników mówią bardzo wiele o mentalności ludzi, którzy byli panami życia i śmierci.

„Jak więźniom się wyjaśnia, że trzeba pracować? – tłumaczy Wiktor Czunin. – Przychodzi się i rozmawia. Po dobroci. A jak ktoś nie chce po dobroci, to wobec takiego delikwenta stosuje się środki dyscyplinujące. Pamiętam, jak jeden skazany zupełnie nie wyrabiał normy. Przychodzę do zakładu, mówię co i jak. Brygadzista podchodzi: „Muszę z nim sam na sam pogadać". Wracam po 10 minutach, patrzę, a tamten już stoi przy maszynach i zasuwa jak mrówka. Brygadzista mu powiedział: „Jak nie będziesz pracować… to my cię… tak, że będziesz w ciemnej…" [śmiech]".

I dalej:

„Oj, co też pani opowiada… Do karceru raz na trzy dni? Za naszych czasów czegoś takiego nie było. Dużo jest w tych historiach przesady, bardzo dużo. Może doszło do takich przypadków raz czy dwa… potem to rozdmuchali do niewiarygodnych rozmiarów… Może czasem strażnik uderzył więźnia, tak się zdarza. W końcu więzień go obraża, przeklina, na różne sposoby ubliża. Ale masowe pobicia… Nie, tego nigdy nie było".

I to jest zagadka. Wiktor Czunin ma 84 lata. Dobiega końca swoich dni. Mógłby powiedzieć, jak było naprawdę. W sumie – co mu szkodzi? Nikt go przecież za to nie będzie już ciągał po sądach. Na pewno nie w Rosji. Z drugiej strony jednak książkę przecież będą czytać jego dzieci, wnuki. Po co mają wiedzieć?

„Stosunek do Stalina mam dwojaki – mówi na koniec Czunin. – Niby to był despota, miliony zamykał, likwidował. Ale z drugiej strony cenię go jako gospodarza kraju. Rozwój przemysłu, samochody, lotnictwo. Tego nikt mu nie odbierze. Kiedy umarł, wszyscy płakali, zekowie również. Dlaczego mamy to kwestionować?".

Wiktor Czunin. Wierny do końca. ©℗

★★★★★★

ANNA ARTEMJEWA, JELENA RACZEWA „NIEZAREKWIROWANE" KARTA/CPRDIP

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatni sukces tow. Wiesława

Jedną z obsesji Władysława Gomułki była kwestia uznania przez RFN zachodniej granicy Polski. Działalność niemieckiego Związku Wypędzonych spędzała mu sen z powiek i pilnie obserwował wydarzenia na tamtejszej scenie politycznej. Gdy w październiku 1969 r. władzę przejęła koalicja SPD i FDP pod wodzą kanclerza Willy'ego Brandta, uznał to za okazję do rozmów na temat uznania przez rząd niemiecki polskiej granicy. Oczywiście nie mogło to się odbyć bez zgody Kremla, zresztą Sowieci jako pierwsi zadbali o swoje interesy, podpisując w sierpniu 1970 r. odpowiedni układ z RFN. Potem przyszedł czas na Polskę, 6 grudnia 1970 r. Brandt przyleciał do Warszawy, a dzień później podpisał akt normalizacji wzajemnych stosunków. Ze strony polskiej układ podpisał ówczesny premier, Józef Cyrankiewicz, a prawdziwą sensację na świecie zrobiły zdjęcia Brandta klęczącego przed pomnikiem Bohaterów Getta.

Gomułka był zachwycony i uznał, że naród będzie mu wdzięczny i na fali sukcesu należy wprowadzić drastyczną podwyżkę cen żywności. Wprawdzie pierwsze decyzje zapadły jeszcze w ostatnich dniach listopada na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR, ale towarzysz Wiesław postanowił wprowadzić nowe ceny jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Pozostawał głuchy na wszelkie sugestie otoczenia, twierdząc, że naród tak jest szczęśliwy z powodu uznania zachodnich granic, że chętnie zrezygnuje z szynki na rzecz salcesonu i kaszanki. A przy okazji bez oporu zapłaci też o jedną trzecią więcej za dżem czy powidła. Odmówił odsunięcia w czasie wprowadzenia podwyżki, co zapewne byłoby łatwiejsze do zaakceptowania przez społeczeństwo. Z uporem maniaka dowodził, że dla Polaków ważniejsze jest bezpieczeństwo zachodnich granic niż zastawiony świąteczny stół. A poza tym szynka i kiełbasa to zbyteczny luksus.

Przy okazji nie zauważył, że od pewnego czasu we władzach PZPR przygotowywano się do puczu i przewidywany wybuch niezadowolenia społecznego miał pomóc w obaleniu Wiesława. Do władzy dążył Mieczysław Moczar, ale poparciem większości członków Biura Politycznego cieszył się Edward Gierek. Miał on też dyskretne błogosławieństwo Kremla, sowieccy politycy nigdy nie zaaprobowaliby komunisty o nacjonalistycznych poglądach, którym był Moczar. Właściwie wystarczało tylko nie przeszkadzać Gomułce, który sam dążył do samozagłady. Inna sprawa, że skala protestów na Wybrzeżu po ogłoszeniu podwyżek i liczba ofiar zaskoczyły wszystkich i znacznie przyspieszyły bieg wydarzeń… ©℗

eprasa.pl 037223689a

Jan Bogatko

Kto nie skacze, ten za AfD?

Alternatywa dla Niemiec ma w Polsce złą prasę. I to we wszystkich tytułach od lewej do prawej strony politycznego spektrum. Dziwię się temu i stawiam pytanie: „Dlaczego?"

Polskie media konserwatywne (często określane błędnie jako „prawicowe") narzucają się niemieckiej skrajnej lewicy jako sojusznik w walce z „populistyczno-prawicową Alternatywą dla Niemiec", aczkolwiek, na Marksa, nigdy by one ze swej strony nie wpadły na pomysł, by owych sojuszników zaliczyć do swych przyjaciół. Przeciwnie, czują do nich niekłamaną niechęć, używając eufemizmu. I to wbrew ich widocznym staraniom!

Wskazuje na to dobór przymiotników, którymi obdarza się w Polsce partię Alternatywa dla Niemiec (Alternative für Deutschland, AfD). W większości przypadków to tłumaczenia z niemieckiego, określenia występujące często na łamach gazet uważanych w Polsce za konserwatywne, ba, zgoła prawicowe, takich jak choćby „Die Welt" czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Problem polega jednak na tym, że od rewolucji kulturalno-obyczajowej w Niemczech w 1968 r. niemiecki świat mediów (a dokładniej dziennikarze tam pracujący) ustawicznie przesuwa się na lewo.

SERCE Z LEWEJ

Marsz przez instytucje udał się w Niemczech w pełni, skoro – jeśli wierzyć statystyce (niedowierzam, ale cytuję Politonomics.de) – w niemieckich mediach (radio, prasa, telewizja) pracuje na redaktorskich stołkach 42 proc. dziennikarzy, którzy są wyborcami Zielonych (to ta partia, jeszcze we wczesnych latach 80., opowiadała się za legalizacją pedofilii w Niemczech, byłem świadkiem takiej demonstracji na placu Katedralnym w Kolonii). Kolejne 24 proc. pań i panów redaktorów głosuje na schodzącą ze sceny politycznej partię SPD. Dodajmy 42 oraz 24 i już mamy 66 proc.!

Do tego wskazać należy 7 proc. dziennikarzy otwarcie wspierających ultrasów z Die Linke, komunistów, następców NRD-owskiej SED z nadal wydawaną przez nich gazetą „Neues Deutschland"! Czyli trzy czwarte dziennikarzy niemieckich optuje za lewicą! Szwajcarski dziennik „NZZ" („Neue Zürcher Zeitung") zamieścił stosunkowo niedawno relację własnego korespondenta we Frankfurcie nad Menem, Michaela Rascha, pod wiele mówiącym tytułem „Serce niemieckiego dziennikarza bije na lewo".

Na czytelnika niemieckiej prasy, zwłaszcza w Polsce, czeka pułapka. Bierze on do ręki na przykład „Die Welt" i czyta tam o „prawicowo-populistycznej AfD". Jeśli wierzy w jej konserwatyzm, to i uwierzy w epitet. A jakim epitetem ta gazeta czy inne jej podobne określają CDU? Oczywiście żadnym. Poza informacyjnym „Volkspartei" – partia dla każdego. Zatem tu my, a tam oni. W odniesieniu do Alternatywy dla Niemiec nie znajdziemy większej różnicy w ocenie tej partii przez „konserwatywne" media czy nadal marksistowską (nie lubię określenia „neomarksizm") komunistyczną „Neues Deutschland".

WYKLUCZANI

Co oglądamy w telewizji, słyszymy w radiu i czytamy w prasie niemieckiej o Alternatywie dla Niemiec? Po pierwsze, to skrajna prawica. Po drugie, to partia „faszystowska" (to stalinowskie określenie wszystkiego, co nie jest komunistyczne). O tyle dziwne, że w Niemczech nie było faszyzmu, lecz narodowy socjalizm. To już mniej dziwne, gdy dowiemy się, że niemieckie programy szkolne ograniczają się w zakresie historii do II wojny światowej, w dodatku w wersji uproszczonej. Dlatego powstała tu w 1971 r. Antifa, „Akcja Antyfaszystowska", jawnie uciekająca się do przemocy stalinowska organizacja, tolerowana przez państwo.

Aula uniwersytetu w Hamburgu, rok 2019. Bojówkarze Antify przerwali na uniwersytecie w Hamburgu wykład współzałożyciela konserwatywnej partii Alternatywa dla Niemiec, profesora ekonomii na tej uczelni, Bernda Luckego. Agitatorzy wykrzykiwali pod adresem profesora popularne obelgi w rodzaju „nazistowska świnia". Pikanterii sprawie dodaje to, że Lucke cztery lata temu… opuścił AfD i jest nawet krytykiem tej partii. Jednak komuniści nie wybaczają nikomu i niczego. Nawet prezydent Niemiec zabrał w tej sprawie głos, ku zaskoczeniu wielu wypowiadając się za swobodą dyskusji na uniwersytetach i przeciwko terrorowi wobec naukowców. Nie pierwszy to i nie jedyny incydent tego typu, wskazujący na groźną tendencję totalizacji życia publicznego.

Niemieckie media postanowiły otoczyć krytyczną wobec żywiołowej imigracji (stąd zarzut ksenofobii) AfD politycznym cordon sanitaire. Nie zapraszały one poli-

eprasa.pl 037223689a

FOT. RONNY HARTMANN/GETTYIMAGES

tyków Alternatywy dla Niemiec do udziału w programach telewizyjnych. W 2016 r. stacje telewizyjne SWR (Südwestrundfunk) i MDR (Mitteldeutscher Rundfunk) wykluczyły AfD z udziału w debatach przedwyborczych. Nawet liberalny lewicowy (lecz nie marksistowski) berliński „Der Tagesspiegel" pytał wówczas, czy jest to w porządku (20 stycznia 2016 r., Sonja Álvarez, Matthias Meisner, Ulrich Zawatka-Gerlach, Fabian Leber). Kto skacze? Zieloni i SPD. Ówczesny premier landu Nadrenia-Palatynat, Malu Dreyer (SPD), pozwolił sobie na uwagę, że „wielu członków AfD to nie tylko prawicowi populiści", lecz także „głosiciele poglądów rasistowskich i prawicowo-ekstremistycznych". Zbieżność stanowisk Antify i Dreyera może być oczywiście przypadkowa.

A kto nie skacze? W CDU w Saksonii-Anhalt pojawiły się wątpliwości co do słuszności decyzji stacji MDR. Ówczesny premier tego landu, Reiner Haseloff, stwierdził na łamach gazety „Tagesspiegel": „Nie miałbym problemu dyskutowania także z AfD. Część społeczeństwa ma zamiar wybrać tę partię. Trzeba dyskutować na ten temat. Jeśli zostawiamy AfD za drzwiami podczas dyskusji, to negujemy część społeczeństwa i potwierdzamy argument, że prasa kłamie". Może mu to pomogło wygrać wybory – CDU niewiele straciła, a SPD poniosła historyczną klęskę.

KRUCHE ZARZUTY

Ostatnio czytam w polskiej prasie o tym, że AfD jest złą opcją dla Polski. A nawet że jest tak samo szkodliwa jak niemiecka lewica. Zarzut ten jest bezpodstawny i nie jestem w stanie pojąć, skąd się wziął. Tymczasem to Alternatywa dla Niemiec jest jedyną, nie waham się użyć tego określenia, wielką partią polityczną w Niemczech, która opowiada się zdecydowanie za Europą ojczyzn i sprzeciwia się lewackiej utopii europejskiej ojczyzny! Europa ojczyzn to znaczy mniej Berlina w Brukseli. Z pewnością zmartwiłoby to Radosława Sikorskiego. Ale innych? Mniej Berlina w Brukseli to znaczy więcej Warszawy w Brukseli. Dlaczego miałoby to być dla Polski niekorzystne?

Alternative für Deutschland podkreśla ponadto, że nie zgadza się z narzucaniem woli przez obcych. A jeśli tego mało, to cytuję dalej z programu tej partii: „We właściwości państw członkowskich (ważne: nie »krajów«, co sugerowałoby nadanie Unii Europejskiej struktury niemieckiego państwa federalnego, lecz właśnie państw) leży zabieganie o gospodarczy dobrobyt oraz stabilne, wydajne systemy socjalne". AfD wspiera reformy strukturalne, mające na celu wzmocnienie konkurencyjności państw europejskich, jednak zdecydowanie sprzeciwia się unii transferowej i tendencjom centralistycznym. Co w tym dla Polski złego?

W czyim imieniu przemawia AfD, kiedy stwierdza: „Politykę w Europie cechuje pełzający proces likwidacji demokracji, UE stała się konstrukcją niedemokratyczną, której politykę prowadzą biurokraci, pozbawieni demokratycznej kontroli. Aby przywrócić państwom Europy rolę orędownika wolności i demokracji na świecie, niezbędna jest zasadnicza reforma UE". Aby umożliwić ten rozwój, należy przywrócić kompetencje państw narodowych, scedowane na niedemokratycznego molocha.

Polityczne elity Wspólnoty – twierdzi Alternatywa dla Niemiec – traktatem z Maastricht z 1992 r. i zmianami podjętymi w Lizbonie w 2007 r. podjęły próbę ostatecznego przekształcenia Unii Europejskiej w państwo. I to wszystko mimo referendów we Francji i w Holandii w roku 2005. W obu tych państwach obywatele odrzucili tzw. umowę konstytucyjną mającą stanowić fundament europejskiego superpaństwa, nowego ZSRS. Jaka w tym stanowisku Alternatywy dla Niemiec, wyrażonym w programie partii, tkwi groźba dla Polski?

Kruche są nie do końca sprawdzone zarzuty, jakoby Alternatywa dla Niemiec czyhała na polskie ziemie zachodnie i północne. Nawet gdyby miałoby to być jednak prawdą, to najpierw Niemcy musiałyby opuścić NATO i się jakoś uzbroić, bo na razie nie mają armat. Zarzut ten przypomina mi prowadzoną swego czasu przez „Trybunę Ludu" (czy mnie jeszcze pamiętasz?) akcję przedstawiającą współtwórcę wspólnot europejskich Konrada Adenauera w habicie Krzyżaka w pozie Drang nach Osten.

Kilka słów o niemieckim historyku Stefanie Scheilu (działaczu Alternatywy dla Niemiec), enfant terrible młodszej sceny niemieckich historyków, który uważa, że to Polska chciała napaść na Niemcy w 1939 r. Byłem wiele lat temu na spotkaniu z nim w Düsseldorfie i jego wynikiem był mój krótki blog na Niepoprawni.pl z 4 marca 2011 r. (niepoprawni.pl/blog/2431/jak-polska-chciala-podbic-iii-rzesze). W CDU, do tego we władzach tej partii, była swego czasu pani Erika Steinbach, o której postawie wobec Polski nie muszę chyba opowiadać. Była jedną z wielu o podobnych poglądach! Czy to każe mówić o CDU jako o partii populistyczno-prawicowej?

Drobna uwaga: prawica oznacza we współczesnym niemieckim języku politycznym nazizm. No, może jeszcze faszyzm.

AfD a Rosja. Tak, ta partia szuka porozumienia z Rosją. Ma do tego prawo. Jednak CDU czy w większym stopniu SPD już dzisiaj je znalazła? To CDU mówi przecież o Rosji jako o sąsiedzie Niemiec! O Włoszech raczej CDU tak nie mówi! To na biurku kanclerz Angeli Merkel, a nie w gabinecie szefa AfD, stoi podarowany jej przez Władimira Putina portrecik carycy Katarzyny II! To były kanclerz Niemiec z ramienia współrządzącej SPD, Gerhard Schröder, nazwał prezydenta Rosji, Władimira Putina, demokratą czystym jak łza!

A „antypolska" AfD? „Deutsche Welle" przedstawia odcinek szósty „Studia Europa". Cytat ze strony internetowej „DW" (14 listopada 2019 r.): „– W XXI wieku trochę wstyd dla państwa, gdyby nie było rzetelnej edukacji seksualnej – mówi europosłanka PO Elżbieta Łukacijewska. Christine Anderson z niemieckiej AfD gratuluje natomiast »polskiemu narodowi, że wybrał taki rząd, który chce to uregulować«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Książę Andrzej (pierwszy z lewej) zakończył swoją karierę reprezentanta królowej brytyjskiej

FOT. CAPITALPICTURES/FACE TO FACE/REPORTER

Cios w monarchię

Piotr Włoczyk

Książę Andrzej w spektakularny sposób skompromitował się wywiadem z BBC, podczas którego plątał się w zeznaniach na temat znajomości z miliarderem pedofilem. To koniec jego książęcej kariery, ale sprawa mocno uderza też w całą dynastię Windsorów

Takiego skandalu brytyjska rodzina królewska nie zaliczyła bodaj od czasów abdykacji Edwarda VIII. Przez kilka dni po emisji słynnego już wywiadu z BBC gorąca brytyjska kampania wyborcza zeszła na drugi plan, a tamtejsze media zamiast o pomysłach na brexit rozpisywały się o gigantycznym problemie „Jurnego Andrzejka" („Randy Andy"), jak od dawna nazywają tamtejsze tabloidy księcia Andrzeja, ósmego w kolejce do brytyjskiego tronu. Cały kraj czekał na reakcję Elżbiety II. „Królowa traci kontrolę nad »firmą«" – komentował „The Times". W końcu jednak brytyjska monarchini po rozmowach z księciem Karolem i księciem Williamem – obaj nie ukrywają, że są wściekli na księcia Yorku – postanowiła przenieść swojego ukochanego młodszego syna w „stan spoczynku".

„Poprosiłem Jej Wysokość o wyrażenie zgody na rezygnację z pełnienia obowiązków publicznych w przewidywalnej przyszłości i otrzymałem ją" – napisał książę Andrzej w oświadczeniu, ale nikt nie miał wątpliwości, kto naprawdę poprosił kogo o rezygnację.

„To sytuacja bez precedensu, by tak znany członek rodziny królewskiej został zmuszony do odejścia z życia publicznego. Myślę, że królowa jest przerażona tym wszystkim" – powiedziała w rozmowie z „The Times" biografka Windsorów Penny Junor.

„Jego cała publiczna kariera została dosłownie zmieciona przez jego własne zachowanie" – komentował z kolei znawca historii Windsorów Robert Lacey. I dodał: „Nigdy w życiu sam nie zdecydowałby się na coś takiego. Wszyscy rozumieją, że to efekt nacisku z samej góry".

„ZDERZENIE Z CIĘŻARÓWKĄ"

Atmosfera wokół księcia Yorku gęstniała od kilku miesięcy, odkąd media zaczęły wyciągać na światło dzienne kolejne kompromitujące szczegóły

eprasa.pl 037223689a

bliskiej znajomości między młodszym synem Elżbiety II a Jeffreyem Epsteinem, amerykańskim pedofilem miliarderem, skazanym w 2008 r. za wykorzystywanie seksualne nieletnich i handel ludźmi. Epstein, ponownie aresztowany w związku z podobnymi zarzutami w lipcu tego roku, miesiąc później popełnił samobójstwo w celi aresztu. Okoliczności tej śmierci wciąż budzą jednak olbrzymie wątpliwości, ponieważ wiadomo, że z seksualnych usług organizowanych przez Epsteina korzystało wielu wpływowych ludzi, dla których ewentualna współpraca pedofila miliardera z organami ścigania mogła oznaczać olbrzymie kłopoty.

Książę Andrzej zdecydował się w końcu skonfrontować z trudnymi pytaniami w rozmowie z Emily Maitlis z BBC. Brytyjska prasa ustaliła po wszystkim, że doradcy ds. książęcego wizerunku stanowczo odradzali mu rozmowę przed kamerami, ale ten postawił na swoim. Efektem była PR-owska katastrofa, która na pewno będzie nieraz omawiana podczas szkoleń w zakresie zarządzania kryzysami. Media od razu okrzyknęły rozmowę z Maitlis mianem „wypadku samochodowego", ale zdaniem niektórych ekspertów to mało powiedziane. „To nie wypadek samochodowy. To elokwentne zderzenie z ciężarówką" – skomentował wywiad księcia Andrzeja były rzecznik prasowy brytyjskiej rodziny królewskiej Dickie Arbiter.

„WŁAŚCIWE I HONOROWE"

„Przybyliśmy do pałacu Buckingham w bardzo nietypowych okolicznościach. Normalnie rozmawialibyśmy na temat pańskich obowiązków, pracy, ale dziś zdecydował się pan, po raz pierwszy, opowiedzieć o tych sprawach. Dlaczego zdecydował się pan na rozmowę?" – rozpoczęła wywiad Maitlis.

Książę odpowiedział, że postanowił stanąć przed kamerami, „ponieważ nie ma dobrego czasu, by rozmawiać o panu Epsteinie i o wszystkich związanych z tym sprawach".

Mimo że media ujawniły, iż książę Yorku przez blisko 20 lat (od początku lat 90. do 2010 r.) utrzymywał z Epsteinem zażyłe kontakty, to on sam bagatelizował w rozmowie z BBC tę relację, twierdząc, że widywali się „maksymalnie trzy razy do roku", a korzystał z jego gościny w USA głównie dlatego, że było to po prostu „wygodne".

Przekonywał też, że spotkania z Epsteinem pomogły mu nawiązać relacje z amerykańską elitą biznesu, a poza tym bardzo wiele nauczył się dzięki rozmowom prowadzonym w czasie imprez organizowanych przez miliardera pedofila.

Książę twierdził stanowczo, że ponieważ był twarzą brytyjskiej kampanii ochrony dzieci przed przemocą, to wiedział, jakich niepokojących oznak szukać. Upierał się jednak, że nigdy nie spotkał się w trakcie wizyt u Epsteina z sytuacjami, które mogłyby mu się wydać podejrzane.

Chociaż już na tym etapie książę wydawał się bardzo zdenerwowany, a jego oczy rozbiegane, to najgorsze – dla niego – miało dopiero nadejść. Wstępem do wizerunkowej katastrofy były pytania o ostatnie – jak twierdzi książę Andrzej – spotkanie między nim a Epsteinem. Doszło do niego w grudniu 2010 r., kilka miesięcy po tym, gdy miliarder wyszedł z więzienia. Książę Yorku zarzekał się, że spotkał się z Epsteinem tylko po to, by powiedzieć mu, że w związku z jego przestępstwami seksualnymi, muszą zerwać relacje.

W rozmowie z dziennikarką BBC „Jurny Andrzejek" przywoływał swoją rzekomo bohaterską postawę z ostatniej rozmowy z miliarderem, podczas której miał w kategorycznym tonie potępić jego zachowanie. Książęca mina zrzedła jednak w momencie, gdy dziennikarka dopytała, dlaczego skoro książę chciał na zakończenie znajomości odbyć tylko jedną rozmowę z Epsteinem, zatrzymał się w jego nowojorskiej posiadłości na kilka nocy, podczas których – jak zeznali świadkowie – miliarder pedofil urządzał imprezy z młodymi dziewczynami?

W tym momencie książę wypowiedział słowa, które wprawiły w osłupienie miliony oglądających wywiad Brytyjczyków: „Wtedy myślałem, że było to właściwe i honorowe"... Przy okazji książę zaprzeczył stanowczo twierdzeniu jednego z gości, który miał być równolegle z nim goszczony przez Epsteina, jakoby „młoda rosyjska dziewczyna" masowała mu stopy.

PAMIĘTNA PIZZA

Najgorszymi mękami dla Andrzeja były jednak pytania o Viriginię Roberts, która była jedną z seksualnych niewolnic Epsteina. Kobieta twierdzi bowiem, że była przez miliardera przymuszona do uprawiania seksu z księciem. Miało do tego dojść trzykrotnie. Dziennikarka BBC drążyła temat domniemanego spotkania księcia Andrzeja z Roberts z 10 marca 2001 r., gdy ta miała 17 lat. Roberts na dowód przedstawiła zdjęcie, na którym rozluźniony książę Andrzej obejmuje ją w pasie. Za nimi widać stojącą w drzwiach uśmiechniętą Ghislaine Maxwell, partnerkę Epsteina, która również jest oskarżana o nakłanianie nieletnich do prostytucji.

Odpowiadając na pytania o domniemane kontakty seksualne z Roberts, książę Andrzej popełnił publiczne harakiri. Twierdził, że nic takiego nie pamięta, a poza tym to niemożliwe, by akurat tego dnia był na imprezie z Roberts, ponieważ po pierwsze nie imprezuje (tuż po wywiadzie brytyjskie media publikowały dziesiątki zdjęć, na których widać imprezującego Andrzeja), a po drugie „w przedziwny sposób" doskonale pamięta, że był tego dnia w pizzerii z rodziną. Książę uśmiechnął się bardzo wymownie słysząc pytanie dziennikarki, jak to możliwe, że tak bardzo zapadła mu w pamięć ta wizyta w pizzerii... Sprawę zdjęcia skomentował natomiast krótko: ani nie da się powiedzieć, że to prawdziwe zdjęcie, ani nie da się udowodnić, że to zmanipulowana fotografia. W całej sprawie uderzające jest to, że książę ani słowem nie wspomniał o ofiarach Epsteina, oraz to, że do końca bronił tej znajomości, twierdząc, że wiele się dzięki niej nauczył (pod kątem biznesowym).

W tak spektakularny sposób przed milionami rodaków książę Andrzej zakończył swoją karierę reprezentanta królowej brytyjskiej. Momentalnie odcięły się od niego wszystkie szacowne stowarzyszenia i instytucje, którym patronował. Wraz z kryzysem wokół księcia pojawiły się też pytania o to, jak to możliwe, że dwór królewski nie dopatrzył się w znajomości z Epsteinem niczego złego, a także o profesjonalizm brytyjskich służb, które zapewniały przecież księciu osłonę podczas jego wizyt zagranicznych. Niewykluczone, że to dopiero początek prawdziwych kłopotów „Jurnego Andrzejka". W specjalnym komunikacie pałac Buckingham napisał o „gotowości księcia do wzięcia udziału i pomocy w śledztwie". O konieczności złożenia przez niego zeznań przed FBI mówią już zupełnie wprost politycy Partii Pracy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

FOT. AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT

Z francuskim księdzem ks. René-Lukiem, autorem książki „Serce pełne Boga”
rozmawia Olivier Bault

Młodzi są najlepszymi apostołami

Nic nie zapowiadało, że ks. René-Luc, francuski kapłan z Montpellier, miasta położonego na południu Francji, zostanie księdzem. W ogóle miało go nie być, gdyż jego matka rozważała aborcję. Była w trakcie rozwodu z ojcem jego dwóch starszych braci, kiedy zaszła w ciążę z innym mężczyzną, z którym się właśnie rozstała. „Moja mama postanowiła dać mi szansę. Zdecydowała się mnie urodzić mimo nacisków ze strony otoczenia” – pisze ks. René-Luc w książce „Serce pełne Boga”, którą właśnie wydało w polskim przekładzie wydawnictwo Esprit. Książka jest opatrzona podtytułem „Historia człowieka porzuconego przez ojca, wychowanego przez gangstera, który po

eprasa.pl 037223689a

latach został kapłanem". Jest to świadectwo człowieka, który w wieku 14 lat, po tym, jak ojczym-gangster popełnił na jego oczach samobójstwo i gdy sam stawał się coraz bardziej podobny do niego, doznał nagłego nawrócenia pod wpływem innego gangstera zaproszonego na spotkanie przez katolików z ruchu Odnowy w Duchu Świętym. Gangstera z Nowego Jorku, który stał się protestanckim pastorem. Był to rok 1980. Dzisiaj ksiądz René-Luc ma szczególną misję. Jest nią ewangelizacja młodzieży. W istocie pomaga młodym w Montpellier ewangelizować innych. Założył w tym celu razem z arcybiskupem Montpellier Pierre'em-Marie Carré pierwszą diecezjalną szkołę ewangelizacyjną.

Ksiądz René-Luc był w Polsce w połowie października. Opowiadał o swojej drodze w katedrze warszawsko-praskiej i w telewizji publicznej. Spotkaliśmy się przy kawie w pierwszym dniu jego pobytu w Warszawie.

OLIVIER BAULT: Czy wspólnoty i ruchy świeckie mogą wskrzesić chrześcijaństwo we Francji?

KS. RENÉ-LUC: Rzeczywiście uważam, że Kościół we Francji przeżywa pewną odnowę dzięki tym świeckim ruchom, a wydaje mi się też, że biskupi są bardzo pozytywnie do nich nastawieni. Wielu młodych ludzi we Francji nie zadowala się niedzielną mszą. Jest mnóstwo grup modlitewnych wśród studentów. Spotykają się w tygodniu, śpiewają pieśni dziękczynne, ksiądz głosi skierowane do nich kazanie, jest czas na adorację i na spowiedź. Znam wielu takich młodych ludzi, którzy są jeszcze studentami albo już pracują. Większość tych grup jest zakładanych przez osoby świeckie, nie przez księży. Nasza szkoła ewangelizacyjna jest też dobrym przykładem pozytywnego nastawienia biskupów do nowych inicjatyw. Biskup Montpellier zgodził się wybudować nowy budynek, abyśmy mogli przyjmować co roku ok. 10 młodych. Na początku trzeba było od czegoś zacząć, więc stwierdziliśmy, że będziemy szkolić co roku, przez rok, 12 młodych ewangelizatorów, tak jak było 12 apostołów. Jednak że Jezus nie chce, abyśmy stawali się zbyt pewni siebie, na razie nigdy nie było ich więcej niż 10. Dzisiaj jest to jedyna taka szkoła diecezjalna we Francji, ale wzbudza ogromne zainteresowanie wśród biskupów. Na spotkaniu Konferencji Episkopatu Francji ubiegłej wiosny 30 biskupów brało udział w warsztatach organizowanych przez naszą szkołę Cap Missio. Część z nich zastanawia się poważnie nad tym, czy nie utworzyć podobnych placówek we własnych diecezjach. Idea leżąca u źródła tej szkoły jest prosta: dzisiaj Kościół potrzebuje ewangelizować młodych. Aby dotrzeć do młodego człowieka, najlepszy jest drugi młody człowiek. Ja mogę mieć pewien charyzmat, kiedy rozmawiam z młodzieżą, ale jestem wciąż traktowany jak ojciec, wujek, nauczyciel. Natomiast gdy 24-latek zaczyna mówić do 20-latka albo 22-latek do 16-, 17-latka, jest całkiem inaczej. To jest to, co ciągle powtarzał nasz drogi Jan Paweł II: młodzi ludzie są najlepszymi apostołami wśród młodzieży.

KS. RENÉ-LUC „SERCE PEŁNE BOGA" ESPRIT 2019

A czy nie należy się obawiać pewnej protestantyzacji Kościoła we Francji?

Ci młodzi ludzie potrafią klęczeć w głębokim skupieniu w momencie Przeistoczenia, a chwilę później podnosić ręce ku niebu ze śpiewem. To nasze pokolenie jest trochę skomplikowane. Nie jesteśmy otwarci, mamy schematy, klapki na oczach. Młodzi ludzie nie mają naszych kompleksów. Mogą czuć się tak samo dobrze na tradycyjnej liturgii w języku łacińskim jak na spotkaniach wspólnoty Emmanuel w Paray-le-Monial. To właśnie charakteryzuje młodzież, a ja nie chcę posługiwać się stereotypami.

Czy we Francji nie obserwuje się jednak w tych środowiskach zaniku praktyki spowiedzi świętej? To byłoby mocnym przejawem protestantyzacji młodego Kościoła francuskiego.

W środowiskach, w których ja się obracam, ludzie korzystają ze spowiedzi. W mojej parafii w Montpellier w każdą środę wieczorem gromadzimy się w grupie ok. 80 studentów. Co drugie spotkanie proponujemy im spowiedź świętą, a ja muszę w tym celu prosić o pomoc księży karmelitów. Każdy ksiądz spowiada ok. 12 młodych ludzi przez 45–60 minut. Tak więc te spowiedzi są liczne. Osobiście obracam się wśród ludzi, którzy się spowiadają. Jest to ważny element ich życia duchowego.

Natomiast odnośnie do kwestii protestantyzacji Kościoła uważam, że nasi bracia protestanci są pomysłowi, gdy chodzi o ewangelizację. W Cap Missio także trochę posiedliśmy tę umiejętność. Jednak pamiętajmy, że aby drzewo miało dużo liści, musi też mieć mocne korzenie. Wierzę właśnie w taką ewangelizację, która zanurza swoje korzenie w liturgii, ale nie boi się otwarcia.

Przykładowo raz w miesiącu w kościele św. Rocha w Montpellier organizujemy wieczorne czuwanie pod nazwą „Światło w nocy" („Une lumière dans la nuit"). Polega to na tym, że otwieramy kościół od godziny 21 do 23 i proponujemy przechodniom, aby weszli do kościoła, by zapalić małą świeczkę i napisać jakąś intencję modlitewną na karteczce, a następnie aby wzięli inną karteczkę, na której widnieją fragmenty Słowa Bożego. W ubiegłą sobotę organizowaliśmy właśnie taki wieczór. Przyszło pewne małżeństwo i zrobiło to, co im zaproponowaliśmy. Gdy mężczyzna wylosował cytat z Biblii, zdziwił się. Jako intencję napisał bowiem: „Dla nas obojga – samego szczęścia", a na karteczce ze Słowem Bożym było napisane zdanie z psalmu: „Pan sam obdarzy szczęściem". Tak często bywa, że Pan Bóg dociera do ludzi poprzez takie proste znaki. Często wchodzą też muzułmanie, czy raczej muzułmanki, bo są to raczej kobiety. Czują się swobodnie, bo nie jest to typowa liturgia katolicka. Jednakże na drugi dzień mamy prawdziwą mszę, „mszę dla miasta". Jest to normalna, katolicka msza z całą liturgią, bez żadnej protestantyzacji. Chcemy w ten sposób dać mieszkańcom do zrozumienia, że to, co przeżyli wieczorem, było może miłe, ale spotkanie z Bogiem nie może ograniczać się do zapalenia świeczki. Działamy powoli, a z czasem ludzie zaczynają przychodzić także na mszę.

Czy, podobnie jak to ksiądz opisuje w książce-świadectwie „Serce pełne Boga", pisząc o sytuacji katolika przyznającego się do Chrystusa w środowisku licealnym, ma dziś do czynienia z wyśmiewaniem albo z innymi formami agresji?

To, co napisałem, wciąż jest prawdziwe. We Francji niełatwo jest młodemu katolikowi publicznie przyznawać się do swojej wiary, zwłaszcza w środowisku gimnazjalnym i licealnym. Natomiast mnie, jako księdza, nie spotkały nigdy żadne przykrości. Ludzie bardzo mnie szanują i nigdy nie byłem wyśmiewany. Z reguły ludzie, których spotykam na swojej drodze, raczej cieszą się, że mają okazję rozmawiać z katolickim księdzem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Agnieszka Niewińska

Saksońskie skarby w rękach złodziei

Włamywaczom z Drezna trudno będzie sprzedać unikatową biżuterię. Eksperci boją się jednak, że złodzieje znajdą sposób, by zarobić na zrabowanych zbiorach

Trzy zestawy XVIII-wiecznej biżuterii wysadzanej dziesiątkami brylantów, rubinów i szmaragdów wynieśli złodzieje ze skarbca zamku w Dreźnie. W galerii nazywanej Zielonym Sklepieniem (od malachitowego koloru ścian) zgromadzono zabytki sztuki jubilerskiej i złotniczej, przedmioty z kości słoniowej, kamienie szlachetne. To największa tego typu kolekcja w Europie.

Wartość skradzionych kosztowności niemiecka policja oszacowała na blisko miliard euro, ale Marion Ackermann, szefowa Państwowych Zbiorów Sztuki w Dreźnie, podkreśliła, że skradzione zbiory są bezcenne ze względu na ich znaczenie kulturowe i historyczne. Nominalnej wartości nie sposób podać, bo eksponatów po prostu nie da się sprzedać na rynku. – Jesteśmy zszokowani zuchwałością tego włamania – dodała Ackermann na konferencji prasowej zorganizowanej kilka godzin po kradzieży.

Z TOPOREM NA GABLOTĘ

Włamywacze byli doskonale przygotowani do swojego skoku. 25 listopada przed godz. 5 rano doprowadzili do pożaru skrzynki transformatorowej w pobliżu zamku w Dreźnie, gdzie znajduje się skarbiec. Spowodowało to odcięcie prądu na zamku i dezaktywację alarmu. Złodzieje weszli do środka przez niewielkie narożne okno – przecięli kratę i wybili szybę. To, jak toporem forsowali gablotę z kosztownościami, zarejestrowały zasilane zewnętrznie kamery monitoringu. Na udostępnionym mediom nagraniu widać dwóch złodziei, ale policja nie wyklucza, że w napadzie brało udział więcej osób.

Przestępcy zabrali zawartość gabloty i zniknęli, zanim na miejscu pojawiła się wezwana przez ochronę policja. Ucieczkę ułatwiło im to, że w pobliżu zamku przebiega autostrada. W tym czasie zdążyli jeszcze zmienić samochód. Policja na podziemnym parkingu znalazła spalone audi. Przypuszcza, że tym autem złodzieje uciekali z miejsca kradzieży. Pojawiły się także informacje, że na parkingu obok spalonych aut przez kilka dni parkował tajemniczy samochód na polskich numerach. Włamywaczy rozpracowuje 20 kryminologów. Mimo to do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" niemieckim śledczym nie udało się namierzyć sprawców.

Drezdeńskie zbiory jubilerskie to magnes przyciągający na zamek rzesze turystów. Liczącą przeszło 3 tys. eksponatów kolekcję, mimo restrykcji co do liczby zwiedzających, rocznie ogląda 2,6 mln turystów. Skarbiec powstał za czasów elektora Saksonii i króla Polski z dynastii saskiej – Augusta II Mocnego. To on zdecydował także o przebudowie skarbca w latach 1723–1729 i umożliwieniu publiczności podziwiania zbiorów.

Kolekcja przetrwała naloty bombowe podczas II wojny światowej w zamku Königstein, padła łupem Armii Czerwonej. Do Drezna wróciła w 1958 r. Zbiory prezentowano w muzeum Albertinum. W 2006 r., po odrestaurowaniu Zielonego Sklepienia, wróciły do drezdeńskiego zamku. Renowacja kosztowała 45 mln euro. Najwyraźniej jednak poskąpiono na środki bezpieczeństwa.

„CZŁOWIEK PAJĄK" I NIESPRAWNY ALARM

O tym, jak ważny jest sprawny system alarmowy, boleśnie przekonało się

eprasa.pl 037223689a

Ekspozycja skarbca Augusta II Mocnego w sali zwanej Zielonym Sklepieniem na zamku w Dreźnie (kwiecień 2019 r.)

FOT. SEBASTIAN KAHNERT/AFP/EAST NEWS

w 2010 r. paryskie Musée d'Art Moderne. Placówka od kilku tygodni czekała na naprawę zabezpieczeń, kiedy wdarł się do niej Vjeran Tomic – złodziej z upodobaniem do wspinaczki, nazwany przez media „człowiekiem pająkiem". Zniszczył on kamery wokół muzeum i wyciął dziurę w oknie, przez którą dostał się do środka. Zamierzał wynieść z muzeum „Martwą naturę ze świecznikami" Fernanda Légera. Jednak kiedy alarm się nie włączył, zabrał jeszcze cztery inne dzieła: „Gołębia z zielonym groszkiem" Pabla Picassa, „Pastorale" Henriego Matisse'a, „Kobietę z wachlarzem" Amadeo Modiglianiego i „Drzewo oliwne w pobliżu Estaque" Georges'a Braque'a. Wartość dzieł policja oszacowała na 104 mln euro.

Rok później Tomic został schwytany. W 2017 r. zapadły wyroki na niego i jego wspólników. „Człowiek pająk" został skazany na osiem lat więzienia, handlarz sztuki Jean-Michel Corvez, który zlecił kradzież obrazu Légera, usłyszał wyrok siedmiu lat więzienia. Na sześć lat sąd skazał Yonathana Birna, zegarmistrza, który przechowywał dzieła po kradzieży. Do dziś ich nie odnaleziono. Birn twierdzi, że ze strachu zniszczył je i wyrzucił, ale według sądu nie ma żadnej pewności, że mówi prawdę.

Brak zabezpieczeń odcisnął piętno także na polskich zbiorach. W 1974 r. pracownicy Muzeum Narodowego w Gdańsku zorientowali się, że obrazy Antona van Dycka „Ukrzyżowanie" oraz Pietera Breughla „Kobieta przenosząca żar" wycięto z ram i zastąpiono marnymi reprodukcjami. Za Breughla robił plakat wycięty z „Przyjaciółki". Obrazów nie odnaleziono do dziś.

Do podobnie zuchwałej kradzieży doszło w 2000 r. w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Zniknął jedyny w polskich zbiorach obraz Claude'a Moneta „Plaża w Pourville". Złodziej wyciął płótno z ramy i zastąpił reprodukcją. Obraz, którego wartość szacuje się na 7 mln dol., znaleziono po 10 latach w Olkuszu. Złodziej – Robert Zwoliński – podał się za studenta ASP chcącego naszkicować obraz znajdujący się w tej samej sali co Monet. Kiedy w sali nikogo z nim nie było, po kawałku wycinał z ramy „Plażę w Pourville". Dopiero po 10 latach udało się dopasować odciski palców zabezpieczone w muzeum do znajdujących się w bazie odcisków Zwolińskiego. Cenne płótno złodziej trzymał w szafie. Twierdził, że jest miłośnikiem Moneta i nie zamierzał go sprzedać. Został skazany na trzy lata więzienia. Obraz do muzeum wrócił uszkodzony, wymagał wielu prac konserwatorskich.

Do kradzieży z bronią w ręku doszło w przypadku dzieła norweskiego ekspresjonisty Edvarda Muncha. W 2004 r. jedną z czterech wersji „Krzyku" (w odcieniu jasnopomarańczowym) zamaskowani złodzieje wynieśli w biały dzień z Muzeum Muncha w Oslo. Sterroryzowali obsługę bronią. Zabrali także „Madonnę" Muncha. Szacowano, że wartość obrazów przekracza 100 mln dol. Dzieła odnaleziono w 2006 r. dzięki informacji od przestępcy sądzonego w innym procesie. Ich sprzedaż na rynku okazała się dla złodziei niemożliwa.

Ukraść dzieło sztuki to jedno. Sprzedać je na rynku to zupełnie co innego. Przekonali się o tym także złodzieje, którzy w 2000 r. wtargnęli do Muzeum Narodowego w Sztokholmie, w którym ukradli autoportret Rembrandta oraz dwa obrazy Auguste'a Renoira – „Rozmowę z ogrodnikiem" i „Paryżankę". Złodzieje nie dość, że uciekali z obrazami łodzią, to jeszcze podłożyli ładunki wybuchowe pod zaparkowane przed muzeum samochody, by opóźnić pościg policji. Ostatecznie wszystkie obrazy zostały odzyskane dzięki międzynarodowej współpracy policji. Rembrandta złodzieje próbowali sprzedać… agentowi FBI.

– Do spektakularnych rabunków dzieł sztuki dochodzi coraz rzadziej w dużej mierze ze względu na to, że kradzież obiektów sztuki wizualnej w dzisiejszych czasach nie ma najmniejszego sensu. Nie sposób ich sprzedać. W dodatku posiadanie takiego obrazu czy rzeźby jest zagrożeniem dla samego złodzieja – mówi Konrad Szukalski, prezes Domu Aukcyjnego „Agra-Art" i członek Stowarzyszenia Antykwariuszy i Marszandów Polskich. – W dobie fotografii cyfrowej nie tylko zbiory muzealne, lecz także te z prywatnych kolekcji, dzieła, które pojawiły się na aukcjach, są dokładnie opisane i sfotografowane. Do informacji na ich temat można łatwo sięgnąć. Jeśli jakieś dzieło zostało skradzione, do marszandów wysyłana jest informacja na ten temat, aukcje śledzi policja. Wyobrażam sobie, że udać mogłaby się co najwyżej kradzież na prywatne zamówienie szalonego kolekcjonera, ale i to raczej nie w przypadku obrazów, tylko raczej starodruków, unikatowych książek, które przechowuje się w zaciszu gabinetu. Chociaż i takie kradzieże prędzej czy później wychodzą na jaw – dodaje Szukalski.

BIŻUTERIA DO PRZETOPIENIA?

Jak będzie w przypadku skradzionych klejnotów z Zielonego Sklepienia. Marion Ackermann podkreśliła, że ze względu na ich unikatowość nie sposób będzie znaleźć na nie kupca. Złodzieje mogą jednak poradzić sobie z problemem inaczej.

– Obrazu nie da się przerobić i sprzedać. Za to biżuterię, obiekty sztuki jubilerskiej można przetopić, kamienie przeszlifować. W efekcie stają się one anonimowe, a złodziej, niszcząc obiekty o historycznej i kulturowej wartości, i tak się wzbogaci, sprzedając złoto czy kamienie po rynkowej cenie – wskazuje Konrad Szukalski.

Arthur Brand, niderlandzki ekspert w dziedzinie odzyskiwania dzieł sztuki, stwierdził już na łamach „Der Spiegel", że po przetopieniu skradzionych w Dreźnie klejnotów złodzieje mogliby je sprzedać za 100, a nawet 200 mln euro. – To wciąż kwota warta kradzieży – przyznał Brand.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

GRETA SZEFOWĄ BBC RADIO 4

Greta Thunberg, która właśnie płynie luksusowym katamaranem z USA do Europy na szczyt klimatyczny, została zaproszona przez BBC Radio 4 do objęcia stanowiska redaktor naczelnej podczas bożonarodzeniowego wydania serwisu „Today". Szesnastoletnia aktywistka ze Szwecji w trakcie audycji ma rozmawiać z gośćmi radia na temat globalnych zmian klimatycznych. Audycję oprócz Grety prowadzić mają też m.in. artysta Grayson Perry, dziennikarz Charles Moore oraz sędzia Sądu Najwyższego Brenda Hale.

WEGETARIAŃSKIE BARBARZYŃSTWO

Ściany uniwersyteckiej stołówki w Cambridge ozdabiała kopia dzieła Fransa Snydera „Targ ptactwa". Na XVII-wiecznym obrazie widać było sprzedawcę i zwierzynę, którą oferował, m.in. dzika, jelenia oraz ptaki łowne. Studenci wegetarianie uznawali, że patrzenie na obraz podczas spożywania ich wolnych od mięsa posiłków obrzydza im jedzenie. Dodawali, że jest niezgodny z wartościami, które wyznają. Władze uczelni obraz usunęły.

FOT. JOE GIDDENS/PA IMAGES/GETTY IMAGES

KONIEC „TŁUSTYCH" POLICJANTÓW

Jak podało Radio Azatłyk, w Turkmenistanie rządzonym przez dyktatora Gurbangułę Berdymuchamedowa trwają testy funkcjonariuszy MSW. Mundurowi otrzymali jasną informację – nie mogą ważyć więcej niż 100 kg. I to nie dlatego, że są wówczas mniej sprawni fizycznie. Po prostu nowy szef resortu „nie lubi tłustych policjantów". Kto nie zbije wagi poniżej 100 kg do 25 grudnia, ten będzie musiał pożegnać się z mundurem.

MINISTER WYŁUDZAŁ ZASIŁKI?

Nadżah Hasan Ali asz-Szammari to minister obrony Iraku. Jest też obywatelem Szwecji od 2015 r. W nowym kraju nie pracował nigdzie na stałe, starał się też o zasiłki z powodu „kłopotów z pamięcią". Według gazety „Aftonbladet" w toczącym się właśnie śledztwie minister wraz z żoną są podejrzani o wyłudzanie zasiłków na dzieci oraz dopłat do czynszów. Minister i żona mieli je otrzymywać w Szwecji w czasie, gdy sami przebywali w Iraku.

NOŻEM ZA FUTRO

Mieszkanka Cleveland została w kościele dwukrotnie pchnięta nożem przez kobietę, która od dawna planowała zabić kogoś noszącego futro. Niejaka Meredith Lowell już kilka lat temu została zatrzymana, gdy na Facebooku szukała kogoś, kto zabije osobę noszącą futro. Zgłosił się do niej agent FBI. Jednak po zatrzymaniu zarzuty wobec niej cofnięto. Rok temu Lowell pobiła kobietę w sklepie. Nie wiadomo, czy jej aktualna ofiara w ogóle była w futro ubrana – być może nosiła sztuczne. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

NOTATNIK MALKONTENTA

Rocznica zaskoczyła rządzących

ŁUKASZ WARZECHA

Jednym z najczęściej powtarzanych w PRL tytułów prasowych był ten, że „zima zaskoczyła drogowców". Ta tradycja przeniosła się zresztą płynnie z PRL do III RP, także w innych dziedzinach. Oto bowiem rząd, który z polityki historycznej zrobił jeden z najważniejszych wątków swojej strategii, został najwyraźniej zaskoczony okrągłą rocznicą Bitwy Warszawskiej 1920 r.

Z kalendarza nie wypadł nam po 2015 r. nie tylko żaden rok, ale nawet miesiąc czy dzień. Od poprzednich wyborów do dziś PiS miał bite cztery lata, mniej więcej 1,5 tys. dni, żeby pomyśleć nad godnym uczczeniem stu lat zwycięstwa nad bolszewikami. Przez ten czas można było zbudować w Ossowie Muzeum Bitwy Warszawskiej – tymczasem, jak dobrze pójdzie, dopiero na początku grudnia zostanie w tej sprawie rozstrzygnięty przetarg. A jeśli muzeum to za wiele, to dawno już można było ogłosić międzynarodowy konkurs na projekt pomnika bitwy, robiąc z tego wielkie wydarzenie.

> **Jeśli uda się z łukiem zdążyć, to pewnie będzie ze styropianu**

Zamiast tego mamy przygotowaną na chybcika deklarację premiera o budowie łuku triumfalnego, jakiś koszmarkowaty projekt wzięty nie wiadomo skąd, a jeśli uda się w ogóle z łukiem zdążyć, to pewnie będzie ze styropianu i zaraz się posypie. Tutaj nie ma usprawiedliwienia.

Jedno natomiast jest pewne: gdyby w 1920 r. planowanie wyglądało tak, jak wygląda teraz w sprawie upamiętnienia bitwy, Sowieci wygraliby z nami z palcem w nosie. ©℗

eprasa.pl 037223689a

PONIEDZIAŁEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy

09:40 Salonik polityczny
11:00 Polityczna kawa
12:15 Gwiazdy w Republice
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - A.Stankowski

19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Tweet UP

21:30 Starcie cywilizacji

22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

WTOREK

07:00 Polska na dzień dobry

07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Starcie cywilizacji
11:15 Dziennikarski poker
12:10 Tweet UP
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji

18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - T.Sakiewicz
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Koniec Systemu

22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia

23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

ŚRODA

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - D.Kania
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...

21:00 Pilnujmy Polski!

21:30 Na pomoc!

22:00 Poland Daily

22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport

22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

CZWARTEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Na pomoc!
10:55 Ekonomia raport
11:25 Dziennikarski poker
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie

18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Oddaję Państwu głos

19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt

20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Otwartym tekstem

22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

PIĄTEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Otwartym tekstem
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy – Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:05 10.04.2010.Fakty
19:25 Rozmowa ściśle jawna

19:45 Magazyn filmowy Piotra Gocka

20:30 Geopolityczny tygiel

21:00 Specjaliści od wszystkiego

21:30 Kulisy manipulacji

SOBOTA

08:00 Polska na dzień dobry. Weekend
09:35 Gwiazdy w Republice

10:00 Podsumowanie polityczne tygodnia

11:00 Kalendarz historyczny
12:15 Kulisy manipulacji
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 Film na sobotę

19:35 Wywiad z chuliganem
20:40 Ocalenie Ojczyzny

21:00 Za siodmą górą

21:20 Koniec systemu
22:00 Poland Daily
22:30 Gry tajnych służb

NIEDZIELA

07:00 Transmisja Mszy Świętej
08:10 Kalendarz historyczny
09:06 7x24

10:06 Studio prasowe

11:00 Salonik polityczny

12:00 Polityczna kawa

17:30 Salonik polityczny
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 7x24
20:10 Polityczna kawa
21:30 Analfabet III RP

22:00 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Wywiad z chuliganem

OGLĄDAJ

REPUBLIKA

Nowości

www.telewizjarepublika.pl

epraso.pl 037222599

Jacek Przybylski

Michael Bloomberg, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, ogłosił, że chce pokonać w wyborach Donalda Trumpa. I chociaż gotów jest wydać na ten cel ogromne pieniądze, to historia pokazuje, że nie wystarczy być miliarderem, aby zdobyć władzę

Pojedynek miliarderów

Ubiegam się o fotel prezydenta, aby pokonać Donalda Trumpa i odbudować Amerykę. Nie możemy sobie pozwolić na cztery kolejne lata lekkomyślnych i nieetycznych zachowań jego jako prezydenta – ogłosił 77-letni Michael Bloomberg, były burmistrz Nowego Jorku i twórca agencji informacyjnej, która swą nazwę zaczerpnęła od jego nazwiska.

Potencjalny kandydat Partii Demokratycznej w przyszłorocznych wyborach prezydenckich to zdecydowanie najgroźniejszy rywal prezydenta Trumpa. I najbogatszy polityk walczący o Biały Dom nie tylko w tych wyborach, lecz także w całej historii Stanów Zjednoczonych.

Jego fortuna według magazynu „Forbes" wyceniana jest na ok. 55 mld dol. (miliard w tę, miliard w tamtą, w zależności od dnia), czyli w przeliczeniu nieco ponad 215 mld zł. Jak wyobrazić sobie taki majątek? To mniej więcej tyle, ile w zeszłym roku były warte wszystkie banknoty i monety będące w obiegu w Polsce (poza kasami banków). Niecałe 200 mld wart jest też wieloletni program modernizacji polskich sił zbrojnych (do 2026 r.).

Bloomberg, znajdujący się w czołówce nie tylko najbogatszych Amerykanów, lecz

eprasa.pl 037223689a

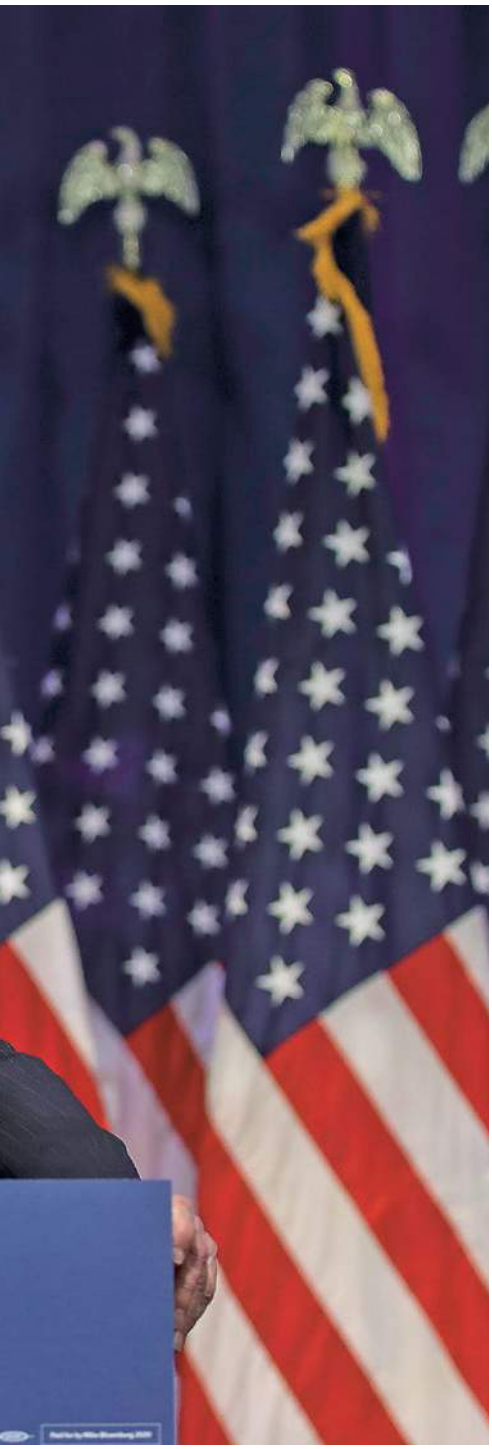

FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

także najzamożniejszych mieszkańców globu, może więc bez większego trudu kupić praktycznie wszystko, co ktokolwiek na tym świecie chciałby sprzedać. Co więcej, na tak gigantyczną fortunę sam sobie zapracował.

PODWÓJNE STANDARDY

Oczywiście Donald Trump również nie należy do biedaków. Jego fortuna jest jednak aż 17 razy mniejsza niż Bloomberga. Obecny prezydent ma za to prężny sztab, który sprawnie zbiera pieniądze na kampanię wyborczą.

Bloomberg – w przeciwieństwie do swoich konkurentów – nie zamierza zbierać żadnych datków. Ani od maluczkich, ani od kolegów miliarderów, którzy po jego ewentualnej wygranej mogliby bez większych skrupułów poprosić o coś w zamian. – Jego nie można kupić – ogłosił dumnie Howard Wolfson, główny doradca nowego zawodnika w wyścigu do Białego Domu.

Nie wszyscy Amerykanie są jednak przekonani, że pomysł, aby jeden miliarder wydawał fortunę, aby zapewnić sobie miejsce w Białym Domu, aby zastąpić innego miliardera, ma dużo wspólnego z demokracją. Wątpliwości, także po lewicowej stronie barykady, budzi również arogancki styl, w jakim Michael Bloomberg dołączył do prezydenckiego wyścigu. Gdy tylko oficjalnie ogłosił rozpoczęcie kampanii przedwyborczej, wykupił reklamy w telewizji za 31 mln dol., automatycznie przechodząc do historii jako pierwszy kandydat w amerykańskiej historii, który wydał tak wielkie pieniądze na polityczne reklamówki w ciągu zaledwie jednego tygodnia.

Były burmistrz Nowego Jorku zapowiedział już, że zamierza wydać na reklamy 150 mln dol., w tym ponad 100 mln dol. na reklamy w Internecie, atakujące prezydenta Donalda Trumpa.

Magnat mediowy – nie zważając na ewentualne straty wizerunkowe i finansowe – ogłosił również publicznie, że do przedwyborczej walki zamierza wykorzystać m.in. opłacanych przez siebie reporterów. Ponad 2,7 tys. dziennikarzy w 120 krajach zatrudnionych w agencji Bloomberg otrzymało już notatkę od swego redaktora naczelnego, w której wprost zakazuje im się tworzenia materiałów śledczych związanych z kampanią przedwyborczą Michaela Bloomberga. Na czarnej liście tematów znalazły się też materiały śledcze dotyczące innych potencjalnych kandydatów Partii Demokratycznej. Teoretycznie ma to służyć niezależności agencji. Dziennikarze Bloomberga mają jednak jednocześnie wziąć się do szukania brudów na Donalda Trumpa i jego ludzi. Dopuszczalne ma być też cytowanie innych mediów informujących o sukcesach kampanii Michaela Bloomberga.

„Michael Bloomberg, kandydat na prezydenta, właśnie zabił Agencję Prasową Bloomberg" – tak działania magnata prasowego ocenił magazyn „Rolling Stone". Biznesowo-polityczną cenzurę prewencyjną skrytykował nawet główny lewicowy brytyjski dziennik „The Guardian", zwracając uwagę, że miliarder zrobił tym samym wielki prezent Donaldowi Trumpowi, który od wielu miesięcy konsekwentnie wskazuje, że oszukańcze mainstreamowe media robią, co mogą, aby wykurzyć go z Białego Domu. Taka polityka medialna świetnie obrazuje również znaną nie tylko w Ameryce „troskę" lewicy o „stan demokracji" i wolność mediów w danym kraju.

Michael Bloomberg nie ukrywa, że – przynajmniej na razie – nie chce mu się chodzić od domu do domu w stanach, gdzie odbywają się pierwsze prawybory, rozmawiać z wyborcami czy brać udział w przedwyborczych debatach z pozostałymi kandydatami. Bloomberg odpuszcza sobie więc prawyborczą walkę w Iowa, New Hampshire, Nevadzie czy Karolinie Południowej, gdzie wygrywają ci kandydaci, którzy potrafią porwać lokalne społeczności i zarazić wyborców swoim entuzjazmem.

Zamiast tego miliarder próbuje sprawdzić, ile pieniędzy trzeba wydać, aby zapewnić sobie wysoką pozycję w partyjnych prawyborach bez tego całego politykowania. I wejść do gry dopiero przed marcowym superwtorkiem, czyli dniem, gdy prawybory odbywają się jednocześnie w 14 stanach. Taka strategia budzi oczywiście protesty pozostałych kandydatów Partii Demokratycznej – zwłaszcza takich socjalistów jak Elizabeth Warren czy Bernie Sanders. Sanders oskarżył Bloomberga o próbę przechytrzenia amerykańskiego procesu politycznego, a Warren wprost o to, że Bloomberg „próbuje kupić sobie wygraną w wyborach". – On robi zakłady dotyczące demokracji w roku 2020, nie potrzebuje ludzi, potrzebuje jedynie kolejnych worków pieniędzy – podkreśliła Warren. Dla wielu lewicowych mieszkańców USA kandydatura Bloomberga, typowego przedstawiciela plutokracji, jest symbolem tego, jak skorumpowany stał się amerykański proces polityczny, więc choć miliarder zaczął kampanię z finansowym przytupem, to na razie trudno uznać go za lidera tego wyścigu.

Pod koniec listopada w tłumie kandydatów do prezydenckiej nominacji Partii Demokratycznej prym wiódł jeszcze były wiceprezydent Joe Biden (to właśnie jemu kandydatura Bloomberga może odebrać

eprasa.pl 037223689a

najwięcej głosów), przed Sandersem oraz Warren. Obietnice Bloomberga – takie jak podwyższenie podatków dla najbogatszych, ograniczenie dostępu do broni, walka o klimat, wsparcie dla gejów, lesbijek i innych mniejszości seksualnych oraz bezpłatna opieka zdrowotna na wysokim poziomie, dostępna dla każdego Amerykanina – mogą ostatecznie podbić serca liberalnych wyborców i zagwarantować mu zwycięstwo w walce o prezydencką nominację Partii Demokratycznej.

Zwłaszcza że wspomniany doradca Howard Wolfson zapowiedział, iż jego szef jest gotów wydać „tyle, ile trzeba, aby pokonać Donalda Trumpa", a to może być kluczowy argument dla amerykańskich liberałów, dla których wykurzenie z Białego Domu jego obecnego gospodarza mogłoby być w zasadzie jedynym punktem wyborczego programu. Wprawdzie Bloomberg ma wielkie pieniądze i przekonuje, że tylko on może pozbyć się „egzystencjalnego zagrożenia dla Ameryki" (czyt. Donalda Trumpa), to nie budzi jednak na razie wystarczającego entuzjazmu, aby w kluczowym starciu mógł pokonać obecnego prezydenta.

Problem miliardera polega na tym, że choć sam uważa się za kandydata dobrego dla wszystkich, to komukolwiek trudno byłoby się z nim identyfikować. Niewykluczone więc, że w przyszłym roku Michael Bloomberg przegra walkę o nominację, a nawet jeśli ją wygra, to w listopadowym starciu z Donaldem Trumpem podzieli los przegranej Hillary Clinton.

POKONANI MILIONERZY

Gdyby tak się stało, były burmistrz Nowego Jorku dołączyłby do długiej listy ambitnych bogaczy, którzy mimo wydanych milionów nigdy nie spełnili swego marzenia o przeprowadzce do Białego Domu.

W tym gronie znalazł się choćby zmarły w lipcu obecnego roku ekscentryczny miliarder Ross Perot, który mimo fortuny szacowanej na 3,5 mld dol. dwukrotnie przegrał wyścig o prezydenturę. Gdy jako kandydat niezależny wystartował w wyborach w 1992 r., wydał na kampanię ponad 60 mln dol. W zamian dostał jednak tylko 19 proc. głosów, choć przyznać trzeba, że był to rekord poparcia dla kandydata, którego nie popierała żadna z dwóch głównych partii. Próbę zdobycia Białego Domu powtórzył w roku 1996. Tym razem startował jako kandydat założonej przez siebie Partii Reform. Dostał tylko 8 proc. głosów i określony mianem Don Kichota amerykańskiej polityki wycofał się z dalszych prób. Podczas wyborów w roku 2012 poparł innego bogacza i kandydata Partii Republikańskiej Mitta Romneya. Na Romneya podczas kampanii wyborczej spadła fala krytyki za to, że choć w ciągu zaledwie dwóch lat zarobił 42 mln dol., to dzięki różnym sztuczkom księgowym zapłacił jedynie 14 proc. podatków, podczas gdy przeciętny Amerykanin oddaje fiskusowi mniej więcej jedną trzecią swojego dochodu. Romney – który mógł być najbogatszym prezydentem Stanów Zjednoczonych – ostatecznie przegrał starcie z Barackiem Obamą.

Donald Trump, który z sukcesem walkę o prezydenturę zakończył w 2016 r., z osobistym majątkiem wycenianym na 3,1 mld dol. ledwo łapie się do pierwszej dwudziestki najbogatszych rządzących świata

Milionerzy przegrywają czasem też walkę o niższe stanowiska. Ogromne pieniądze i doświadczenie na szczytach biznesowego świata w Dolinie Krzemowej na nic zdały się np. Meg Whitman, byłej prezesce Hewlett Packarda. Chociaż na kampanię wyborczą wydała aż ponad 178 mln dol., w tym 144 mln z własnej kieszeni, to i tak w 2011 r. przegrała walkę o urząd gubernatora w Kalifornii.

W Rosji bezskutecznie o władzę próbował walczyć m.in. 53-letni obecnie miliarder Michaił Prochorow. Biznesmen, playboy, showman, celebryta i jeden z najbogatszych Rosjan, którego fortuna szacowana jest na ok. 10 mld dol., na początku obecnej dekady próbował zaangażować się w partię Słuszna Sprawa, aby potem rzucić wyzwanie Władimirowi Putinowi. W wyborach prezydenckich w 2012 r. zajął trzecie miejsce na pięciu kandydatów. I chociaż otrzymał zaledwie 8 proc. głosów, to ponoć nie porzucił marzeń o zdobyciu Kremla i budowie nowej Rosji „bez korupcji, pijaństwa i złodziejstwa". Sił w polityce, w tym budowy nowej partii z Michaiłem Gorbaczowem, próbował też Aleksander Lebiediew, którego majątek wyceniany jest przez „Forbesa" na 1,1 mld dol. Ani Lebiediew, ani Prochorow nie mieli jednak szans pokonać Putina. Majątek obecnego „cara" Rosji szacuje się na ok. 70 mld dol., co czyni go obecnie najbogatszym władcą świata.

NAJBOGATSI U WŁADZY

Donald Trump, który z sukcesem walkę o prezydenturę zakończył w 2016 r., z osobistym majątkiem wycenianym na 3,1 mld dol. ledwo łapie się do pierwszej dwudziestki wśród najbogatszych rządzących świata.

Dużo większą fortuną szczyci się Silvio Berlusconi, który premierem Włoch został dzięki pomocy kontrolowanych przez siebie mediów. Magnat medialny stanowisko szefa rządu obejmował aż cztery razy. A gdy po licznych skandalach seksualnych utracił większość w parlamencie i musiał podać się do dymisji, w 2013 r. z sukcesem zakończył start do Senatu. Mandat ten stracił, gdy przegrał sprawę o przestępstwa podatkowe. W tym roku polityk zdobył mandat deputowanego do Parlamentu Europejskiego, a jego rodzinny majątek szacowany jest na ok. 7 mld dol. Berlusconi jest więc bogatszy od księcia Liechtensteinu Hansa-Adama II (najbogatszy monarcha w Europie ma majątek wyceniany na ok. 4 mld dol.)

Polityką z sukcesem zajmował się również jeden z najbogatszych Chińczyków Zong Qinghou. Azjatycki król artykułów spożywczych, którego fortuna szacowana jest na 8,3 mld dol., z powodzeniem startował w wyborach do Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych.

W gronie najbogatszych rządzących dominują jednak władcy bliskowschodni. Prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich i władca Abu Zabi, szejk Chalifa bin Zayed al-Nahyan, może pochwalić się fortuną wycenianą na 15 mld dol. Majątkiem wartym 20 mld dol. dysponuje zaś dziedzic panującej od ponad pół tysiąca lat muzułmańskiej dynastii Brunei, sułtan Hassanal Bolkiah. Przy Putinie i Bloombergu sułtan – w którego pałacu jest ponoć niemal 1,8 tys. komnat – i tak robi wrażenie stosunkowo ubogiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

PRENUMERATA 2020 w cenie 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
ANDRZEJ FLONT
„GRA CIENI"

~~731~~ ZŁ **280,00** ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ – 451 ZŁ

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA „DO RZECZY" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

DO RZECZY

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
PAWEŁ LISICKI
„EPOKA ANTYCHRYSTA"

~~335~~ ZŁ **135,00** ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ – 200 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 037223689a

Rockefeller w Watykanie

Jakub Wozinski

Papież Franciszek lubi kreować się na bezkompromisowego krytyka wielkiego biznesu, lecz w praktyce jego program społeczny bardzo współgra z dążeniami najbardziej wpływowych środowisk finansowych. Patronują one wielu kontrowersyjnym działaniom obecnego papieża i wspierają je

FOT. EVANDRO INETTI/ZUMA PRESS/FORUM

Pierwsza książka Franciszka, stanowiąca w istocie zbiór przemówień i homilii, nosiła znamienny tytuł „Chciałbym Kościoła ubogiego i dla ubogich". Im dłużej jednak trwa obecny pontyfikat, tym bardziej można dojść do wniosku, że papież z Argentyny najmocniej zaangażował się w działania, które wzbudzają poklask wielkich korporacji oraz banków. Franciszek bardzo chętnie posługuje się wprawdzie retoryką zatroskania o los biednych, wykluczonych i uchodźców, a co roku w Światowy Dzień Ubogich zjada nawet obiad w towarzystwie 1,5 tys. ubogich, lecz w praktyce zaangażował się w programy społeczne forsowane przez wielki biznes.

Z ROCKEFELLEREM O ŻYWNOŚCI

Świadczy o tym chociażby zorganizowana w Watykanie w dniach 11–12 listopada konferencja „Redukcja marnowania żywności i odpadów". Kuriozalny był już sam temat spotkania, który nie ma żadnego związku z nauką katolicką, lecz jeszcze większe kontrowersje powinno było wzbudzić to, że konferencję zorganizowano wspólnie z Fundacją Rockefellera. W czasie pontyfikatu Franciszka tego typu wydarzenia stały się jednak normą. Walcząca na co dzień z tzw. homofobią oraz promująca kontrolę urodzin fundacja, założona przez najbogatszego biznesmena XX w., uznała spotkanie w Watykanie za niezwykle owocne. Forsowany już od dłuższego czasu program walki z marnowaniem żywności stanowi jeden z głównych elementów tzw. programu zrównoważonego rozwoju, zakładającego coraz ściślejszą kontrolę gospodarki i społeczeństwa w imię ratowania planety i ludzkości. Wielki biznes, w tym sponsorzy Fundacji Rockefellera, jest zainteresowany walką z marnowaniem żywności, gdyż wedle promowanych przez ONZ-owskie agendy wytycznych globalny program przeciwdziałania marnotrawstwu stwarzałby wiele szans na dobry zarobek. W programach organizacji promujących zrównoważony rozwój znaleźć można m.in. informacje o potrzebie budowania specjalnych sortowni w pobliżu farm i gospodarstw, do których trafiałyby cała niezużyta żywność oraz odpady z okolicy.

Środowiska promujące agendę zrównoważonego rozwoju przyjęły także z radością rezultat obrad niedawnego synodu amazońskiego. Zapowiadając od

eprasa.pl 037223689a

wielu miesięcy jego organizację, papież Franciszek apelował o to, aby „ocalić Amazonię od wielkiego biznesu i chciwości". Zamiast walki z wielkim biznesem Watykan po raz kolejny potwierdził swoje gorące poparcie dla globalistycznych idei, jakże bliskich wpływowym środowiskom biznesowym. 28 października część ojców synodalnych wraz z członkami Papieskiej Akademii Nauk oraz przedstawicielami Organizacji Narodów Zjednoczonych podpisała wspólnie deklarację na rzecz „stworzenia efektywnych rozwiązań dla zrównoważonego rozwoju w rejonie Amazonii".

Taki rezultat obrad kontrowersyjnego synodu zadowolił bez wątpienia Fundację Forda, która była jednym ze sponsorów Rady Misyjnej ds. Indian oraz Panamazońskiej Sieci Kościelnej (REPAM). Organizacja ta miała spory wpływ na przebieg ostatniego spotkania biskupów. Dziennikarzom udało się ustalić, że od 2010 r. Fundacja Forda przekazała REPAM aż 739 tys. dol., lecz pomimo ujawnienia tych niepokojących danych Stolica Apostolska nie poczuła się zobowiązana do złożenia żadnych wyjaśnień. Te zaś byłyby jak najbardziej na miejscu, zważywszy na to, że Fundacja Forda angażuje się na co dzień w projekty mające niewiele wspólnego z nauczaniem Kościoła, takie jak choćby wspieranie ideologii gender czy skrajnego feminizmu.

JEFFREY SACHS W ASYŻU

Najnowszym projektem realizowanym w duchu idei zrównoważonego rozwoju jest tzw. ekonomia Franciszka. W marcu przyszłego roku w Asyżu ma się odbyć międzynarodowe spotkanie poświęcone niezwykle enigmatycznie brzmiącej koncepcji promującej „sprawiedliwą", opartą na „współpracy i pokoju" całkowicie „nową ekonomię". Uwagę zwraca przede wszystkim to, że w materiałach mających na celu przybliżenie szczegółów ekonomii Franciszka na ogół ciężko znaleźć jakiekolwiek odniesienie do Boga. W promocję „przełomowego wydarzenia" zaangażowana została za to tak kontrowersyjna postać jak choćby Jeffrey Sachs, w Polsce znany jako współtwórca „terapii szokowej", który stale współpracuje z potężnymi finansistami (m.in. w 2005 r. otrzymał 50 mln dol. od George'a na swój projekt Wiosek Milenijnych w Afryce). Wypowiadając się w entuzjastyczny sposób na temat „ludzkiego braterstwa", Franciszek przekonuje, że spotkanie w Asyżu pomoże stworzyć „Globalny Pakt Edukacyjny", umożliwiający zawarcie przymierza między narodami i przedstawicielami różnych religii.

Warto dodać, że ekonomia Franciszka wzbudza zainteresowanie wielu nietypowych środowisk. Jednym z partnerów przeprowadzonej 17 listopada w Warszawie debaty pt. „Ekonomia Franciszka: odpowiedź na kryzys klimatyczny", oprócz Światowego Ruchu Katolików na rzecz Ochrony Środowiska, była Fundacja Konrada Adenauera.

Swego czasu wiele kontrowersji wzbudziła także wizyta sekretarza stanu, kard. Pietro Parolina, na spotkaniu grupy Bilderberg w Turynie w 2018 r. Gościło na nim m.in. kilkudziesięciu właścicieli i prezesów globalnych firm, a hierarcha, pytany o swoją obecność w tym gronie, przekonywał, że chciał przedstawić zebranym społeczną naukę Kościoła. Jeśli jednak przyjrzeć się działaniom Stolicy Apostolskiej w ostatnim czasie, wówczas można odnieść wręcz przeciwne wrażenie – to papież i popierający go hierarchowie korzystają z języka i pojęć, które do tej pory można było usłyszeć z ust finansowego i politycznego establishmentu spotykającego się m.in. w ramach grupy Bilderberg.

Wbrew temu, co głosi obecny papież, wielki biznes nie jest dziś (i zapewne nigdy nie był) zainteresowany wolnością gospodarczą ani uczciwą konkurencją. Historycznie rzecz biorąc, wielkie fortuny wyrastały na ogół dzięki politycznym koneksjom. Forsowany od jakiegoś czasu program zrównoważonego rozwoju oraz walki z globalnym ociepleniem stanowi w istocie nową formułę służącą wielkiemu biznesowi do zarobienia ogromnych pieniędzy. Przyłączając się więc do walki o wprowadzenie wszechobecnych norm, limitów i ograniczeń, usprawiedliwianych chęcią ratowania planety i ludzkości, Franciszek sprzyja tak naprawdę interesom wielkich i potężnych.

WSPÓLNY JĘZYK

Widać to doskonale na przykładzie polityki migracyjnej, w której zakresie obecny papież popiera bezwarunkowe otwieranie granic. Dokładnie do tego samego rozwiązania dążą jednak najbardziej wpływowe organizacje i fundacje sponsorowane przez miliarderów: Fundacja Gatesów, Fundacja Społeczeństwa Otwartego Sorosa, Fundacja Forda, Fundacja Carnegie – by wymienić tylko kilka największych z USA. Wielki biznes potrzebuje stale nowej i taniej siły roboczej, dlatego postawa papieża jest mu jak najbardziej na rękę.

Wcielając się w rolę naczelnego bojownika walki z ociepleniem klimatu, papież Franciszek gościł także w czerwcu ubiegłego roku w Watykanie ok. 40 przedstawicieli instytucji finansowych oraz firm zajmujących się wydobyciem ropy naftowej. Obecny był m.in. szef największego na świecie funduszu inwestycyjnego BlackRock, Larry Fink. Media relacjonowały później, że Franciszek bezceremonialnie grzmiał na swoich gości, wzywając do powstrzymania nadciągającej katastrofy. Ów przekaz może budzić jednak co najmniej wątpliwości, zważywszy na to, że najbardziej wpływowe środowiska biznesowe nie walczą w żaden sposób z ideą zrównoważonego rozwoju czy z ideą walki z globalnym ociepleniem, lecz przeciwnie – wspierają je.

Prostą konsekwencją realizowania przez Franciszka programu społeczno-gospodarczego współgrającego z dążeniami wielkiego biznesu jest niestety sięganie po retorykę walki z wykluczeniem społecznym. Uwagę niemal wszystkich światowych mediów zwróciła niedawno wypowiedź papieża w czasie międzynarodowej konferencji na temat prawa, w której czasie przyrównał tzw. homofobicznych polityków do Hitlera. Z niezrozumiałych powodów obecny papież nie chce dostrzec tego, że współcześnie najbardziej aktywnymi promotorami ruchów LGBT są wielkie międzynarodowe korporacje, co siłą rzeczy stawia go w jednym rzędzie nie z ubogimi – wzorem św. Franciszka z Asyżu – lecz diametralnie innymi środowiskami.

Z tego właśnie powodu świat wielkich pieniędzy i korporacji nie walczy z forsowaną przez Franciszka agendą. W ostatnich miesiącach światowa prasa z uznaniem wypowiada się na temat jego poczynań, chwaląc zmiany, których dokonuje w Kościele. Swego czasu Franciszek określił niepohamowany kapitalizm mianem łajna szatana, lecz chyba jeszcze nigdy w historii urzędujący papież nie posługiwał się językiem tak łudząco przypominającym hasła głoszone przez wielki biznes.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Imigrancka wolnopolka

W 2017 r. najwięcej imigrantów zarobkowych ze wszystkich państw na świecie przyjęła… Polska – tak wynika z najnowszego raportu OECD. Precyzyjnie rzecz ujmując: na czele listy krajów goszczących najwięcej cudzoziemskich pracowników okresowych w 2017 r. stanęły nie gigantyczne Stany Zjednoczone, nie znacznie większe i bogatsze od nas Niemcy, nie jakikolwiek inny kraj na którymkolwiek z kontynentów, lecz właśnie Polska. To do nas przyjechało wówczas za pracą aż 1,1 mln obcokrajowców na okres krótszy niż 12 miesięcy, co dało nam miejsce przed USA z blisko 700 tys. przybyszów i Niemcami z ponad 400 tys. cudzoziemców.

Na ile ta już nie masowa, lecz wręcz hipermasowa migracja do Polski – która przecież nie ustała w 2017 r., lecz trwała i w 2018, i w 2019 r., i zapewne będzie trwać nadal – odbywała się pod dyktando polskiej polityki imigracyjnej, czyli zgodnie z naszym interesem narodowym, nie warto nawet pytać, bo dobrze wiadomo, że Polska takiej polityki w ogóle nie prowadzi. Ba, władze RP do tej pory nie pokusiły się nawet o sformułowanie jej zasad, a przecież byłoby to ze wszech miar potrzebne.

Nie od dziś bowiem wiadomo, że Polska wymiera i na gwałt „potrzebuje ludzi". Nie od dziś wiadomo, że w 2100 r. ma nas, Polaków, w Polsce być zaledwie 21 mln, a i to w wariancie średnim, a nie najgorszym. I to Polaków głównie starych, wymagających emerytur i opieki, a nie młodych, rządzących na rynku pracy. A jako że polityka prodemograficzna polskich rządów nie przynosi pozytywnych rezultatów, czyli nie skutkuje znaczącym wzrostem liczby rodzących się Polaków, nadto bez większych efektów idzie akcja odzyskiwania polskich emigrantów, ba – wciąż więcej Polaków wyjeżdża, niż wraca – i w dodatku lekkomyślnie obniżono wiek emerytalny, pozwalając wcześniej uciekać z rynku pracy setkom tysięcy Polaków, to nie ma chyba innej drogi do utrzymania gospodarki jak ratowanie się imigrantami.

Wszelako państwo nieteoretyczne czyni to w ten sposób, że jasno określa, ludzi o jakich kwalifikacjach, ilu i z jakich kręgów kulturowych zamierza u siebie gościć, krótko lub dłużej, oraz jak zamierza ich asymilować, a potem stara się ten plan realizować. A państwo teoretyczne biernie czeka na imigrantów, którzy przybywają lub są sprowadzani przez firmy, i tylko kwituje ich wjazd, a potem pobyt na swoim terytorium. I tak właśnie dzieje się „od zawsze" w przypadku Polski – to już nie imigrancka wolnoamerykanka, lecz wolnopolka.

Czym to się skończy, jeśli tempo niczym nieregulowanego napływu imigrantów utrzyma się na dotychczasowym poziomie, łatwo sobie wyobrazić – wystarczy rozejrzeć się po krajach, które są w takim procesie bezkrytycznego przyjmowania cudzoziemców bardziej od nas zaawansowane. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Bank centralny a emerytury

Europejski Bank Centralny prowadzi program skupu obligacji (czyli długów opakowanych w papiery wartościowe), przy czym nie chodzi o obligacje rządowe, które zwykle kupują banki centralne, ale o obligacje przedsiębiorstw. Ponadto podstawowa stopa procentowa EBC wynosi –0,5 proc., czyli jest ujemna.

Podczas gdy wiele banków centralnych zaczęło stosować politykę ujemnych stóp procentowych i/lub skupu obligacji na dużą skalę, Narodowy Bank Polski pozostał w grupie banków konserwatywnych, utrzymuje dodatnie stopy procentowe i nie prowadzi żadnego programu skupu aktywów. To zrozumiałe, bo nie było na razie ważnego powodu, żeby sięgać po te narzędzia, polska gospodarka rosła w solidnym tempie, dwuletni okres deflacji zakończył się w 2016 r. i od tamtej pory inflacja znajduje się relatywnie blisko celu NBP.

Jednak na horyzoncie widać wyzwania, które mogą znacząco skomplikować spokojne życie Rady Polityki Pieniężnej. Te wyzwania to możliwe globalne spowolnienie lub nawet recesja oraz stopniowo narastający kryzys systemu emerytalnego i ochrony zdrowia, związany ze starzeniem się społeczeństwa i z niskim wskaźnikiem urodzeń. Pierwsze wyzwanie może zmaterializować się szybko i nieoczekiwanie, szczególnie gdy przyjmie formę kolejnego kryzysu finansowego. Pytanie, czy wówczas RPP obniży stopy procentowe i zacznie program skupu obligacji, obniżając w ten sposób oprocentowanie kredytów dla przedsiębiorstw i wspierając, przynajmniej na krótko, wzrost gospodarczy.

Kryzys emerytalny zaś wymaga przygotowania długofalowego działania. Najłatwiejszym sposobem rozwiązania problemu głodowych emerytur jest podwyższenie wieku emerytalnego, ale Polacy nie będą głosować na partię, która to proponuje. Dlatego prędzej czy później pojawią się rozwiązania, które sięgną po makroekonomiczną kreatywną księgowość. Tak jak w 2009 r., gdy zamiast znowelizować budżet, rząd kazał ZUS zaciągnąć kredyt w bankach, a budżet obniżył dotację do ZUS. W ten sposób sztucznie obniżono deficyt budżetowy i uniknięto nowelizacji. Po 10 latach to rozwiązanie ciągle jest w użyciu. Dlatego jestem prawie pewien, że jednym z takich rozwiązań, zgodnych z praktyką działania EBC, będzie kupno przez NBP specjalnych obligacji emerytalnych. A jeżeli do tego wniosku dojdą w kilku krajach, to NBP i inne banki centralne mogą kupować te obligacje w wielu państwach, księgując zakupy jako rezerwy dewizowe.

W odróżnieniu od polityki EBC, która napędza spekulacje giełdowe i zwiększa rozwarstwienie społeczne, kupno obligacji emerytalnych przez banki centralne będzie niwelowało ubóstwo pokolenia seniorów. Oczywiście będzie to możliwe tylko wtedy, gdy inflacja pozostanie bardzo niska. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 037223689a

GAJOS SEWERYN
NIERADKIEWICZ MALEŃCZUK STENKA STRAMOWSKI
JAK UKRAŚĆ 850 MILIONÓW
SOLID GOLD
FILM JACKA BROMSKIEGO
AKSON STUDIO FILMOTEKA NARODOWA – INSTYTUT AUDIOWIZUALNY GDYŃSKI FUNDUSZ FILMOWY GDYŃSKIE CENTRUM FILMOWE PRZY WSPÓŁFINANSOWANIU POLSKIEGO INSTYTUTU SZTUKI FILMOWEJ PRZEDSTAWIAJĄ FILM SOLID GOLD
W ROLACH GŁÓWNYCH JANUSZ GAJOS ANDRZEJ SEWERYN MARTA NIERADKIEWICZ OLGIERD ŁUKASZEWICZ DANUTA STENKA PIOTR STRAMOWSKI ANDRZEJ KONOPKA MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ MACIEJ MALEŃCZUK
REŻYSERIA CASTINGU EWA BRODZKA ZDJĘCIA MARIUSZ WYSOCKI TOMASZ DUKSZTA CHARAKTERYZACJA LILIANA GAŁĄZKA KOSTIUMY EWA GRONOWSKA SCENOGRAFIA ANNA WUNDERLICH DEKORACJE WNĘTRZ AGATA PRZYBYŁ MUZYKA LUDEK DRIZHAL MONTAŻ KRZYSZTOF SZPETMAŃSKI
KIEROWNIK PRODUKCJI MAGDALENA BADURA PRODUKCJA WYKONAWCZA MAŁGORZATA FOGEL-GABRYŚ PRODUKTORY MICHAŁ KWIECIŃSKI CZŁONKOWIE ARKADIUSZ TOMIAK PSC SCENARIUSZ I REŻYSERIA JACEK BROMSKI
AKSON STUDIO FINA GDYNIA KINO ŚWIAT
W KINACH OD 29 LISTOPADA

DO RZECZY Przegląd WIZAZ VIVA!pl party BIERHALLE BROWAR - RESTAURACJA DEMOTYWATORY.PL
eprasa.pl 037223689a

TEST „DO RZECZY": SENNHEISER IE 80S BT

Rewelacyjna jakość dźwięku, możliwość bezprzewodowego połączenia ze smartfonem/komputerem za pomocą Bluetooth 5.0 oraz szybkość i łatwość dostępu do wirtualnych asystentów, takich jak Siri czy Google Assistant – to największe zalety najnowszych słuchawek dousznych niemieckiej firmy Sennheiser.

Dzięki minimalistycznemu designowi słuchawki wyglądają estetycznie i nowocześnie. Tworzywo sztuczne, z którego zrobiony jest pałąk na szyję, nie robi jednak wrażenia produktu klasy premium. Przeciwnie: na pierwszy rzut oka można by sądzić, że sprzęt jest kilkukrotnie tańszy niż w rzeczywistości. Lepiej zaprojektowane mogłyby też być przyciski na pałąku, które – zwłaszcza początkowo – są stosunkowo trudne do wymacania. Na szczęście same słuchawki są już wykonane porządnie, a pałąk można odłączyć.

Po stronie plusów można też zapisać dodawany w zestawie pokrowiec, a także nowoczesne gniazdo do ładowania USB typu C. Bez wątpienia najważniejszą zaletą testowanego modelu jest jednak dźwięk. A ten, zwłaszcza biorąc pod uwagę rozmiar ważących zaledwie ok. 30 g dousznych „pchełek", jest zaskakująco dobry. Producent mówi wręcz o audiofilskiej jakości dźwięku, którą zapewniać mają obsługa kodeków hi-res, w tym LHDC, aptX HD i AAC, oraz wysokiej klasy przetwornik cyfrowo-analogowy AKM. I chociaż przymiotnik „audiofilski" rzadko idzie w parze z połączeniem bezprzewodowym, to trzeba przyznać, że model wyposażony w mocne neodymowe magnesy i 10-milimetrowe przetworniki oferuje czyste, pełne detali i ciepłe brzmienie. Dół jest mocny i daje fajnego kopa perkusji czy gitarom basowym (powinien się szczególnie spodobać fanom rocka, hip-hopu, popu czy muzyki elektronicznej), środkowe pasmo jest ciepłe i czyste, dzięki czemu można odnieść wrażenie, że wyjątkowo wyraźnie słyszy się w piosenkach poszczególne słowa, głęboka góra dodaje zaś instrumentom takim jak trąbka więcej wyrazistości i ekspresyjności.

Na pochwałę zasługuje też przestronna scena dźwiękowa. Nagrania z koncertów brzmią tak, jakbyśmy sami skakali gdzieś na stadionie. Dobrze słychać także zmiany położenia instrumentów. Brzmienie, np. poziom basów, można łatwo dostosować do własnych preferencji za pomocą korektora w aplikacji Sennheiser Smart Control.

IE 80S BT pozwalają też prowadzić rozmowy telefoniczne, podczas których wykorzystywane są mikrofony z technologią redukcji szumów. Jakość rozmów przez te słuchawki jest znakomita. Testowany model dzięki przyciskowi na pałąku pozwala też na szybki dostęp do wirtualnych asystentów, takich jak Siri czy Google Assistant.

Słuchawki przyzwoicie sprawdzają się też jako narzędzie do pasywnego tłumienia hałasu zewnętrznego. Szkoda jednak, że za tak duże pieniądze IE 80S BT nie oferują technologii aktywnej redukcji szumu. Minusem jest również zbyt krótki maksymalny czas pracy słuchawek na jednym ładowaniu, który w teorii wynosi sześć godzin, a w praktycznym teście zaledwie nieco ponad pięć godzin. Wadą jest także wysoka cena: 2099 zł. ©℗

Jacek Przybylski

OGRZEWANE RĘKAWICZKI

Jedni mówią, że zima będzie w tym roku najłagodniejsza od 30 lat. Inni mówią, że będzie tak sroga, jakiej nie było od 30 lat. Tak czy siak, kiedy temperatura spada poniżej 5 st. C, a już się to zdarzyło, ręce marzną. Można więc pomyśleć o Candle – ogrzewających rękawiczkach. Nazwa wskazuje na świece i na podobnych zasadach działa gadżet, tyle że zamiast płomienia świecy wykorzystywana jest bateria.

Rękawice Candle rozgrzewają się do 49 st. C i są odporne na niskie temperatury, wodoodporne, można też nimi obsługiwać ekrany dotykowe, są rozciągliwe i oddychające, a na jednym ładowaniu bateria działa ok. sześciu godzin. Cały mechanizm działania polega na rozgrzaniu, za pomocą baterii umieszczonej w materiale, grzałki z włókna węglowego – przy czym gadżet można ustawić do trzech różnych poziomów nagrzania.

Cena: ok. 380 zł, zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w styczniu przyszłego roku. Raczej dla miłośników sportów zimowych, w warunkach podbiegunowych.

JEDNORĘCZNY TALERZ

„Nie czytaj przy jedzeniu, bo książkę poplamisz" – znacie to? Słyszałem to w dzieciństwie wiele razy. Zwłaszcza przy obiedzie był problem – odłożyć książkę, pokroić kotlet, znów wziąć książkę do ręki i można jeść. No i doczekałem się na starość. Jest talerz, który rozwiązuje problem – umożliwia krojenie potraw, przy użyciu tylko jednej ręki.

Onehandplate może być naczyniem rzeczywiście użytecznym dla osób z ograniczoną sprawnością ruchową kończyn górnych. Cudów nie ma, a właściwie są, ale sprowadzają się do zmyślnie umieszczonych na talerzu – w różnych miejscach – cylindrycznych wypustek. Ich rozlokowanie nie jest przypadkowe – pozwala bowiem na ulokowanie między nimi potraw o różnych kształtach: od kotleta czy kiełbaski do ziemniaka lub skibki chleba. A dalej już – pokrojenie ich przy użyciu tylko jednej ręki – łapka z widelcem odpada. Łatwiej? Łatwiej. Niby nic, ale właśnie takie proste przedmioty ułatwiają życie ludziom, którzy z różnych powodów ruchowo są mniej sprawni. Wysokie brzegi talerza pozwalają też na nabranie na widelec – bez pomocy noża potraw, które mają to do siebie, że lubią się po półmisku ślizgać – groszku czy innych piekielnie okrągłych warzyw.

Talerz kosztuje ok. 150 zł, zamawiać można go na portalu Kickstarter, a dostawa w marcu przyszłego roku. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 037223689a

PRENUMERATA 2020 w cenie 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
ADAM HIGGINBOTHAM
„O PÓŁNOCY W CZARNOBYLU"

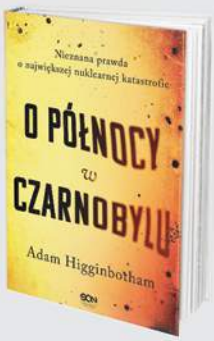

~~629~~ZŁ **241,00**ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ – 388ZŁ

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
MONIKA BARTOSZEWICZ
„FESTUNG EUROPA"

~~330~~ZŁ **134,00**ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ – 196ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 037223689a

Reklama kufrów Louis Vuitton z 1927 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Najsłynniejszy monogram mody

Joanna Bojańczyk

LV – te dwie literki znają nawet ci, którzy nie interesują się modą. Louis Vuitton pozostaje jednym z największych symboli francuskiego luksusu – takim, którego nie zdołały zniweczyć tysiące podróbek

W rodzinie Vuittonów męscy potomkowie jako drugie imię otrzymują zawsze Louis, tak jak założyciel rodu i słynnej marki. To już tradycja. Praprawnuk protoplasty, Patrick Louis Vuitton, piąte pokolenie, zmarł na zawał serca 5 listopada w Paryżu w wieku 68 lat. Przez całe życie związany był z rodzinną firmą. Zaczynał w niej w roku 1973 jako stolarz, potem obejmował coraz ważniejsze funkcje. Ostatnio nadzorował dział kufrów.

Cztery lata temu spotkałam się z nim w Asnières pod Paryżem, gdzie znajduje się również fabryka. Było to z okazji otwarcia pierwszego w Polsce sklepu Louis Vuitton. Monsieur Vuitton nie był specjalnie wylewny – postępował zgodnie z tzw. polityką korporacyjną firmy, która nie przewiduje odpowiedzi na trudniejsze pytania, służąc głównie wychwalaniu własnej firmy. Pro domo sua, nic dziwnego...

O otwarciu sklepu w Warszawie spekulowano jeszcze w latach 90., a gdy to nastąpiło w roku 2015, zapanowała ekscytacja, tak jakby stolica dostąpiła wielkiego zaszczytu. W Alejach Jerozolimskich stanął ogromny kufer reklamowy. Zastanawiano się, co za magnetyzm jest w tej marce, do niedawna nieobecnej na naszym rynku, ale znanej wszystkim, nawet tym, którzy nie interesują się modą. Marce, która jest jednym z największych symboli francuskiego luksusu, elegancji, mody. Symbolem, którego nie zdołały zniweczyć tysiące podróbek, bo nie ukrywajmy, bezkarnie chodzą one stadami po polskich ulicach, nawet teraz, kiedy mamy dostęp do legalnego produktu. Cóż – ceny oryginału są raczej zaporowe.

Z PROWINCJI DO PARYŻA

Dzisiaj Louis Vuitton to pokazy mody i paryski glamour. Jednak przez dziesięciolecia była to tylko firma kaletnicza zaopatrująca europejską socjetę w luksusowe kufry i walizy.

Wszystko zaczęło się w roku 1835, gdy 14-letni syn cieśli, Louis Vuitton, wyruszył spod szwajcarskiej granicy pieszo do Paryża. Nie widział dla siebie szans w ubogim miasteczku regionu Jury, chciał szukać szczęścia w stolicy. Z płócienną torbą na ramieniu przez dwa lata przebył 400 km. Efekt uboczny – pracując u napotkanych po drodze rzemieślników, zdobył zawód pakowacza kufrarza. Umiejętność pakowania kufrów była bardzo ceniona. Podróżowano konno, z dobrodziejstwem inwentarza – pościelą, ubraniami, sprzętem kuchennym.

Jednak na horyzoncie były zmiany: powozy zaczynały ustępować miejsca pociągom, samochodom i parowcom. Świat przyspieszał. Młody Ludwik czujnie obserwował zmiany i wyciągał wnioski.

Postanowił sam zacząć produkować bagaże na nowe czasy. Lżejsze, mniejsze, bardziej płaskie, z zabezpieczonymi krawędziami, tak aby można je ustawiać

eprasa.pl 037223689a

jeden na drugim. Obite szarym płótnem o nazwie Trianon. Nowością jest okrągła miękka torba, która ma służyć jako podręczny bagaż w dłuższej drodze. Vuitton zdobywa klientów, którzy cenią jego umiejętności. Zamówienie waliz dla cesarzowej Eugenii otwiera wszystkie drzwi utalentowanemu 30-latkowie.

W 1854 r. Vuitton zakłada własną firmę. Zamówienia napływają jedne po drugich. Otwarcie Kanału Sueskiego wyzwala gwałtowną chęć podróżowania. Zwiedzać świat chcą już nie tylko Europejczycy, lecz także wschodni maharadżowie, sułtani i paszowie. Wszyscy chcą walizek i kufrów Vuittona – eleganckich, arystokratycznych, luksusowych, takich, z jakimi jeździ wyższa sfera z Europy. Za chwilę elegancki Hollywood stanie się wizytówką prestiżu firmy. Pod koniec XIX w. Vuitton otwiera sklepy w Londynie i Nowym Jorku.

MARADONA I GORBACZOW

Firma staje się międzynarodowa i rozwija się świetnie... Jeden tylko problem spędza właścicielom sen z powiek – podróbki. Były już wtedy. Żeby im zapobiec, kolejny Vuitton, Georges, postanawia opatentować wzór szachownicy, opatrzony napisem „Louis Vuitton marka zastrzeżona".

– Po raz pierwszy na torbie pojawiło się określenie „marka zastrzeżona" – powiedział mi Patrick Louis Vuitton.

Pomaga niewiele. I wtedy Vuitton wpada na pomysł opatentowania wzoru LV z rozetkami i splecionymi literkami. Rodzi się najsłynniejszy monogram mody. Jednak aż do lat 50. XX w. używany jest tylko na sztywnych kufrach. Dopiero wtedy Claude Vuitton opracowuje technologię, która pozwalała używać go także w miękkich torbach i portfelach.

W latach 60. i 70. torebki LV są rekwizytem eleganckich i zamożnych Francuzek. Moda na nie nie nabrała jeszcze wtedy międzynarodowego rozmachu, nie powstały sieciówki, luksusowe europejskie domy mody należały do swoich założycieli, nie do międzynarodowych korporacji.

Sytuacja zmienia się w latach 80. Po kryzysie naftowym produkcja konfekcji i galanterii przenosi się do Azji. Żeby sprzedać masowy towar, trzeba go intensywnie reklamować. Zaczyna funkcjonować system mody marketingowej. Ogromne budżety, gwiazdy, celebryci. Reklamy LV wchodzą na pierwsze strony luksusowych magazynów. Prestiż marki potwierdzają osoby ze świata popkultury, które udzielają jej swojego wizerunku. Francis Ford Coppola i jego córka Sophia, tenisiści Steffi Graff i Andre Agassi, piłkarze Maradona i Pele, tancerz Baryszników, a nawet Michaił Gorbaczow. Były Madonna, Scarlett Johansson, Catherine Deneuve i Angelina Jolie.

Ameryka przeżywa boom giełdowy: rosną fortuny, bogate kobiety potrzebują symboli statusu.

W 1987 r. rodzinna firma Louis Vuitton zostaje wcielona do koncernu LVMH – Louis Vuitton Moët Hennessy. Rozpoczyna się ekspansja międzynarodowa marki. Lata 90., kiedy kult logo zawładnął światem, są prawdziwym boomem. Ambicją eleganckiej kobiety na każdym kontynencie staje się torebka z monogramem LV. Otwierają się butiki w Nowym Jorku, Tokio, Szanghaju. Szczególny kult dwóch literek panuje w Japonii. Przed sklepem na Polach Elizejskich w Paryżu od otwarcia do zamknięcia wije się kolejka. Ponad 70 proc. Japończyków ma w swojej garderobie co najmniej jeden produkt tej marki. – Lubią szczególnie torebki z przegródkami – wyjaśniał Patrick Vuitton.

Louis Vuitton nie produkuje w Chinach, nie sprzedaje swoich wyrobów w sklepach multibrandowych ani na lotniskach, nigdy nie robi przecen

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W 1989 r. właściciele koncernu postanawiają, że marka jest wprawdzie zasłużona, jednak brakuje jej tego, co stanowi o współczesnym sukcesie – czegoś nieoczekiwanego, świeżego, szalonego. Na stanowisku dyrektora artystycznego menedżerowie LVMH postanawiają zatrudnić amerykańskiego projektanta o wywrotowym temperamencie – Marca Jacobsa. Do luksusu ma Jacobs stosunek mało nabożny – szacowne monogramy zostają zbryzgane kolorami, stają się tłem dla graffiti i wzoru moro. Klientką LV od tej pory będzie już nie tylko zamożna dama w futrze z norek, lecz także młoda (i bogata) entuzjastka mody. Vuitton podejmuje współpracę ze współczesnymi artystami: Richardem Prince'em i Stephenem Sprouse'em. Najsłynniejsza była kolekcja Japończyka Takashi Murakamiego, który pomalował monogramy na kolorowo, wrzucił między nie czerwone wisienki i muchomora Chibi Kinoko. Dzisiaj torebki Murakami vintage na aukcjach osiągają ceny kilku tysięcy dolarów.

MARKA BEZ PRZECEN

Podróbki – tego tematu nie można pominąć, pisząc o Louis Vuitton. Firma ma 10 zakładów we Francji, dwa w Hiszpanii i jeden w Stanach Zjednoczonych. Nie produkuje w Chinach, nie sprzedaje swoich wyrobów w sklepach multibrandowych ani na lotniskach, nigdy nie robi przecen. Wyroby LV znajdują się wyłącznie w sklepach firmowych. Jest ich dzisiaj ponad 500. Mimo środków ostrożności, akcji policji i ceł tysiące lepszych i gorszych podróbek widać na ulicach miast całego świata.

Na koniec akcent osobisty: w roku 1931 r. mój prapradziadek, francuski inżynier André Citroën, założyciel fabryki samochodów, przedsięwziął wielką podróż, tzw. Żółtą Wyprawę, która miała promować markę Citroën. Dotarli do Chin przez Indie, Afganistan, Persję, Syrię. Ekspedycję wspierały rząd francuski i brytyjski oraz towarzystwo National Geographic Society. Przygotowania trwały trzy lata, sama podróż prawie rok. Pradziadkowi towarzyszyły oczywiście kufry Louis Vuitton, zaprojektowane specjalnie do samochodu – Vuittonowie od zawsze byli pasjonatami motoryzacji. Odkupione od rodziny, znajdują się obecnie w archiwach firmy. Jednak jedna z waliz została w rodzinie. Mój paryski kuzyn Bernard Citroën wykopał ją z głębin pawlacza. Skórzany kufer z mosiężnymi zamkami, z żółtej gładkiej skóry, bez logo, po 80 latach miewa się całkiem dobrze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

debata DO RZECZY

Uczestnicy i prowadzący debatę „Do Rzeczy". Od lewej: Piotr Gabryel, dr Andrzej Śliwczyński, prof. Leszek Czupryniak, Anna Śliwińska, Katarzyna Pinkosz, Beata Stepanow, Marta Pawłowska, prof. Piotr Jankowski, dr Roman Topór-Mądry

FOT. IWO JABŁOŃSKI

Chronić serce w cukrzycy

Katarzyna Pinkosz

Jedna z dwóch grup leków, które zmieniły leczenie cukrzycy typu 2, jest już w Polsce refundowana dla części pacjentów. Jak wpłynie to na ich leczenie i czy zapobiegnie najpoważniejszym powikłaniom: zawałom serca, udarom mózgu, postępom niewydolności serca?

Raport na temat cukrzycy, opublikowany w numerze 48 „Do Rzeczy", nie pozostawia złudzeń: liczba chorych na cukrzycę rośnie, a więc rośnie też liczba powikłań (zawał serca, udar mózgu, niewydolność serca, uszkodzenie nerek, wzroku, zespół stopy cukrzycowej). Dlatego zarówno diabetologów, jak i kardiologów cieszy refundacja od 1 listopada 2019 r. flozyn, jednej z dwóch grup nowoczesnych leków przeciwcukrzycowych. – Obniżają poziom glukozy we krwi, wywołując cukromocz. Najważniejsze jest jednak to, że te leki u osób z uszkodzonym układem krążenia zmniejszają ryzyko zgonu o 30–40 proc. w ciągu trzech–czterech lat. Do końca jeszcze nie wiemy, jakie mechanizmy za to odpowiadają, jest to intensywnie badane. Te leki hamują też postęp przewlekłej choroby nerek – podkreślał prof. Leszek Czupryniak, kierujący Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM, podczas debaty na temat powikłań sercowo-naczyniowych cukrzycy, która odbyła się w „Do Rzeczy".

Profesor Piotr Jankowski z Instytutu Kardiologii i Uniwersytetu Jagiellońskiego potwierdził, że cukrzyca jest bardzo poważnym problemem kardiologicznym, gdyż kilka razy zwiększa ryzyko zawału, niewydolności serca oraz zgonu z przyczyn sercowo-naczyniowych. – U ok. 40 proc. pacjentów po zawale stwierdza się cukrzycę, a jeśli weźmiemy pod uwagę także pacjentów mających tzw. stan przedcukrzycowy, czyli zaburzenia gospodarki węglowodanowej, to ma je dwie trzecie osób, które miały zawał serca – mówił prof. Jankowski. Zwrócił również uwagę, że objawy zawału serca u chorego na cukrzycę często są mniej typowe: nie musi pojawić się charakterystyczny ból, uczucie pieczenia, gniecenia za mostkiem promieniujące do żuchwy czy lewego barku. Objawami może być tylko np. uczucie duszności, dławienie. – Powoduje to opóźnienie w wezwaniu karetki pogotowia, trudności z rozpoznaniem zawału. Leczenie jest rozpoczynane później, przez co gorsze jest rokowanie pacjentów – zaznaczył prof. Jankowski.

DLA KOGO RECEPTA ZE ZNIŻKĄ

Od listopada refundowane są trzy leki z grupy flozyn: empagliflozyna, kanagliflozyna i dapagliflozyna, jednak receptę z 30-procentową odpłatnością może na razie dostać tylko część pacjentów z cukrzycą typu 2. – To pacjenci po zawale serca, udarze mózgu, z niewydolnością serca lub inną chorobą kardiologiczną albo dużym ryzykiem jej pojawienia się, u których pomimo przyjmowania dwóch leków doustnych cukrzyca nie jest dobrze wyrównana. Podanie flozyn odsunie w czasie konieczność stosowania insuliny, a przy okazji zmniejszy ryzyko sercowo-naczyniowe – tłumaczył prof. Czupryniak.

Ocenia on, że w kryteriach refundacyjnych uwzględniono grupę pacjentów,

eprasa.pl 037223689a

która odniesie największą korzyść z podawania właśnie flozyn.

– Cieszymy się z decyzji podjętej przez wiceministra Miłkowskiego, stało się to po wielu rozmowach zarówno z firmami, jak i z ekspertami. Oczywiście chcielibyśmy, żeby np. chorzy po zawale serca czy po angioplastyce wieńcowej dostawali flozyny bezpłatnie, gdyż ratują im one życie; zapewne z czasem refundacja się rozszerzy. Jednak cieszymy się z tego, co mamy: 1 listopada 2019 r. to ważny dzień dla leczenia cukrzycy w Polsce – podkreślił prof. Czupryniak. – Podzielam entuzjazm z powodu zwiększenia dostępności flozyn, tym bardziej że ich działanie nie wiąże się tylko z wpływem na stężenie glukozy we krwi. Te leki obniżają ciśnienie tętnicze, zmniejszają liczbę zaostrzeń niewydolności serca i hospitalizacji z tego powodu. A każda hospitalizacja z tego powodu wiąże się z gorszym rokowaniem – zaznaczył prof. Jankowski.

TO SIĘ OPŁACA

Flozyny (podobnie jak druga grupa nowoczesnych leków przeciwcukrzycowych, czyli analogi GLP-1) zostały pozytywnie ocenione przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. – Nowe technologie oceniamy pod względem ich efektywności klinicznej, kosztowej i wpływu na budżet. W przypadku flozyn wartością dodaną jest redukcja ryzyka sercowo-naczyniowego, szczególnie w grupach osób obciążonych ryzykiem, zmniejszenie liczby hospitalizacji, ryzyka ponownego incydentu sercowo-naczyniowego, ryzyka zgonu – mówił dr Roman Topór-Mądry, prezes AOTMiT.

Wydatków na refundację flozyn, zdaniem dr. Andrzeja Śliwczyńskiego, zastępcy dyrektora Departamentu Świadczeń Opieki Zdrowotnej NFZ, nie można traktować jako koszt, lecz jako inwestycję. – Cieszę się, że zaczynamy finansowanie tych leków i możemy dzięki nim zarówno leczyć cukrzycę, jak i zmniejszyć ryzyko chorób krążenia. Nie traktujemy wydatków, które ponosimy na leczenie, jako kosztów, mamy jednak określony budżet, w którego granicach musimy się poruszać. Wszystkie pieniądze, które mamy w NFZ, są na leczenie Polaków i wszystkie wydajemy. Inwestujemy w zakresie naszych możliwości, zgodnie z decyzjami ministra zdrowia, który jest kreatorem polityki zdrowotnej – mówił dr Śliwczyński.

Decyzje refundacyjne ucieszyły środowiska pacjentów, które walczyły o nie od lat. – Pacjenci doceniają, że problem cukrzycy staje się coraz bardziej widoczny: przez wiele lat mieliśmy wrażenie, że cukrzyca typu 2 jest obszarem zaniedbanym, latami nie można się było doprosić jakichkolwiek zmian. Ta zmiana wreszcie nastąpiła, dlatego jest to przełom. Chociaż u pacjentów widać też pewną nutę żalu, że refundacja obejmuje tylko część chorych, a nie wszystkich, którzy mają wskazania medyczne – zaznaczała Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków.

Według europejskiego, amerykańskiego, a także Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego nowoczesne leki przeciwcukrzycowe (flozyny lub inkretyny) powinny być stosowane dużo wcześniej: u wszystkich chorych na cukrzycę typu 2, którzy przeszli zawał serca, udar mózgu, mają niewydolność serca (lub wysokie ryzyko tych chorób), o ile stosowanie metforminy nie jest wystarczające. Według zaleceń powinien być to drugi lek przeciwcukrzycowy. – Flozyny na pewno warto stosować szerzej. Do naszej kliniki są przyjmowani pacjenci przyjmujący insulinę i mający wysokie poziomy cukru. Dieta plus flozyny często powodują, że można u nich czasem odstawić stosowanie insuliny lub zmniejszyć jej dawkę – dodaje prof. Czupryniak.

Zalecenia Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego, przedstawione we wrześniu tego roku w Paryżu, idą jeszcze dalej: według nich flozyny warto stosować już od początku leczenia. – Kardiolodzy ze szczególnym zainteresowaniem analizują wyniki badań, które wskazują na poprawę rokowania dzięki zastosowaniu flozyn już od początku leczenia cukrzycy. Naturalne jest podkreślenie w wytycznych wniosków płynących z tych badań i zalecenie rozpoczynania leczenia od grupy leków, która poprawia rokowanie – mówi prof. Jankowski.

POTRZEBNE... PRAWO JAZDY

W cukrzycy ważne są nie tylko leki, lecz także przestrzeganie diety, dbanie o aktywność fizyczną i dobre wyedukowanie chorego. – Wynik poziomu glikemii nie świadczy tylko o tym, co osoba chora na cukrzycę zjadła, jakiego podjęła się wysiłku fizycznego, lecz także o tym, czy towarzyszy jej permanentny stres, czy nie boryka się chociażby z bezsennością, depresją, czy korzysta z terapii „szytej dla niej na miarę". Sztuka pracy z pacjentem przewlekle chorym wymaga umiejętności edukacyjnych i komunikacyjnych, aby po wyjściu z gabinetu wiedział, jak ma postępować, i stosował się do zaleceń – mówiła Beata Stepanow, prezes Stowarzyszenia Edukacji Diabetologicznej, podkreślając, że edukacja musi być prowadzona na każdym etapie choroby. Może to robić pielęgniarka diabetologiczna, edukator do spraw diabetologii. – Leki i edukacja w cukrzycy to jak samochód i prawo jazdy. Co nam po prawie jazdy, jeśli nie mamy samochodu, i co nam po samochodzie, jeśli nie mamy prawa jazdy?

Edukacja w cukrzycy jest dużo bardziej potrzebna niż w innych chorobach – zaznaczyła Anna Śliwińska.

Równie ważne jest podejmowanie działań, by zatrzymać wzrost zachorowań. Z niedawno przedstawionego przez prof. Tomasza Zdrojewskiego raportu na temat cukrzycy wynika, że w Polsce co roku liczba chorych na cukrzycę rośnie o 3,7 proc. Dzisiaj choruje już 3 mln Polaków; jeśli tendencja się nie zmieni, to za 10 lat w Polsce będzie już 4,5–5 mln chorych. System ochrony zdrowia nie poradzi sobie z kosztami leczenia takiej grupy, nawet w przypadku znacznego wzrostu wydatków na zdrowie. – Dlatego albo wprowadzimy odpowiedzialną profilaktykę, albo będziemy mieć wciąż rosnące koszty leczenia i malejące poczucie wpływu na własne zdrowie. A przecież jest odwrotnie: według stale aktualnego modelu determinantów zdrowia Marca Lalonde'a ponad 55 proc. zdrowia człowieka jest w jego rękach. Musimy o tym pamiętać, inaczej każde kolejne pokolenie będzie bardziej chore, a na opiekę zdrowotną będziemy wydawać znacznie więcej niż teraz. Jako NFZ już zaczęliśmy edukować Polaków w kwestii cukrzycy, w 2020 r. nasze działania ruszą pełną parą. Będziemy współpracować z organizacjami pacjenckimi, jesteśmy otwarci na wszelkie projekty, chcemy tworzyć wspólne akcje samorządowe, NFZ, organizacji pacjentów. Musimy zacząć mówić jednym głosem – twierdzi Marta Pawłowska, wicedyrektor Biura Profilaktyki NFZ.

Wszyscy eksperci obecni na debacie zgodzili się, że aby skutecznie zapobiegać powikłaniom cukrzycy, konieczne jest w jak największym stopniu jej zapobieganie, a także edukacja pacjentów i dobre leczenie.

eprasa.pl 037223689a

PROF. LESZEK CZUPRYNIAK, Klinika Diabetologii i Nadciśnienia Tętniczego, Warszawski Uniwersytet Medyczny

Popieram lekcje zdrowia w szkole, gdyż bez zmian w stylu życia niewiele się zmieni. Cukrzycę trzeba wcześniej wykrywać, gdy nie doszło jeszcze do uszkodzenia układu sercowo-naczyniowego, i tak leczyć pacjenta, żeby miał takie poziomy cukru we krwi jak osoba zdrowa. Problem polega jednak na tym, że „cukrzyca nie boli", dlatego chory często nie ma motywacji do leczenia. Gdy lekarz stawia diagnozę, dla wielu pacjentów jest to szokiem. Mija jednak miesiąc, dwa, chory przyjmuje tabletki i widzi, że nic złego się nie dzieje. Uznaje, że „jakoś to będzie". Często dopiero gdy pojawiają się duże powikłania, dostrzega, jak poważną chorobą jest cukrzyca. Dla osób, które już chorują i mają powikłania lub są nimi zagrożone, niezbędne są skuteczne leki.

PROF. PIOTR JANKOWSKI, Instytut Kardiologii, Uniwersytet Jagielloński

Działania wielokierunkowe są konieczne, by zmniejszyć liczbę powikłań sercowo-naczyniowych. Po pierwsze, należy wprowadzić podatek od zawartości cukru w produktach żywnościowych. Po drugie, konieczna jest szeroka edukacja od pierwszych lat szkolnych, a nawet od przedszkola. Od dawna kardiolodzy postulują wprowadzenie w szkole przedmiotu wiedza o zdrowiu; mamy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości postulat ten zostanie spełniony. Konieczna jest też edukacja chorych: powinniśmy stworzyć system, w którym odpowiednio przygotowani pielęgniarka, edukator czy asystent zdrowia przejmą ciężar edukacji pacjentów z cukrzycą, ale też chorych po zawale serca czy z niewydolnością serca. Pacjenci, którzy już mają cukrzycę i jej powikłania, powinni mieć dostęp do skutecznych i nowoczesnych terapii, które zapobiegają progresji chorób serca i naczyń oraz wydłużają życie.

DR ANDRZEJ ŚLIWCZYŃSKI, zastępca dyrektora Departamentu Świadczeń Zdrowotnych NFZ

Skuteczny system powinien zawierać trzy elementy. Po pierwsze, edukację, jak zapobiegać chorobie oraz jak z nią żyć, jeśli już wystąpi. Drugi element to zalecenia terapeutyczne i dbanie o to, by pacjenci ich przestrzegali. Trzeci: stworzenie systemu pozwalającego na przekazywanie informacji pacjentowi o chorobie oraz informacji pomiędzy lekarzami różnych specjalności o pacjencie: na co choruje i jakie leki przyjmuje.

DR ROMAN TOPÓR-MĄDRY, prezes AOTMiT

Jestem wielkim zwolennikiem promocji zdrowia i edukacji, jednak muszą one być bardzo dobrze oraz szczegółowo opisane, dobrze by było, żeby były podparte dowodami naukowymi. Musimy mieć pewność, że nakłady na edukację przyniosą korzyści i efekty. Jest wiele programów profilaktycznych, m.in. samorządowych, chcemy promować najlepsze, skuteczne rozwiązania.

MARTA PAWŁOWSKA, zastępca dyrektora Biura Profilaktyki NFZ

Konieczna jest skuteczna i sprawna, powszechna profilaktyka, edukacja zdrowych i chorych – takie działania chcemy prowadzić jako NFZ. Od kilku miesięcy na portalu diety.nfz.gov.pl udostępniamy nieodpłatnie plany żywieniowe, opracowane przez najlepszych specjalistów, zgodnie z dietą DASH, zalecaną zarówno przez diabetologów, jak i kardiologów oraz uznawaną za najlepiej przebadaną dietę świata. W oddziałach wojewódzkich NFZ organizujemy „Środy z profilaktyką", podczas których można zasięgnąć porad oraz bezpłatnie wykonać wiele badań. W 2020 r. tych działań będzie jeszcze więcej – także w bliskiej współpracy z organizacjami pacjenckimi i ekspertami. NFZ będzie promować profilaktykę i edukację, ale być może będą też potrzebne tzw. rozwiązania siłowe, czyli wprowadzenie podatku cukrowego, by także w ten sposób przekonać Polaków do dokonywania zdrowych wyborów. Zależy nam, by zdrowsze wybory były łatwiejsze.

ANNA ŚLIWIŃSKA, prezes ZG Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków

Większość pacjentów nie jest świadoma groźnych konsekwencji cukrzycy. Cukrzyca jest chorobą specyficzną: edukacja odgrywa w niej znacznie większą rolę niż w przypadku innych chorób. Jeśli chodzi o refundację, to wraz z całym środowiskiem będziemy się starać, by była ona rozszerzona na kolejne grupy pacjentów. W diabetologii takich sytuacji jest sporo, dotyczą one nie tylko flozyn, lecz także długodziałających analogów insulin w cukrzycy typu 2 czy nowoczesnych technologii, które są refundowane dla chorych na cukrzycę typu 1 tylko do 18. lub 26. roku życia.

BEATA STEPANOW, prezes Stowarzyszenia Edukacji Diabetologicznej

Cukrzyca to współczesny „koń trojański", którego często sami zapraszamy do domu, prowadząc określony styl życia. Ten „koń trojański" powoduje spustoszenie w organizmie. Niestety, wiedza o chorobie jest niewielka, nawet wśród samych chorych i ich rodzin. Gdy zapytaliśmy 370 osób, członków rodzin pacjentów z cukrzycą typu 2, czy wiedzą, jaki jest poziom glukozy na czczo u osoby zdrowej, 96 proc. odpowiedziało, że tak, ale... nikt nie podał prawidłowego wyniku! Pomimo że są w grupie ryzyka, niewiele wiedzą o rozpoznaniu cukrzycy. Dlatego tak ważną rolę odgrywa edukator ds. diabetologii. Drugim problemem jest to, że personel medyczny często nie ma umiejętności edukacyjnych ani komunikacyjnych. Wyzwaniem jest nauczenie personelu, jak rozmawiać z pacjentem, ale i nauka rodziny, jak się komunikować, gdy bliska osoba boryka się z cukrzycą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 037223689a

Fanatyczna nazistka

Vera Wohlauf była przykładem fanatycznej nazistki, która dzięki statusowi żony oficera SS zaspokajała swoje sadystyczne popędy, a nawet brała udział w zbrodniczych działaniach tej organizacji. Dzięki nieprzewidywalnemu charakterowi wcieliła w życie ideały nazistów, którzy zachęcali żony esesmanów do towarzyszenia mężom podczas służby na terenach okupowanych na Wschodzie. Najwyraźniej chciała na własne oczy zobaczyć „podrzędnych rasowo" *Untermenschen* (podludzi) i podziwiać, jak jej mąż organizuje ich „przesiedlenie" – tym eufemizmem określano wówczas eksterminację. Być może jednak mąż sam zabrał ją kiedyś ze sobą na Wschód, aby zrobić na niej wrażenie. Z pewnością nie potrzebowała specjalnych zachęt, by nadużywać tego przywileju. Szybko stała się aktywną uczestniczką prześladowań, choć jej obecność miała szkodliwy wpływ na towarzyszących jej mężczyzn.

Kilku członków 101. Batalionu Policji kapitana Juliusa Wohlaufa głośno wyraziło swoją dezaprobatę na widok jego ciężarnej żony, która o poranku 25 sierpnia 1942 roku w wojskowym płaszczu i czapeczce wdrapała się na przedni fotel ciężarówki. Właśnie wyruszali na *Aktion* – mieli dostarczyć polskich Żydów z getta w Międzyrzecu Podlaskim do pociągów zamierzających do Treblinki. Niektórzy czuli niesmak, gdy zabierali ze sobą żonę swojego przełożonego, jak gdyby jechali na piknik. Inni przyznawali zaś później, że czuli się zakłopotani albo nawet zawstydzeni, że ta kobieta będzie świadkiem ich brutalności. Niepotrzebnie się jednak martwili. Frau Wohlauf niełatwo było zaszokować. W rzeczywistości wręcz podniecało ją przerażenie malujące się na twarzach ofiar.

Choć była w czwartym miesiącu ciąży, nie współczuła dzieciom, które kurczowo trzymały się swoich matek i płakały z obawy o swój los. Te, które były zbyt wolne, zbyt delikatne lub się opierały, mogły zostać pobite lub nawet zastrzelone. Inne umierały z gorąca, gdyż całymi godzinami czekały na głównym placu na transport, w upalnym słońcu, bez jedzenia i picia. Po dwóch dniach w getcie zostało 960 gnijących ciał, podczas gdy pozostałych 11 tysięcy jego mieszkańców zamknięto w ciasnych i dusznych wagonach zmierzających do obozu śmierci.

Choć na miejscu były inne kobiety – żony oficjeli oraz pielęgniarki z Czerwonego Krzyża – Vera jako jedyna zaakcentowała swoją obecność, maszerując wzdłuż szeregów ludzi z końskim batem w garści i wykorzystując każdą okazję do zadawania cierpień skulonym nieszczęśnikom.

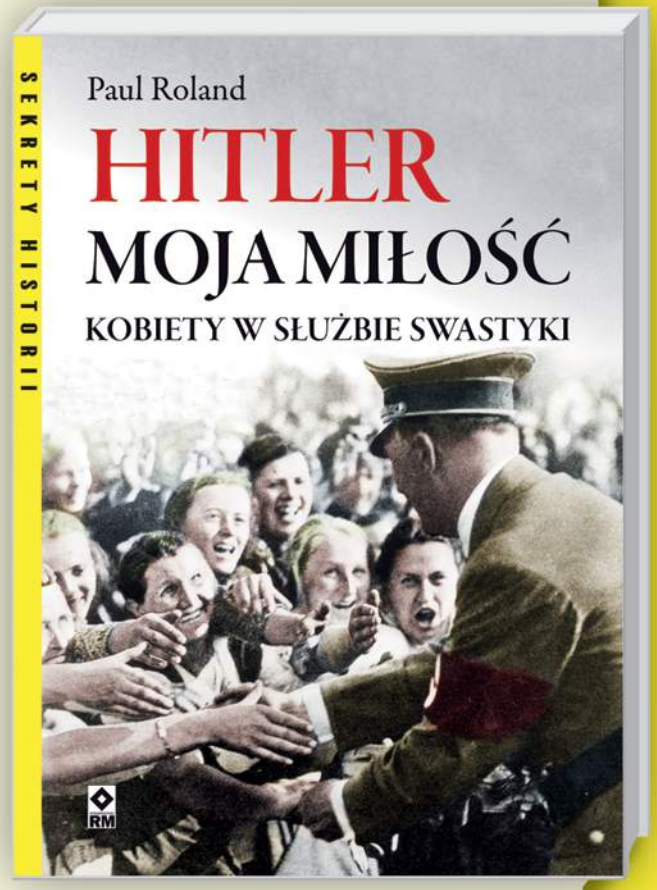

Co ciekawe, chociaż kobieta z entuzjazmem przyjęła rolę dręczycielki, to jej mąż, nazywany przez własnych ludzi małym Rommlem z powodu olbrzymiego ego, wcale nie był zaciekłym antysemitą. Frau Wohlauf niespecjalnie też dbała o własne bezpieczeństwo. Podczas gdy żony i kochanki nazistowskich oficjeli obserwowały tę przygnębiającą scenę z daleka, ona przechadzała się wśród grupek Żydów nawet wtedy, kiedy zabłąkane kule wystrzeliwane przez pijanych „Trawników" – Ukraińców, Litwinów i Łotyszy – latały we wszystkich kierunkach.

Fragment książki Paula Rolanda *Hitler moja miłość. Kobiety w służbie swastyki*, Wydawnictwo RM, 2019 r.

Książkę polecają

HIST MAG .ORG

UWAŻAM RZE HISTORIA

HISTORIA .ORG.PL

Książki dostępne na www.rm.com.pl
i w dobrych księgarnach.

WYDAWNICTWO RM

eprasa.pl 037223689a

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Turecka niewola hetmana Koniecpolskiego

Hetman Stanisław Koniecpolski, jeden z najwybitniejszych wodzów dawnej Rzeczypospolitej, dochodził do wielkości poprzez krew i ból. Zaznał tureckiej niewoli; był jeńcem, a potem więźniem trzymanym dla okupu, kiedy 7 października 1620 r. pod Mohylewem nad Dniestrem doszło do rozbicia armii wycofującej się spod Cecory. Koniecpolski do końca pozostawał przy hetmanie Stanisławie Żółkiewskim, wsadził go na konia i usiłował prowadzić ku granicy, szybko jednak rozdzielili ich Tatarzy.

Koniecpolski razem z kilkoma towarzyszami – Hermanem Denhoffem, Abrahamem Złotopolskim, Zbigniewem Silnickim – i 10 żołnierzami uciekali w stronę Dniestru.

Uciekinierzy dotarli do Dniestru, od razu przyłączył się do nich jakiś Wołoszyn, który obiecał przygotować łódź. Przez ten czas Koniecpolski razem z towarzyszami ukryli się w jednym z jarów. Zmęczony hetman zasnął, oczekując na przewodnika. Niestety, Wołoszyn wrócił, ale w towarzystwie kilku grasantów, którzy rzucili się na Polaków. Złotopolski zdołał obudzić Koniecpolskiego, porwali się do szabel. „Mości panie! – zawołał wówczas po polsku jeden z napastników – daj się waszeć po woli, bo i waszeć zginiesz, i my!". Hetman zawahał się, a wówczas jeden z napastników zdzielił go po głowie płazem węgierskiej szabli, aż upadł. Szybko obezwładnili pozostałych Polaków, ograbili i poprowadzili do tatarskiego taboru.

Hetman od razu zaczął rozmowy z prześladowcą, proponując nagrodę w zamian za przeprowadzenie go do Kamieńca Podolskiego. Jednak inni Wołoszyni, zazdrośni

FOT. WIKIPEDIA

o powodzenie kompana, pobiegli w te pędy do namiestnika z Soroki, zawiadamiając, że w taborze jest znaczny więzień, którego rozpoznano po cennym krzyżyku na szyi. Namiestnik odebrał więc Koniecpolskiego siłą i zabrał go na zamek. Hetman i tu nie stracił głowy, rozpoczynając z nim rozmowy o wykupieniu się. Jednak teraz z kolei Wołosi, którym odebrano jeńca, z zemsty zawiadomili o tym Turków, a ci zabrali jeńca, wsadzili go na szkapę na oklep i poprowadzili razem z innymi do Białogrodu.

Teraz hetman znalazł się w ciężkich warunkach – wraz z towarzyszami zamknięto go w zamkowej wieży i przykuto do łańcucha przeciągniętego przez środek korytarza. Koniecpolski zaczął starania o okup u Iskendera Paszy, który był skłonny wypuścić jeńca za ogromną sumę 50 tys. czerwonych złotych. Hetman w te pędy wysłał więc listy do Polski, do szwagra – Kacpra Denhoffa. Zanim ten jednak zebrał potrzebną sumę, Iskender Pasza zmarł, a Turcy przenieśli jeńca do Stambułu, do osławionego Zamku Siedmiu Wież, gdzie przetrzymywano nie tylko największych jeńców, lecz także wrogów sułtana.

Hetman został umieszczony w Czarnej Wieży wraz z 12 więźniami, wśród których byli Francuzi, Niemcy i Włosi. Przebywał tu także pewien Polak, sługa Hieronima Łaskiego, który dostał się do niewoli podczas wyprawy na Mołdawię. Był to frant kuty na cztery nogi, udawał bowiem przed Turkami wielkiego pana i magnata, w zamian za to miał zapewnione dobre traktowanie i luksusy. Dopiero w rozmowie z nim Koniecpolski wykrył, że był to zwykły chłopek spod Łasku.

Hetman przebywał w niewoli w dość dobrych warunkach aż do jesieni 1622 r., kiedy to został wykupiony za 30 tys. talarów przez poselstwo Krzysztofa Zbaraskiego. Wolność uzyskali także inni jeńcy – Łukasz Żółkiewski i Wolmar Farensbach, Jan Koniecpolski i Jan Żółkiewski. Wychodząc z Czarnej Wieży, hetman wykupił także owego sprytnego chłopka, którego zabrał do Polski i uczynił sługą. Ten jednak szybko pożałował powrotu, rozpił się i w Koniecpolu nieraz po pijanemu wypominał dobrodziejowi, że zabrał go z Czarnej Wieży. „Lepiej mi tam było, bom nic nie robiąc, brał po sześć asprów (wygrywał w karty)" – wykrzykiwał.

Chociaż niewola w Czarnej Wieży nie była tak ciężka jak w Białogrodzie, hetman do końca życia myślał o rewanżu na Turkach i Tatarach. Jak pisał Karol Ogier, który spotkał go w Prusach w 1635 r., Koniecpolski „ogromną odznacza się i niefrasobliwą pobożnością i na sztandarze swym ma wizerunek Najświętszej Panny. Cały tchnie myślą o rozgromieniu niewiernych narodów, z którymi często walczył". ©℗

eprasa.pl 037223689a

BOGDAN KALUS W KULINARNYM RAJU

Ci, którzy mnie dobrze znają, wiedzą, że moimi głównymi pasjami są podróże i gotowanie. Najbardziej upodobaliśmy sobie z żoną Azję Południowo-Wschodnią, ze szczególnym uwzględnieniem Malezji. Malezja to raj kulinarny, który łączy trzy zamieszkujące tam nacje, ich kultury, kuchnie i tradycje. Chodzi o Malajów, Chińczyków i Hindusów. Za stolicę tego raju jest uważana wyspa Penang. W domu również preferujemy kuchnię azjatycką i przyrządzamy wiele dań z krajów, które mieliśmy okazję odwiedzić. Malezja, Indonezja, Kambodża czy Wietnam to kraje, gdzie „z niczego" robi się cudowne dania. Mój przepis pochodzi z Kambodży, chociaż i w Wietnamie, i w Malezji czy nawet na wyspie Jawa można również zjeść owo danie. Tym razem użyłem wołowiny, ale można zamienić ją na kurczaka lub indyka. Polecam!

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

Wołowina w imbirze (porcja dla 4 osób)

Składniki:

- 500 g wołowiny
- 4–6 grzybów mun (można je zastąpić suszonymi, wymoczonymi grzybami z polskich lasów)
- 1 cebula
- 3 ząbki czosnku
- duży kawałek imbiru
- 1 łyżka sosu sojowego
- 1 łyżka sherry (lub białego wina)
- olej do smażenia (najlepiej kokosowy)
- sól, pieprz, świeża kolendra, orzeszki ziemne, kiełki sojowe lub fasoli mung
- Marynata: 1 kieliszek sherry (lub białego wina), 2–3 łyżki sosu sojowego, 1 łyżka mąki ziemniaczanej, 1 łyżka cukru

Przygotowanie:

Grzyby wymoczyć w ciepłej wodzie przez ok. 20 minut. Wyjąć, odcedzić i pokroić w paski. Mięso umyć, pokroić w paski. Imbir i czosnek obrać i pokroić w drobne paski. Cebulę pokroić w drobną kostkę. Przygotować marynatę: do wina dodać sos sojowy, mąkę ziemniaczaną i cukier. Solidnie wymieszać, zalać pokrojone mięso i marynować minimum 15–20 minut. Na dużej patelni lub w woku rozgrzać olej. Zrumienić cebulę i czosnek, następnie dodać mięso, imbir i grzyby. Smażyć na silnym ogniu, ciągle mieszając przez ok. 2–3 minuty. Dodać sherry lub wino, sos sojowy. W razie potrzeby dosolić i dodać świeżo zmielonego pieprzu (najlepszy jest kambodżański pieprz z miasta Kampot). Smażyć jeszcze kilka minut, aż sos zgęstnieje. Posypać przed podaniem drobno pokrojoną świeżą kolendrą, przyprażonymi na osobnej patelni orzeszkami ziemnymi i kiełkami. Można podawać to danie z ryżem albo z makaronem sojowym lub ryżowym typu grube wstążki. ©℗ ***oprac. raw***

Bogdan Kalus jest aktorem i artystą kabaretowym.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Inspektor gadżet

Każdemu, kto ma profil na Facebooku, wyskakują czasami filmiki, na których anonimowe zręczne ręce, zwijając się w zawrotnym tempie, gotują pyszne danie albo pieką wysublimowane artystycznie ciasteczka. Cała operacja trwa zazwyczaj nie więcej niż minutę.

Oczywiście każdy, kto ma do czynienia z gotowaniem w realu, wie, że czynności, które filmik pokazuje w ciągu paru sekund, w rzeczywistości zajmują kilkadziesiąt minut i wcale nie są takie proste, jak widać to na nagraniu. Jednak nie wątpię, że znajdzie się sporo osób, które skłonne są uwierzyć, iż to wszystko właśnie w ten cudowny sposób daje się zrobić.

FOT. ADOBE STOCK

Z kuchennych spraw w Internecie są nie tylko gotowanie i pieczenie. Są także reklamy magicznych gadżetów, którymi można zdziałać cuda w kuchni. I o ile na pieczenie w 10 sekund nie dam się złapać, o tyle na cudowny nóż, dzięki któremu w okamgnieniu główka kapusty staje się sałatką coleslaw, już tak. Dochodzę do wniosku, że całe życie o nim marzyłam, a szczególnie wtedy, gdy z kapustą mocuję się ręcznie i to trwa bynajmniej nie sekundy. Albo marchewka pokrojona w eleganckie słupki, tak jak nigdy nie udaje się za pomocą zwykłego noża, chociaż przed chwilą naostrzył go mój mąż. Nabieram przekonania, że teraz moje życie odmieni cukinia pokrojona w cieniutkie plastry, idealna do rzucenia na grill. Tak, moje życie będzie teraz lepsze.

Może i będzie, choć nie wiadomo kiedy, ponieważ zamówienie złożyłam i zapłaciłam jakiś miesiąc temu, kliknąwszy tam, gdzie reklamka kazała. I kamień w wodę. Zapadła cisza i nie wiadomo, czy to cudo do mnie kiedykolwiek dotrze.

– Dałaś się wrobić – zasugerował mąż. I przypomniał mi, że pamięta, jak takie cudowne gadżety zachwalali domokrążni sprzedawcy przy stoliku zarzuconym marchewkami, kapustami i cebulami. Działo się to w czasach przedinternetowych, przedfilmikowych, przy ul. Chmielnej w Warszawie.

I wtedy przypomniałam sobie, że i ja podobne scenki widywałam w czasach analogowych przed Galeries Lafayette w Paryżu. Wokół magika zręcznie zamieniającego kilogramy warzyw w zdrowodajne surówki gromadziły się dziesiątki zafascynowanych gospodyń domowych, które po spektaklu gadżet kupowały.

Wszystko działo się tak szybko i było takie realne! Realne, całkiem dosłownie, ponieważ w posiadanie cudownego narzędzia można było wejść w czasie realnym, płacąc parę złotych/franków czy innej waluty. Szkoda, że już tak nie jest. ©℗

eprasa.pl 037223689a

LUKSUS W TERENIE

Maybach GLS 600 4MATIC to najbardziej luksusowy SUV Mercedesa. Zewnątrz auto wyróżnia dwukolorowe lakierowanie (w ośmiu kombinacjach kolorystycznych), a także logo Maybacha umieszczone w różnych miejscach nadwozia.

Luksusowo jest zwłaszcza we wnętrzu. Zarówno deska rozdzielcza, jak i fotele są wykończone skórą nappa, a w opcjonalnej konsoli środkowej może być ukryta m.in. lodówka z miejscem na butelki szampana (dokupić można też dostosowane do tego modelu kieliszki). Tylne siedzenia w standardzie oferują zarówno wentylowanie, jak i relaksujący masaż, są też elektrycznie rozkładane oraz dysponują elektrycznie wysuwanymi podnóżkami. Elektrycznie otwiera się również panoramiczne okno dachowe. W tworzeniu atmosfery w kabinie pomaga też aktywny rozpylacz kwiatowych zapachów. Luksusowy SUV ma pod maską 4-litrowy silnik V8 o mocy 558 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 730 Nm, który współpracuje z jednostką elektryczną.

Przyspieszenie od zera do 100 km/godz. wynosi 4,9 s, a prędkość maksymalna została ograniczona do 250 km/godz.

Hybrydowy Maybach z napędem na obie osie ma pojawić się w salonach w drugiej połowie przyszłego roku. Cena nie jest jeszcze znana, ale można się spodziewać, że będzie oscylować wokół miliona złotych. Trzy czwarte wyprodukowanych egzemplarzy zostanie najprawdopodobniej sprzedane w USA oraz w Chinach.

KOSMICZNA WIZJA VOLKSWAGENA

ID. Space Vizzion to studyjny model niemieckiego producenta, który został zaprezentowany na targach w Los Angeles. Elektryczne kombi jest zaskakująco duże, liczy niemal 5 m długości (dokładnie 4,96 m), 1,9 m szerokości oraz 1,53 m wysokości. Volkswagen zapewnia, że pojemne auto będzie mogło na jednym ładowaniu przejechać nawet 590 km. Niezłe mają być też osiągi: przyspieszenie od zera do 100 km/godz. wynosi 5,4 s. W trosce o środowisko w kabinie wykorzystano m.in. sztuczną skórę AppleSkin, do której produkcji zastosowano odpady powstające podczas produkcji soku jabłkowego. Cena nie jest jeszcze znana, a pierwsze egzemplarze tego modelu z seryjnej produkcji mają pojawić się w salonach dopiero pod koniec 2021 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CYBERTRUCK

W ciągu pierwszych dwóch dni od premiery swego pierwszego pick-upa Tesla zebrała 146 tys. zamówień – poinformował ekscentryczny miliarder Elon Musk. Cybertruck wygląda niczym opancerzony samochód przyszłości. Tesla chwali się, że auto zostało wykonane z bardzo wytrzymałej walcowanej stali nierdzewnej. Podczas prezentacji nowego modelu karoserię testował projektant Franz von Holzhausen potężnym drewnianym młotem i rzeczywiście auto po takiej próbie wyglądało na nienaruszone. Dużo gorzej wypadł test wytrzymałości „pancernych" szyb Cybertrucka: metalowa kulka z łatwością rozbiła obie boczne szyby. Elon Musk przekonywał, że wcześniej wszelkie testy wychodziły pomyślnie. Tak czy owak do rozpoczęcia seryjnej produkcji wszystkie niedociągnięcia mają być zlikwidowane. Kosmiczny Cybertruck wyjedzie na drogi najwcześniej pod koniec przyszłego roku. Pick-up Tesli w swej najmocniejszej odmianie ma mieć 800 km zasięgu, przyspieszać od zera do setki w 2,9 s i kosztować 69,9 tys. dol. Najtańszy z trzech wariantów Cybertrucka ma kosztować 39,9 tys. dol. – ta wersja będzie mogła na jednym ładowaniu pokonać 400 km, a przyspieszenie do setki zajmie jej 6,5 s. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl 037223689a

DO IV EDYCJI KONKURSU

ZAPRASZA PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

100 % polski produkt

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

eprasa.pl 037223689a

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Polska łacińska, pytania o ratunek

ANDRZEJ NOWAK

Trudno milczeć, gdy boli, trudno nie wołać w złej toni, trudno nie wzdychać w niewoli; w jednej łodzi siedzimy, wiatry przeciwne mamy, wełny [fale] biją, maszty łomią, żagle drą, morscy rajtarzy na łódź szturmują, nas dobywają, ogień miecą, na patrona godzą, żeglarze śpią. Ja ginąc, na was rata [ratunku] wołam, których wszystkich pomoc wielka, z osobna każdego mała moc w łodzi jest. Cóż wołasz? – rzeczecie. To: wszyscy do sztyru bieżcie, masztu strzeżcie, żagle na tramontanę naciągajcie, na lewo ku Niemcom nie uchodźcie, wiatrów zachodnich się bójcie, polskimi pływajcie, ku portu sztyr dzierżcie, oręża na rajtary dobywajcie, patrona brońcie, żeglarza ze snu zbudźcie.

To tekst sprzed 455 lat. Napisał go Stanisław Orzechowski, pierwszy publicysta języka polskiego, rozpoczynając tymi słowami swój najważniejszy traktat polityczny „Quincunx". Polska była wtedy u szczytu potęgi, w apogeum swojego systemu obywatelskiej wolności. Jaka więc niewola? Jakie wiatry przeciwne? Jakie zagrożenie miał na myśli autor? Kto ciekaw, ten przeczytać może coś o tym w IV tomie „Dziejów Polski". Tutaj jednak nie chcę pisać o swojej książce ani o wieku XVI, tylko o naszym czasie i o pięknym, wyróżnionym właśnie nagrodą im. Józefa Mackiewicza zbiorze esejów Marka A. Cichockiego: „Północ i Południe. Teksty o polskiej kulturze i historii".

Cichocki pisze: „Polska będzie łacińska albo nie będzie jej wcale". I ostrzega – w sposób zdumiewająco podobny do przytoczonych tutaj słów ks. Orzechowskiego – byśmy „na lewo ku Niemcom nie uchodzili", żagle naciągali na tramontanę, czyli wiatr z północy, mogący skierować nas ku południowi, Rzymowi, światu łacińskiemu właśnie, a strzegli się wiatrów zachodnich – bo te popchnąć nas mogą na wschód, w odmęt, z którego się nie wydobędziemy. Od mistrza Wincentego, zwanego Kadłubkiem, zaczyna się ta nasza łacińska tożsamość, tak teraz – i nie tylko teraz – zagrożona. Właściwie zaczyna się ona od chrztu Mieszka, ale mistrz Wincenty pierwszy ją opisał i oryginalnie przetworzył w opowieść o nas, czyli o Lechitach, jako dumnym, niezwyciężonym narodzie, którym rządzi prawo.

O tym przypomina Cichocki i o fascynującym momencie w naszej historii, kiedy na nowo „rzymskość" republikańską odkrył w Rzeczypospolitej końca wieku XVI Jan Zamoyski, rektor Uniwersytetu Padewskiego, hetman i kanclerz w jednej osobie. Kończy swój zbiór prof. Cichocki ostrzeżeniem przed otchłanią wschodnią – którą symbolizuje Smoleńsk – oraz przed agresywnym pseudouniwersalizmem Niemiec, wciąż nawracającą pokusą naszych zachodnich sąsiadów, by przewodzić i „cywilizować", nawet na siłę, „niecywilizowanych" Słowian (i nie tylko)… Nie dajmy się przeciągać na osi wschód–zachód, która po to wymyślona została w wieku XVIII, przez wynajętych przez carycę Katarzynę i króla Fryderyka, filozofów francuskich, by służyć uzasadnieniu podporządkowania i zarządzania polską „czarną dziurą" na mapie „oświecenia". Trzymajmy się naszego miejsca w historii, które określa szczególny nasz związek z łacińskim Południem na słowiańskiej Północy. Tak, w największym skrócie i uproszczeniu, oddać by można współczesne „Przestrogi dla Polski" Cichockiego.

Napisane raczej z temperamentem niespiesznego przechodnia, kulturalnego obserwatora niż pełnego pasji publicysty, mogą pozostać odczytane na poziomie erudycyjnego eseju, ale przecież wagą i dramatyzmem podejmowanych w tych teksach pytań nie odbiegają od namiętnych wezwań Orzechowskiego sprzed wieków. Dlatego prowokują do pytań dalszych, praktycznych: Jak mamy to nasze „łacińskie" miejsce obronić w kraju Jachiry i „Klątwy"? I z kim? Czy mamy szukać sojusznika w jak najbardziej „romańskim" prezydencie Macronie? Wolne żarty… Do Italii prowadzi wciąż z Polski jedna droga – „Via Ungheria" – droga węgierska. Tędy mamy iść? Ale dokąd? W Rzymie nie ma już przecież oparcia dla łacińskości…

Chyba że rozumiemy tę łacińskość jako odnowienie pogańskich kultów, takich jak ten niejakiej Pachamamy, wprowadzony ostatnio do świątyń nad Tybrem. A może łacińskość, a raczej rzymskość, a więc zdolność do zorganizowanego, praktycznego, bezwzględnego działania w poczuciu wyższości moralnej Republiki, reprezentują jednak w dzisiejszym świecie najbardziej Amerykanie (wystarczy wejść na Kapitol w Waszyngtonie, by zrozumieć te ambicje), może jednak sojusz z nowym Sullą – Trumpem – nas uratuje? Czy łacińskość oznacza dziś tylko ten stan rzeczy, który znamy z kronik Rzymu upadłego, z połowy wieku V po Chrystusie, kiedy obywatele Italii nie wychodzili nawet z cyrku, ze swoich festiwali „eurowizji", nie przerywali sobie rozrywki, gdy do ich miast wchodzili już zbrojni barbarzyńcy? Czy pozostaje nam tylko opcja Benedykta – św. Benedykta? Tego, który w zorganizowanych przez siebie klasztorach ocalił wiarę i kulturę. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 037223689a

OKIEM JASTRZĘBIA

Tego Zielińskiego to żal

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Nie jest to żadne epitafium, bo chłop żyje i daj mu Światowidzie tłuste zdrowie. Jest to godne podsumowanie barwnego fragmentu życiorysu, gdyż szkoda, aby nicość to pożarła. Otóż według mojej opinii (zastrzeżenie robię wyłącznie z ostrożności procesowej) Jarosław Zieliński był największym celebrytą w rządzie PiS. Największym i najwspanialszym! Zastrzeżenie zrobiłem nie dlatego, że się obawiam reakcji pana Jarosława Zielińskiego, ale że mi się może teraz pozgłaszać z kilkunastu ministrów i wiceministrów z pretensjami: „A czemu ty moją rolę umniejszasz, wszakże i ja mam dokonania, czemu mnie pomijasz?" i takie tam.

Bądźmy jednak sprawiedliwi, inni to sobie mogą na razie tylko próbować być celebrytami, ale nie ten rozmach, nie ta kreacja, nie ta powaga. Szkoda chłopa. Na przykład marszałek Senatu o nazwisku Grodzki, Tomasz Grodzki próbował właśnie zyskać nasz poklask, występując w garniturze przy ścieleniu łóżka, co wywołało na mnie pozytywne wrażenie. Zawsze należy być eleganckim przy ścieleniu łóżka, bo nigdy nie wiadomo, kto może być pod nim. Niemniej stwierdzić należy, że Tomasz Grodzki, na razie zyskał nie poklask, a poklaszczek, ale przyglądać będziemy się tej karierze.

Wróćmy do Jarosława Zielińskiego, byłego wiceministra od policji. On sam pokazał tym policjantom nowe standardy i że stać ich na więcej, niż oni nawet w tych policyjnych głowach by wymyślili. Czy policjanci polscy pomyśleliby wcześniej, że będą dla wiceministra ciąć konfetti i wyrzucać z helikoptera na jego głowę? Do tej pory wydawało się im, że powinni ścigać przestępców i dbać o porządek z ładem. A tu konfetti na głowę szefa sypali. Oczywiście znaleźli się malkontenci, którzy uznali, że tak nie można, że to urąga mundurowi policyjnemu itd. Jakby było w tym coś złego, żeby szefowi dobrze zrobić.

Tych dokonań Zielińskiego jako osoby inspirującej podwładnych było więcej. Mnie zachwycił filmik, jak pan Jarek siedzi na trybunie obok policjantów w mundurach, a przed nimi panie tańczą taniec hawajski. Mają takie hawajskie na szyjach i najmłodsza z tych pań ma, zdaje mi się na oko, lat 63 i trzy czwarte. A pan minister docenił ten taniec powagą swojej twarzy niewzruszonej. Ja to najbardziej tę twarz dostojną, dorodną, a jednak niewzruszoną doceniałem. Pomniejszych inspiracji Zielińskiego nie będę wymieniał, że np. czerwony dywan przed nim rozkładano. Po czerwonym przecież deptał. Skąd więc pretensje? Zawistnicy porażeni kreacją Zielińskiego szeptali, że jego działania mogą nawet poniżać policję. Żaden poniżony się jednak nie zgłosił. Ale cóż, żyjemy w polskim piekiełku, jednostki wybitne budzą niechęć.

No i ścięto nam Zielińskiego (w przenośni, przecież ta głowa jeszcze coś wymyśli!). A na pożegnanie nawet nie sypano konfetti. Nieładnie. ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Miedziowy dylemat

MARCIN MAKOWSKI

Myśląc o relacjach biznesowych z Ameryką, na pierwszy plan wysuwają się energetyka oraz umowy zbrojeniowe. Gdzieś za nimi znajdziemy kwestie bardziej kontrowersyjne, np. lobbing zmierzający do zamrożenia podatku cyfrowego, uregulowania statusu Ubera czy niektórych farmaceutyków sprzedawanych w Polsce. Nie zmienia to faktu, że wymiana handlowa z USA znajduje się dzisiaj na rekordowym poziomie, wynoszącym 13,4 mld dol. Amerykańscy kongresmeni w opublikowanym niedawno liście do premiera Morawieckiego twierdzą jednak, że może być lepiej, jeśli usunie się istotny czynnik, który spowalnia ich wzrost.

Chodzi o ustanowiony w 2012 r. za rządów PO-PSL podatek od wydobycia niektórych kopalin, zwany potocznie „podatkiem miedziowym". Neal P. Dunn i Joe Wilson zwracają uwagę, że przy realnej stawce opodatkowania nowych inwestycji miedziowych na poziomie 89 proc. (wzrost z 27 proc.) czas potrzebny do zwrotu samych nakładów na eksplorację terenu i budowę infrastruktury wynosi nawet kilkadziesiąt lat. Przedsiębiorcy z USA nie chcą jednak tyle czekać, naciskając – jak podaje „Rzeczpospolita" – na obniżenie podatku do końca obecnego roku wraz z rewizją dochodów fiskalnych państwa. Gra ma być warta świeczki, Polska zajmuje bowiem ósme miejsce pod względem zasobów miedzi na świecie (36 mln ton surowca), ale zagospodarowała jedynie połowę swoich złóż, ostatnią kopalnię otwierając 50 lat temu. Sam KGHM, który traci na wysokim podatku (obniżonym nieznacznie w maju) setki milionów złotych, od długiego czasu bezskutecznie zabiega o dodatkowe ulgi, które umożliwiałyby rozwój w kraju zamiast szukania nowych, tańszych złóż za granicą. PiS jeszcze podczas kampanii w 2015 r. zapowiadał przecież zniesienie daniny, która stanowi połowę kosztów pracowniczych rodzimego wydobywcy.

Piszę o tym, ponieważ temat jest wart w Polsce szerszej debaty, a argumenty za większą otwartością nie są pozbawione logiki. Jak twierdzi wiceprezes Grupy Electrum Ali Erfan, przedstawiciel jednego z zainteresowanych inwestowaniem graczy, rynek elektroniki opartej na miedzi nie będzie trwał wiecznie. W związku z tym ryzykowne jest trzymanie pod ziemią kapitału wartego miliardy dolarów tu i teraz, gdy za setki lat jego los będzie niepewny. – Nie chodzi o zniesienie podatku, ale powrót do progu umożliwiającego utrzymanie kopalni w kluczowym okresie jej budowy i rozwoju. Chcemy współpracować z KGHM – mówi. Pytanie, czy wpływy do budżetu wynoszące 11 mld zł w ciągu siedmiu lat są więcej warte niż przyszłościowy rozwój branży, która z czasem może wygenerować znacznie więcej? Ten bilans muszą poczynić sami rządzący. ©℗

eprasa.pl 037223689a

OKIEM BLOGERKI

Panświnizm

KATARYNA

***WOJCIECH BIEDROŃ:* Nie wiem, jak to było z Grodzkim, ale kiedy słyszę, że jakiś ordynator jest czysty, to płakać mi się chce ze śmiechu.**

Wszyscy ordynatorzy biorą. To prawda tak samo oczywista jak to, że wszyscy dziennikarze kłamią, wszyscy politycy kradną, a wszyscy księża gwałcą dzieci. Dziennikarz konkurencyjnego tygodnika tak bardzo się zaangażował w opluskwianie nielubianego polityka, że nawet nie zauważył, jak wielu bliższych mu przy okazji obraża. Ordynatorem był przez wiele lat Stanisław Karczewski z PiS, a wysokie stanowiska kierownicze w publicznych szpitalach zajmowało także wielu innych polityków PiS.

Tymczasem oskarżająca marszałka Grodzkiego pani w mediach społecznościowych, sprawiająca wrażenie zwykłej hejterki, zdążyła się już wycofać z rzuconego przez siebie oskarżenia i jednoznaczne: „Jak moja mama umierała, trzeba było dać 500 dolarów za operację" szybko zamieniło się w pokorniejsze: „Nigdy nie powiedziałam, że wpłata była warunkiem operacji. Nie! Mama była w normalnej kolejce do zabiegu". Okazało się, że to, co pierwotnie zostało przedstawione jako łapówka wzięta za przeprowadzenie operacji, było dobrowolną darowizną na rzecz fundacji, ale to jeszcze nie powód, żeby odpuścić kampanię oszczerstw wobec Grodzkiego. W końcu wiadomo – nie ma czystych ordynatorów, a już na pewno nie w opozycji. „I to nie byle marny koperciarz, tylko system na fundację wdrożył. Potem auto na fundację, loty na fundację, bo kto fundacji zabroni…" – to tylko jeden, wcale nie najostrzejszy, komentarz o Grodzkim sprowokowany przez insynuatora Biedronia.

Fundacja Pomocy Transplantologii, na którą darowiznę wpłaciła oskarżycielka Grodzkiego, istnieje od 1994 r., do 2015 r. obecny marszałek Senatu pełnił w niej funkcję członka ośmioosobowej rady, mającej wyłącznie funkcje nadzorcze, bez wpływu na bieżące zarządzanie fundacją. W dostępnych w Internecie sprawozdaniach składanych corocznie przez fundację można sprawdzić, jak bardzo Grodzki mógł się nachapać w fundacji. W ostatnim roku, w którym zasiadał w jej radzie, na wszystkie wynagrodzenia fundacja wydała całe… 2674,80 zł brutto. Przez cały rok. W sprawozdaniach fundacji i na jej stronie można też przeczytać, na co idą zbierane przez nią środki: „szkolenia personelu lekarskiego, pielęgniarskiego i rehabilitantów w zakresie kwalifikacji, leczenia i opieki pooperacyjnej nad chorymi do i po przeszczepieniu płuc. Szkolenia odbywają się w kraju i za granicą". Wygląda na to, że oskarżany o łapownictwo Grodzki społecznie udzielał się w fundacji zbierającej pieniądze na finansowanie tego, na co upadającej służby zdrowia nie stać, a do zorganizowania regularnej nagonki na niego wystarczył jeden wpis politycznie wzmożonej hejterki, która zresztą już się z oskarżenia rakiem wycofała.

Gdyby Maciej Świrski nadal rządził Polską Fundacją Narodową, uruchamiałby właśnie billboardową kampanię o ordynatorach kradnących kiełbasę. A wszystko pod jednego lekarza, którego jedyną winą jest zwycięstwo w głosowaniu na marszałka. Szkoda, że nikt nie rozumie, jak dramatyczne w skutkach będzie bezmyślne i nieodpowiedzialne niszczenie resztek zaufania do kolejnego zawodu. Czemu ja się jednak jeszcze dziwię… ©℗

PODSŁUCHANE

Coś w ten deseń

Joachim? Cześć, tak tylko dzwonię, pogadać chciałem…
Jarek? Znowu mi tu będziesz płakać, że cię Mariusz wywalił? No wywalił, trudno, zdarza się, takie życie polityka. Naczelnik ci coś na pewno znajdzie.

Niby już coś tam mi zaproponowali…
To czego się mażesz?

Bo mogę być albo wiceministrem od kanałów – no wiesz, takich z wodą, nie ściekowych na szczęście, albo od diligitacji… digilizacji…
Może digitalizacji?

Coś w ten deseń, u Zagórskiego. A ja się na tym kompletnie nie znam!
A na policji się znałeś?
Przecież też nie.
Nie narzekaj. Ja bym brał kanały.

Ale się poznałem! Ja mam nawet w szafie mundur nadkomisarza, nieoficjalnie dostałem, zakładam sobie wieczorami, pistolet hukowy wkładam do kabury, pałeczkę mam i taką kukłę w piwnicy, czasem sobie lubię walnąć…
Wiesz co?
Ty na jakiś odwyk idź. Muszę kończyć, mule mi stygną.

Proszę cię, pogadaj z Naczelnikiem! Może chociaż jakimś dyrektorem departamentu mnie zrobi? Wicedyrektorem? Komendantem w Mszanie Dolnej? Halo! Halo… ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zapytałbym ich, co chcą osiągnąć tym gestem. Czy chcą spotkać się z kimś wyjątkowym, jeśli chodzi o sztukę filmową, czy nie, bo ważniejsze są dla nich moralne oceny".

OLGIERD ŁUKASZEWICZ, *aktor, w Radiu Zet o studentach Szkoły Filmowej w Łodzi, którzy protestowali przeciwko organizacji spotkania z Romanem Polańskim.*

eprasa.pl 037223689a

fot. Jerzy Gumowski

Zagadka Szczerbca

Mija tego roku dokładnie 200 lat od pojawienia się w Polsce — *„deux ex machina”* (ni stąd, ni zowąd) — miecza będącego pono kopią Szczerbca. Nie brak u nas ludzi całkowicie pewnych, że Szczerbiec, jakim się pysznią dzisiaj wawelskie zbiory, to właśnie owa kopia grająca oryginał.

Pochodzenie, pierwotne przeznaczenie tudzież źródłowe proweniencje Szczerbca trudno rozpoznać, poruszamy się tu wśród spekulacji li tylko. Utrwalona przez kronikarzy (od Galla Anonima, do Jana Długosza) legenda o mieczu, którym król Bolesław Chrobry (a później również Bolesław II Śmiały) ciął kijowską Złotą Bramę, wyszczerbiając go w ten sposób — to tylko mit. Ów obosieczny miecz powstał nie wcześniej niż przy końcu XII wieku (bardziej racjonalne jest datowanie wskazujące wiek XIII), miał przeznaczenie bojowe lub od razu wyłącznie ceremonialne, służył jakiemuś księciu Bolesławowi, został dla celów koronacyjnych pierwszy raz użyty podczas intronizacji Władysława Łokietka (1320), zaś ostatni raz gdy Stanisław August Poniatowski wstępował na tron (1764). Już trzy dekady później (1794) miecz zniknął.

Kiedy Kościuszko przegrał pod Szczekocinami, Prusacy wzięli Kraków (1794), gdy zaś wskutek poinsurekcyjnych układów między zaborcami miasto przypadło Austrii — cichcem (nocą) włamali się do komnat ze Skarbcem Koronnym i zrabowali królewskie regalia. W Berlinie zostały one przetopione na sztabki oraz monety, drogie kamienie sprzedano, lecz król Fryderyk Wilhelm nie zezwolił zniszczyć ukradzionego miecza króla Zygmunta Starego. Mówią o tym pruskie dokumenty, które jednak ni słowem nie wspominają o Szczerbcu. Cóż się więc z nim stało?

A. D. 1819 książę Dmitrij Łobanow–Rostowski zaproponował Namiestnikowi Królestwa Kongresowego, hrabiemu Wincentemu Krasińskiemu, kupno *„starego polskiego miecza”*. Krasiński, obejrzawszy cacko, bezzwłocznie skojarzył je ze Szczerbcem, ale najęty jako rzeczoznawca prof. Sebastiano Ciampi (specjalista od... filologii klasycznej, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego) zanegował to przypuszczenie, a że Rosjanin żądał horrendalnej sumy — do transakcji nie doszło. Na początku lat 40–ych XIX w. Łobanow–Rostowski sprzedał ów miecz rodzinie Demidowów, która ozdobiła nim swe zbiory w podflorenckim San Donato; roku 1870 i 1878 był on wystawiany w Paryżu (za drugim razem już jako własność rosyjskiego ambasadora we Francji, Aleksandra Basilewskiego, który go kupił na aukcji po śmierci Anatolija Demidowa, płacąc 20 200 franków). Ten drugi raz to była Wystawa Światowa, wzbudzająca powszechne zainteresowanie, więc mnóstwo Polaków zobaczyło wtedy miecz, nasi historycy zaczęli o nim dyskutować i doszli do wniosku, że filolog Ciampi bredził, nie rozpoznał Szczerbca. Roku 1884 władze rosyjskie kupiły całą kolekcję Basilewskiego i miecz trafił do Ermitażu (Sankt Petersburg). Według innej wersji: miecz został nabyty przez polskiego magnata z Ukrainy i podarowany rosyjskiemu Wielkiemu Księciu Michaiłowi, który go umieścił w Ermitażu.

Po wygranej przez Marszałka Piłsudskiego wojnie z bolszewikami (1920) toczono zawzięte pertraktacje nie tylko graniczne, lecz i restytucyjne. Na mocy Traktatu Ryskiego (1921) Rosjanie zwrócili nam liczne dobra kultury, Szczerbca jednak nie chcieli zwrócić, argumentując, iż pozyskali go drogą legalnego zakupu, nie zaś rabunku wojennego. Targi o miecz trwały długo. Ostatecznie miecz wrócił do Polski (1924), bo zgodziliśmy się zostawić Kacapom w zamian sławne malowidło Fragonarda **„Skradziony pocałunek”** (vulgo: kupiliśmy miecz za arcydzieło Fragonarda). Gdy Niemcy i Sowieci napadli Polskę (1939), Szczerbiec został wywieziony (poprzez Francję i Anglię) do Kanady, skąd A. D. 1958 wrócił do Skarbca Koronnego na Wawelu.

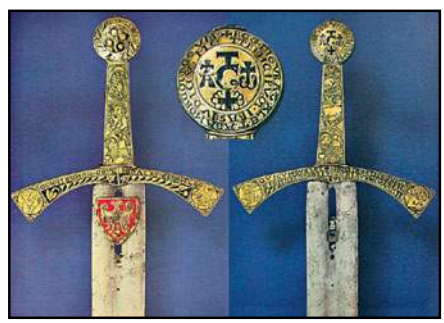

Zdaniem sceptyków Wawel chlubi się kopią łudząco przypominającą zaginiony oryginał. Miała być ona w początkach XVII w. własnością hetmana Stanisława Żółkiewskiego, a po jego śmierci (1620) przeszła na własność rodu Sobieskich. Jakub Sobieski (syn króla Jana III) podarował ją wojewodzie wileńskiemu Michałowi Radziwiłłowi, trafiła więc do będącego „stolicą” Radziwiłłów pałacu w Nieświeżu, gdzie ją dokładnie inwentarzowo opisali tamtejsi kustosze A. D. 1740. Roku 1812 walczące z Napoleonem wojska cara Aleksandra I złupiły Nieśwież, ogołacając skarbiec pałacowy, i wówczas kopia zniknęła. Zawładnął nią pewnie jakiś wyższy oficer carski i wylądowała w Rosji, skąd parę lat później Łobanow–Rostowski (sztabowiec Aleksandra I) przywiózł ją do Warszawy, by kusić nią hr. Krasińskiego. A. D. 1853 wybitny polski *„starożytnik”* Aleksander Przeździecki odnalazł w nieborowskiej bibliotece Radziwiłłów wspomniany rękopis inwentarzowy z r. 1740, zawierający detaliczny opis nieświeżskiego miecza. Opis ów wykazywał ogromne podobieństwo (tyczące m. in. napisów rytych na głowni) wobec starych charakterystyk Szczerbca ze Skarbca Koronnego Wawelu.

Jeżeli przyjęłoby się za prawdziwą wersję tę hipotezę, iż Wawel posiada dziś kopię z rąk Żółkiewskich, Sobieskich, Radziwiłłów i Łobanowa–Rostowskiego — to gdzie może być oryginał? Zwolennicy kwestionowania oryginalności/autentyczności dzisiejszego wawelskiego Szczerbca posiłkują się relacją kapucyńskiego mnicha, księdza Wacława Nowakowskiego, według którego Prusacy nie dopadli w 1794 wszystkich koronnych insygniów, część ich bowiem została wcześniej prewencyjnie wywieziona przez kanonika Sebastiana Sierakowskiego (kustosza Koronnego Skarbca) i jego brata, promotora całej akcji, księdza Wacława Sierakowskiego (prałata katedry wawelskiej). Nie stanowiło to precedensu, bo już za Potopu szwedzkiego (1655) regalia uchroniono wywózką z Wawelu do Lubowli Lubomirskich, a w XVIII w. ukrywano wewnątrz warszawskich i częstochowskich kościołów. Tym razem dwaj kapucyni (*„brat Antoni i ojciec gwardyjan Tadeusz”*) wywieźli skarby przez Podkamień do Łucka, by je zawierzyć biskupowi pińskiemu Kacprowi Cieciszowskiemu, lecz nie znalazłszy hierarchy ruszyli w burzliwych okolicznościach (trwało jeszcze Powstanie Kościuszkowskie) do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie był bratni klasztor kapucynów. Tam zamurowali kufer z koronnymi precjozami, a o sekretnym schowku długo krążyły *„gadki między ludem”*.

Prócz kapucynów tylko trzej hierarchowie (biskupi K. Cieciszowski, F. Turski i A. Naruszewicz) znali konkretne miejsce zamurowania regaliów. Carat został jednak powiadomiony przez pewnego szpiega (1832). Carowie XIX–wieczni uważali się za królów Polski, mieli więc święte przekonanie, że polskie insygnia królewskie im się należą. Do Włodzimierza wysłano carskiego adiutanta, który kazał kuć poklasztorne mury. Kuto dwa tygodnie, bez skutku. Lecz gdy adiutant już opuścił miasto, zauważono w murze klasztoru świeżą dziurę, a wewnątrz ślady po dużej skrzyni (resztki rdzy, dębowe drzazgi), rozpętano więc piekło żandarmeryjnego śledztwa, rewidując dużo domów i przesłuchując mieszkańców. Niektórzy zeznawali o starym szlachcicu w szarej kapocie, który konnym wozem wywiózł nocą spory pakunek z miasta. Kryjówki nie znaleziono do dziś. Czy więc autentyczny Szczerbiec jest wciąż zamurowany? ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 037223689a

LOTTO

Lotteria ŚWIĄTECZNA

Milion szans na miliony

Do wygrania 1 000 000 zakładów Lotto!

2 x Toyota Yaris

20 x ASUS ZenBook

290 x karta prezentowa 1000 zł

200 x bon upominkowy 500 zł

Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.

18+

Zgodnie z obowiązującym prawem w gry liczbowe i loterie pieniężne mogą grać wyłącznie osoby, które ukończyły 18. rok życia.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

Regulamin loterii dostępny na **www.lotteriaswiateczna.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od **26 listopada 2019 r.** do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do **31 grudnia 2019 r.** Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 037223689a